

# Równieśniczka diabła

Odważni nie żyją wiecznie,  
ostrożni nie żyją wcale...

**KAROLINA KOŁBUC**  
VEL CAROLINE ANGEL

Karolina Kołbuc vel Caroline  
Angel

Rówieśniczka diabła

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

[https://editio.pl/user/opinie/rowdia\\_ebook](https://editio.pl/user/opinie/rowdia_ebook)

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9939-6

Copyright © Helion S.A. 2022

---

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)



# Prolog

*23 października 2011 r.*

Ciepły wiatr smaga ich twarze, kiedy oboje stoją przed garażem w rezydencji Whittakerów. Wpatrują się w siebie ze smutkiem, trzymając się za ręce. To ich pożegnanie. Ostatnie spotkanie.

Minione sześć miesięcy pozostawi po sobie dobre wspomnienia, chociaż muszą się rozstać, pomimo głębokiego uczucia, które zawładnęło ich ciałami i duszami.

— Mae. — Gabriel wypowiada jej imię tak, jakby było jego kołem ratunkowym. — Moja Mae. — Ich czoła się stykają, a szmaragdowe oczy blondyna bez przerwy wpatrują się w niebieskie tęczęwki dziewczyny. — To nie może się tak zakończyć.

— Wiem, Gabe. Wiem — odpowiada płacząco brązowowłosa. — Ale on cię zabije, jeśli tu zostaniesz.

— Nie obchodzi mnie to. Nie chcę uciekać, chcę walczyć. Jesteś jedyną osobą na tym parszywym świecie, która mnie rozumie, dlatego to nie może się tak zakończyć. Wrócę po ciebie. Gdy tylko przejmę władzę od ojca, wrócę.

— Jak możesz mi to obiecywać?

Blondyn chwyta Mae za brodę i szczerze odpowiada:

— Daj nam szansę. Uda nam się. Dajmy sobie dziesięć lat. Jeśli do tego czasu nie wrócę, każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— Dziesięć lat... — powtarza Mae, aby przetrwać te słowa w swojej głowie.

Oboje wiedzą, że to bardzo poważna i wiążąca deklaracja, a dziesięć lat to aż trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa dni, podczas których ich umysłami będzie targać tęsknota. Są dla siebie stworzeni, ale ich związek w tej chwili przypomina historię Romea i Julii. Dwa znenawidzone przez siebie nawzajem kluby motocyklowe nie pozwalają ich uczuciu się rozwijać. Początkowo żywili nadzieję, że ich ojcowie dojdą do porozumienia, ale Dirk Whittaker, brat Mae, spektakularnie zniszczył ich nadzieje i skłócił te rodziny na dobre.

— Gabrielu. — Pan Black, ojciec blondyna, z gniewnym wyrazem twarzy odciąga swojego syna od Mae. — Musimy jechać.

— Dziesięć lat — powtarza Gabriel. — Obiecuję.

*Dokument chroniony elektronicznym znakiem  
wodnym*



## **Środki nasenne**

Czasem chciałabym być Fioną ze *Shreka*. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Obie jesteśmy zamknięte w smoczej wieży, z tą różnicą, że w moim życiu w rolę tego postrachu ludzi wcielił się mój brat. Pragnę, aby mnie uratował jakiś rycerz w lśniącej zbroi, lecz na całym świecie nie ma takiego głupca, który chciałby rozpętać wojnę z Dirkiem. Za to Fiona odnalazła swoją miłość w zielonym ogrze, który miał w sobie tak wiele woli walki, by ją uwolnić. Niestety mój bohater jest gdzieś w świecie. Zniknął niecałe dziesięć lat temu. Złożył *obietnicę, że mnie odnajdzie, lecz każdego dnia tracę nadzieję.*

*Gabriel Black.*

O rany, ten chłopak potrafił rozgrzać moje ciało do czerwoności jednym spojrzeniem. Byliśmy zaledwie nastolatkami, gdy narodziło się między nami głębokie i szczere uczucie. Był nieokiełznanym draniem, który ukradł dla siebie moje serce. Pragnę go ujrzeć. Minęło tak wiele czasu od naszego ostatniego spotkania, lecz moje uczucia do niego wciąż są tak samo silne. Ten mężczyzna to zdecydowanie moja bratnia dusza. Żałuję, że nie było nam



dane stworzyć związku. Rozdzielono nas, abyśmy oboje cierpieli z tęsknoty.

— Maeve! — Do mojego niewielkiego, lecz przytulnego pokoju wchodzi bez pukania mój starszy brat. — Zbieraj się!

— Niby dokąd?

Zakładam ręce na piersi. Dirk po śmierci naszego ojca przejął władzę nad gangiem motocyklowym. Stał się tym samym moim prywatnym gnębicielem. Kontroluje każdy aspekt mojego życia i czuwa, bym nie zrobiła żadnych nieprzemyślanych ruchów. W gruncie rzeczy mam po prostu trzymać się z dala od Gabriela, choć nawet nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Wiem jedynie, że klub motocyklowy Javiera Blacka rozpadł się i władzę nad Toronto przejął ktoś zupełnie inny. Wnioskuje więc, że mojego mężczyzny tam nie ma.

— Lecimy do Vegas.

— Bierzesz ślub? — Parsknęłam śmiechem. — Która kobieta cię zechciała?

Powiedzmy sobie szczerze, mój brat jest bardzo przystojnym facetem o surowym wyrazie twarzy. Ma wyraźnie zarysowaną szczękę, a liczne tatuaże pokrywające jego ciało dodają mu męskości. Wprawdzie nie jestem fanką rysunków na ciele, ale skłamałabym, mówiąc, że mężczyźni z nimi nie wyglądają pociągająco. Wizualnie Dirk wpasowuje się w obecne kanony przystojności, lecz jego charakter pozostawia wiele do życzenia. Może gdyby nie kontrolował mojego życia, byłabym w stanie przedstawić go w samych superlatywach, ale w zaistniałych okolicznościach dostrzegam tylko jego wady, a wśród nich są ośli upór, brak wrażliwości i czułości oraz maniakalne katowanie wszystkich ludzi wokół.

— Lecimy w interesach — kwituje poirytowany.

— To leć. Ja nie zamierzam.

— Daję ci możliwość spakowania się i przygotowania do lotu. Nie zmuszaj mnie do użycia znacznie drastyczniejszych środków, aby zabrać cię ze sobą.

— Jak zwykle mnie uśpiasz swoim jakże genialnym środkiem nasennym? — Uśmiecham się słodko, jednocześnie obserwując zmianę, jaka następuje na jego twarzy. Policzki czerwienią mu się ze złości, ponieważ trafiłam w jego czuły punkt. Wiem, że nie lubi tego robić, ale pomimo to stosuje na mnie swoje środki mające zapobiec mojej ucieczce. Mam świadomość, że zawsze sprawiam kłopoty, kiedy mam okazję, by uciec z tego miejsca zwanego domem, ale nigdy nie dawałam prawa Dirkowi, by mnie usypiać. Za każdym razem budziłam się po kilku godzinach przywiązana do łóżka. Dopóki nie okazałam skruchy, mogłam pożegnać się z domową wolnością. Teraz na miasto wychodzę w towarzystwie kilkunastu ochroniarzy, dlatego uwolnienie się jest niemożliwe.

— Wolałbym, abyś mnie do tego nie zmuszała.

— Czerpiesz z tego satysfakcję, chory pojebie!

— Zważaj na słowa! — warczy, ale nie wykonuje żadnego agresywnego ruchu. — Wylatujemy za trzy godziny. Masz dwadzieścia minut na spakowanie się.

Po tych słowach zostawia mnie samą w mojej sypialni. Przez kilka sekund wpatruję się w zamknięte drzwi, a następnie sięgam po walizkę i torbę podróżną.

Nie mam ochoty lecieć do miasta grzechu i rozpusty, gdzie zostanę zamknięta w pokoju hotelowym. Dirk zapewne złapie imprezowy nastrój, a na pewno spędzi wieczór w kasynie. Ze mną pozostawi kilku ochroniarzy, których sama nie zdołam pokonać. Chyba że użyję broni mojego brata przeciwko jego ludziom. Z tą myślą pakuję swój bagaż w ekspresowym tempie. W zasadzie przerzucam ubrania z

szafy do walizki, a to, czy skompletuję później jakąkolwiek sensowną stylizację, nie stanowi problemu, którym chcę się martwić w tym momencie. Poza tym wierzę, że nawet gdybym owinęła się czarnym workiem na śmieci i spięła go paskiem, wyglądałabym dość szykowanie.

Kończę pakować walizkę w trzy minuty, więc pozostało mi siedemnaście, by zrobić napad na domową apteczkę, aby wykraść tabletki nasenne. Nie mogę zwinąć zastrzyków, które podaje mi Dirk, ponieważ nie chcę, aby na lotnisku zostały one wykryte i skonfiskowane. Poza tym mogłabym mieć przez to problemy zarówno z policją, jak i Dirkiem. Kiedy człowiekowi zależy na wolności, nagle zaczyna myśleć racjonalnie. Rozważa wszystkie dostępne opcje i rozpatruje w nich każde „za” i „przeciw”. Jeden zły ruch, a nie osiągnę swojego celu. Pragnę uciec i być wolna. Pragnę odnaleźć swoją własną ścieżkę życiową. Pragnę być szczęśliwa, nawet jeśli nie ma przy mnie mężczyzny, którego kocham od dziesięciu lat. Jeśli jest moją bratnią duszą, jeszcze kiedyś nasze drogi się skrzyżują. Wierzę w to, że wszechświat pozwoli nam być razem, nawet wtedy, kiedy obietnica Gabriela straci swoją ważność. *Zawsze będę jego, nawet jeśli on nie będzie mój...*

Z dawką nowej nadziei schodzę na dół i kieruję się do kuchni. Rozglądam się dookoła, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie szwenda się w pobliżu. Nasłuchuję kroków, lecz wokół panuje cisza, czyli każdy jest zajęty swoimi sprawami. Sięgam po domową apteczkę i z mocno bijącym sercem szukam odpowiedniego leku. *Błagam, niech takie tabletki tu będą...*

Przekopuję całą apteczkę, a kiedy dostrzegam środki nasenne, dociera do mnie stukot czyichś butów poruszających się po drewnianej podłodze w korytarzu. Wytrzeszczam oczy i prędko chowam opakowanie leku w bieliźnie. Liczę, że nikt nie zapragnie zajrzeć mi pod

sukienkę, by sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie ukryłam.

— Co ty tu robisz? — pyta Dirk. Przygląda mi się z uwagą, jakby oceniał, czy jestem intruzem w jego domu, choć mieszkam tu, odkąd się urodziłam.

— Boli mnie głowa — kłamię gładko. — Szukam jakiś tabletek.

— Raczej nie znajdziesz ich w apteczce. Chodź, mam jakieś w biurze.

*Spokojnie, Maeve... Na pewno cię nie przeszuka. Nie ma podstaw, by sądzić, że coś knujesz. Przecież już dawno nie sprawiałaś mu żadnych problemów.*

Idę za bratem do jego centrum dowodzenia, które niegdyś należało do naszego ojca. Nie lubię przebywać w tym pomieszczeniu, ponieważ przywołuje niechciany obraz martwego ciała Roberta Whittakera, a raczej jego mózgu rozbryzganego na białych ścianach. Obecnie Dirk przemalował biuro na czerwono, aby podkreślić znaczenie swojej władzy. W końcu plamy krwi ojca to jego zwycięstwo, nawet jeśli to nie on był sprawcą morderstwa. Choć nie sądzę, aby nie miał rąk splamionych jego krwią. Świadczy o tym jego radość w momencie, gdy ogłaszał siebie jako nowego bossa.

— Skąd ta litość dla mnie? — pytam, by nie przebywać sam na sam z Dirkiem w ciszy. Cisza pozwala mu myśleć, a nie mogę pozwolić na to, aby przewidział mój plan ucieczki.

— Mam pozwolić na to, aby łeb ci rozsadziło podczas lotu? — pyta i unosi jedną brew. Nachyla się nad mahoniowym biurkiem. Chwilę szpera w szufladzie, a potem rzuca w moim kierunku opakowanie leku przeciwbólowego. — Nie dziękuj.

— Nie zamierzam — kwituję i odbieram od niego tabletki.  
— Jakby cię to interesowało, to moja walizka czeka, aż któryś z twoich drętwych głąbów zabierze ją prosto do samolotu.

Wychodzę z jego biura, nie czekając na jakąkolwiek reakcję. Chcę jak najprędzej znaleźć się w zaciszu swojej sypialni, aby uspokoić swoje zszargane nerwy. Nie sądziłam, że kradzież środka nasennego okaże się tak stresująca, a przede mną jeszcze opracowanie całego planu ucieczki z pokoju hotelowego w Vegas.

*Tata zawsze nazywał cię sprytną i mądrą dziewczynką. Na pewno sobie poradzisz z kilkoma mięśniakami ze spluwami.*



## **Miasto grzechu, pokusy i błędu**

Mój brat może i trzęsie całym Austin. Może i jest poważanym bossem klubu motocyklowego. Ludzie się go słuchają, ponieważ jest dla nich autorytetem, a jego rozkazy przesiąkają groźbą śmierci. Na moje szczęście jest również przewidywalny jak każdy bożonarodzeniowy prezent. Przylecieliśmy do Las Vegas, by mógł załatwić swoje interesy z jednym ze swoich kontrahentów, a to oznacza, że nie będzie go przy mnie przez całą, długą noc. Zabiera ze sobą czwórkę ochroniarzy, więc ze mną pozostaje tylko jeden.

Plan jest prosty. Uśpić warującego pieska. Związać go. Zabrać swoje rzeczy, a czekającą przed hotelem taksówką pojechać prosto na lotnisko. Tam kupić bilet na samolot, który odlataje najprędzej, dokądkolwiek leci. Po drodze na port lotniczy muszę pozbyć się swojej komórki, aby Dirk nie mógł mnie namierzyć. Nie zabiorę ze sobą żadnego sprzętu elektronicznego, by nie sprowadzić na siebie problemów. Gdybym miała więcej czasu, skombinowałabym sobie lewe dokumenty, ale na ten moment jest to niemożliwe, dlatego muszę posługiwać się swoim oryginalnym dowodem osobistym, co zapewne prędzej czy później sprowadzi na

mnie piekło w postaci rozwścieczonego brata. Mam jednak nadzieję, że zanim to nastąpi, zdążę rozpląnąć się w powietrzu.

— Wychodzę — oznajmia Dirk.

— OK — odpowiadam z obojętnością. Muszę zachowywać się tak jak zawsze, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Jeśli Dirk postanowi zrezygnować ze swoich planów, by mnie pilnować, nie zdołam się stąd wydostać.— Jutro, jeśli chcesz, zabiorę cię do kasyna.

— Sądziłam, że dziś się tam wybierasz.

Zerkam na niego znad czasopisma modowego, którego nawet nie przeglądam. Służy jako rekwizyt w odgrywanej scenie.

— Dziś wychodzę tylko na kolację służbową. Wrócę za dwie godziny.

— OK.

Nie! To nie tak miało wyglądać! Miało go nie być całą noc.

Staram się zachować neutralny wyraz twarzy. Żadna kotłująca się we mnie emocja nie może wydobyć się na zewnątrz. Moje wewnętrzne „ja” krzyczy. Nie chcę być więźniem Dirka do końca swojego życia. Muszę się ratować, zanim całkowicie pochłonie mnie świat wykreowany przez mojego brata. Mam zaledwie dwie godziny na ucieczkę, co jest niewykonalne. Odprawa na lotnisku trwa około dwóch godzin. Przebycie drogi na lotnisko przez zakorkowane miasto potrwa co najmniej czterdzieści minut. Cholera jasna! Właśnie zostałam wyrolowana, ale nawet to nie powstrzyma mnie przed ucieczką. Nawet jeśli zostanę schwytana, będę szczęśliwa, ponieważ byłam wolna chociaż przez chwilę. Nie pamiętam, jak to jest wyjść gdzieś bez nadzoru.

Dirk zostawia mnie samą w sypialni. Odczekuję kilka minut, a następnie wychodzę do pomieszczenia, służącego nam za kuchnię. *Gabrielu, wiem, że mnie nie słyszysz, ale wiedz, że chcę się uwolnić od apodyktycznego brata, by być tą silną kobietą, którą poznałeś dziesięć lat temu. Chcę być tą Maeve, którą pokochałeś i której przysięgałeś, że wrócisz.*

Co prawda, Gabriel nie wrócił, a jego obietnica wygasa za pięć dni. Wiem, że nie jest nam dane być razem. Kiedy nadejdzie dwudziesty trzeci października, będę musiała zwolnić go z przysięgi, którą mi złożył. Tego dnia pozwolę mu żyć beze mnie. Dziś jednak pragnę się uwolnić dla niego. Jeśli myśli o mnie, chcę, aby miał w głowie prawdziwy obraz mnie — tej silnej, pewnej siebie wojowniczkii. Ona wciąż we mnie drzemie, lecz została przygaszona przez Dirka. Nienawidzę go za to. Również za to, że odebrał mi miłość mojego życia i przyczynił się do śmierci naszego ojca. Nienawidzę go za więzienie mnie i kontrolowanie każdej części mojego życia.

Nie rozumiem jego irracjonalnego uprzedzenia do Gabriela. Przestał go lubić, kiedy tylko go poznał, więc nie cofnął się przed niczym, aby nas rozdzielić, czego mu nigdy nie wybaczę. W zasadzie nawet nie znam przyczyny jego nienawiści do mężczyzny, którego pokochałam. Czasem myślę, że to była zazdrość, ale potem pukam się sama w głowę. Dlaczego Dirk miałby być zazdrosny o Gabriela? Przecież powinien być szczęśliwy, że jego siostra poznała kogoś, kto ją pokochał i kogo ona obdarzyła takim samym uczuciem.

— Co robisz? — pada pytanie z ust Logana. Jest to jeden z ulubieńców Dirka, ponieważ spełnia wszystkie jego polecenia bez mrugnięcia okiem. Kiedy pilnuje mnie, wykazuje się samokontrolą, choć jestem pewna, że zadziałam na niego, kiedy tego zechcę.



— Mam zamiar zrobić sobie popcorn. Właśnie wszedł nowy sezon mojego serialu i zamierzam go w całości obejrzeć.

— Obejrzę go z tobą.

— Będziesz oglądał babskie romansidło?

— Jeśli to konieczne, to tak.

Unoszę brew, aby okazać swoją kpinę. Jeśli Logan myśli, że pozwolę mu ot tak chodzić za mną krok w krok, to jest w błędzie. Czas mnie nagli. Nie mogę marnować go na pogawędkę z przydupasem Dirka. Nie mam też czasu, aby zaaplikować mu środek nasenny, ponieważ zanim ten zacznie działać, stracę pół godziny, a w świetle rychłego powrotu mojego brata muszę działać impulsywnie, szybko i bez planu.

— W sumie to nawet ci się spodoba — stwierdzam, słodko się przy tym uśmiechając. — Miałam ochotę, by obejrzeć sobie lesbijski film pornograficzny. Mam nadzieję, że lubisz ten gatunek. — Podchodzę do niego bliżej. Dotykam jego klatki piersiowej. Zadzieram głowę do góry, abym mogła spojrzeć mu w oczy. — Ale mam nadzieję, że potem pomożesz mi pozbyć się mojego drobnego dyskomfortu, który pojawi się troszkę poniżej mojego brzucha.

Zjeżdżam dłonią do jego brzucha. Trzepoczę rzęsami i delikatnie oblizuję dolną wargę. Przed sobą mam mężczyznę, który rzuca się na wszystko, co mu się trafi, dlatego nie jestem zaskoczona, kiedy orientuję się, że zadziałałam na Logana tak szybko. Pomimo samokontroli, jaką dotychczas się wykazywał, nie jest na mnie odporny. Opierał się moim sztuczkom, lecz dziś widzę w nim coś zupełnie innego — podniecenie.

— Jesteś siostrą mojego szefa... — wypowiada te słowa, choć wcale nie powstrzymują go przed tym, aby mnie dotknąć.

— Przecież go tu nie ma... — szepczę wprost do jego ucha. Przy brzuchu wyczuwam dowód swoich przypuszczeń. Działam na niego, a to oznacza, że zagra w moją grę. Wpędzę go w pułapkę jego własnych pragnień, a kiedy straci jasność umysłu, ucieknę.

— Nie mogę...

— Logan... — Gładzę dłonią dolną partię jego brzucha, tuż przy pasku jego spodni. — Jestem więzioną kobietą, która już od bardzo dawna nie była z żadnym mężczyzną. Proszę... — Przygryzam płatek jego ucha. — Błagam. Daj mi to...

Ciemnowłosy zrywa się z miejsca. Chwyta mnie w pasie, a następnie przypiera do ściany. Jego wargi z siłą atakują moje usta. Oddaję pocałunek, choć pragnę odepchnąć go od siebie i nafaszerować go środkami nasennymi. Nie mogę jednak zaprzepaścić swoich planów tylko przez wzgląd na swoje obrzydzenie. Dłonie Logana wdzierają się pod moją bluzkę. Prędko docierają do moich piersi i mocno je ściskają. Kwilę z bólu. To ani trochę nie jest przyjemne.

— Pożałujesz, że o to poprosiłaś — wypowiada ochryple, a następnie prowadzi mnie do mojej sypialni, gdzie rzuca mnie na miękkie łóżko. Moja głowa o włos mija się z metalowym zagłówkiem. *Maeve, przejmij nad tym panowanie!* Logan nakrywa moje ciało swoim. Jego usta wgryzają się w skórę na mojej szyi, a mój wzrok wbija się w biały sufit i po cichu błaga, by to się już skończyło. Nie chcę tego, pomimo że to moja jedyna szansa na ucieczkę z tego miejsca. Muszę tylko zdominować ciemnowłosego.

Spycham go z siebie, a następnie dosiadam go okrakiem. Uśmiecham się do niego, oblizując usta. Kręcę biodrami, by intymna część mojego ciała ocierała się o jego stwardniałą męskość. Obserwuje mnie z czystą żądzą, która zamiast seksualnego pożądania wywołuje we mnie skręt żołądka i

mdłości. Jestem jednak dobrą aktorką, ponieważ Logan tego nie dostrzega. Widzi jedynie mnie siedzącą na nim okrakiem, lecz moje emocje są dla niego niejasne i nieczytelne. Ściska moje biodra, by zmusić mnie do szybszych ruchów.

— Poczekaj. — Przykładam palec do jego ust. — Muszę się odświeżyć. Daj mi chwilkę. — Próbuję z niego zejść, lecz ten zatrzymuje mnie w miejscu.

— Kurwa, nie baw się ze mną! — warczy i siada, przyciskając mnie do siebie. Rozdziera moją koszulkę. *Nie. Nie, cholera!* Przerzuca mnie na plecy, a następnie jego wielka łapa wdziera się pomiędzy moje nogi. Rozdziera moje rajstopy i dotyka mojej kobiecości, jakby ta należała do niego.

Cholera jasna! Nie!

— Przestań! — krzyczę.

— Dziewczynka się wystraszyła?

Jego niebieskie, zimne oczy wgapiają się we mnie z kpina, lecz jego ciało przyciska mnie do materaca łóżka. Moje ruchy są ograniczone, co satysfakcjonuje Logana. Jak mogłam być tak głupia, by sądzić, że poradzę sobie z dwumetrowym, silnym mężczyzną? Jednak nie posiadam w sobie siły Heraklesa i mądrości Ateny. Nie oszacowałam swoich szans w tym starciu.

— Nie chcę tego!

— Oj, kochanie... — uśmiecha się przebiegle. — Przecież sama mnie o to błagałaś.

Jego palce wdzierają się do mojej kobiecości. Krzywię się z bólu, lecz nie dam mu tej satysfakcji, by krzyczeć. On chce dostrzec moje cierpienie. Jego druga dłoń ściska moją pierś. Zaciskam szczękę i zamykam oczy.

*Gabriel, wybacz, że łamię naszą przysięgę pięć dni przed jej wygaśnięciem...*

Z tą myślą otwieram oczy, jakby nagle wstąpiła we mnie nieoczekiwana dawka siły i energii. Logan nagle się unosi, a po chwili odpina pasek w swoich spodniach. Po niespełna minucie dostrzegam go w całej okazałości. W mgnieniu oka podejmuję decyzję, która napiętnuje mnie do końca życia. Czy tego chcę, czy nie, płynie we mnie taka sama krew jak w Dirku, a to oznacza, że nie cofnę się przed niczym, aby ratować swoje ciało, duszę i umysł.

Klękam na materacu przed nagim mężczyzną. Kąciki jego ust unoszą się ku górze. Zapewne domyśla się tego, co chcę zrobić. Przybliżam się do niego, a następnie delikatnie pcham go na materac. Logan reaguje od razu. Układa się na plecach, dotykając moich włosów. *Maeve, dasz radę to zrobić. Musisz!* Nachylam się nad jego przyrodzeniem, a kiedy biorę je w usta, czuję wstręt do samej siebie. Sama sobie zgotowałam taki los, dlatego nie powinnam marudzić. To część zadania do wykonania. W momencie, w którym zaczynam ssać jego męskość, z jego ust wydobywa się głośne westchnienie ulgi. Wtedy z premedytacją zaciskam zęby, a jego pojękiwania przyjemności zamieniają się w agoniczny wrzask. Ścisną moje włosy, by odciągnąć moją głowę, lecz ja mocniej zaciskam szczękę, a kiedy czuję posmak krwi w ustach, błyskawicznie zeskakuję z łóżka i nie oglądając się za siebie, wybiegam z pokoju hotelowego w samym biustonoszu, podziurawionych rajstopach i w podwiniętej sukience.

Moje oczy zachodzą łzami. To była najobrzydliwsza rzecz, jaką zrobiłam, choć jakaś częśćka mnie żałuje, że Logan nie stracił swojego przyrodzenia przez moje zęby. W tym momencie został jedynie poważnie uszkodzony, lecz zapewne wyleczy się szybciej, niż na to zasługuje.

— Co jest, kurwa? — Wrzask Dirka zatrzymuje mnie pośrodku korytarza. Mój czas na ucieczkę właśnie się skończył. Las Vegas to jednak miasto grzechu, pokusy i błędu. Źle to rozegrałam, ale przynajmniej moje ciało zostało nienaruszone. Wgapiam się w brata, a wtedy wszystkie emocje kumulują się we mnie i wybucham głośnym płaczem. — Maeve! Dlaczego wyglądasz, jakby ktoś cię przed chwilą zgwałcił, kurwa?

— Logan... — szepczę. Nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Padam na kolana, płacząc. Czuję żal do samej siebie, że postąpiłam tak głupio. Nie spodziewałam się jedynie, że Logan pomimo mojego protestu postanowi mnie skrzywdzić. Sądziłam, że jest rozważny. Założyłam tak, ponieważ Dirk zawsze tak o nim mówi. Jaka ja byłam głupia...

— Co Logan? — pyta ostro. Dostrzegam jego buty przy mnie, więc podnoszę wzrok. *Wybacz, Logan, ale muszę skłamać, by ratować siebie.*

— Zaatakował mnie.

— Paradowałaś przed nim tak ubrana? — wskazuje na moje podarte ubrania.

— Myślisz, że sama zrobiłam ze swoich ubrań poszarpane szmaty?

Unoszę się i momentalnie tracę ochotę, by płakać. Wzbiera we mnie gniew, ponieważ Dirk zawsze stanie po stronie swoich ludzi, lecz nigdy nie wysłucha jedynej bliskiej osoby, jaka mu pozostała.

— Działasz na każdego fiuta z mojego oddziału — mówi, dotykając mojej brody. — Najwidoczniej Logan chciał skorzystać z okazji. Byliście sami. Trzeba było mu dać dupy, zamiast z nim walczyć. Przestań beczeć, ogarnij się, bo zaraz wychodzimy. — Wymija mnie jak nic nieznaczący eksponat muzealny. Wpatruję się w pusty korytarz przed

sobą. Robię krok do przodu, a wtedy silne ramiona Dirka chwytają moje nadgarstki. — Nawet nie myśl o tym, aby mi spierdolić. Mamy spotkanie z Payette'em. Chce cię poznać.

— Co to za głąb?

— Radzę ci się nie wyrażać. Jeśli spierdolisz mi interesy, dam przyzwolenie swoim ludziom, aby robili z tobą, co tylko chcą. W którą dziurę chcą i kiedy tylko chcą! — rzuca arogancko, a następnie pcha mnie z powrotem do pokoju hotelowego. Wymija czwórkę swoich ochroniarzy, by rzucić mnie na łóżko, na którym pięć minut temu prawie odgryzłam męskość Logana. — Logan! — woła, a moje serce zaczyna bić z prędkością pędzącej wyścigówki. Kiedy ciemnowłosa mężczyzna pojawia się przede mną, jego mina wyraża czystą furję.

— O mały włos, a by mi odgryzła fiuta! — Zaciska pięści.

— Cóż — parska śmiechem Dirk. — Zrób sobie z nią, co tylko chcesz, byleby miała czas na przygotowanie się na kolację z Payette'em na dwudziestą.

— Co? — krzyczę i cofam się na sam koniec łóżka. Kulę się, wytrzeszczając oczy. Mój własny brat daje przyzwolenie na to, aby mnie wykorzystywać seksualnie.

*Wcale nie jesteś silna, Mae. Nie uciekłaś. Dokonałaś złego wyboru. Teraz zapłacisz za to najwyższą cenę. Tak kończy się nierozwaga...*

Dirk zostawia mnie sam na sam z Loganem. Zatrzaszkuje za sobą drzwi, co pokazuje, jak bardzo nisko znajduję się w hierarchii ludzi, których jest w stanie chronić.

Logan uśmiecha się psychopatycznie.

A moje serce zamiera.



## Wybawiciel, mafijny anioł i sprzymierzeniec

Pozwoliłam na to, aby mnie poniżono. Logan pozostawił na moich plecach pamiątkę, która każdego dnia będzie przypominać mi o dniu, w którym próba mojej ucieczki zakończyła się fiaskiem. Nie wykorzystał mnie seksualnie, ale tylko dlatego, że moje ugryzienie spowodowało poważny problem z jego męskością. Za to ukarał mnie w zupełnie inny sposób. Dirk dał mu na to przyzwolenie, a kiedy ktoś taki jak Logan poczuje, że ma władzę nad kobietą, zrobi wszystko, by ta go zapamiętała. Mimo to nie zamierzam się poddawać. To nie byłoby w moim stylu, dlatego z uniesioną głową i wyprostowaną sylwetką zmierzam do prywatnej willi Bailey Payette'a w towarzystwie brata i kilku jego ludzi, w tym Logana. Podobno gospodarz dzisiejszej kolacji to postrach całego mafijnego świata. Trudno mi w to uwierzyć, ponieważ nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktokolwiek mówił coś na temat tego człowieka. Do dziś nie wiedziałam o jego istnieniu, a to sprawia, że powątpiewam we wszystko, co o nim usłyszałam.

— Siedz cicho, chyba że ktoś zwróci się bezpośrednio do ciebie — instruuje mnie Dirk. — Nie gap się otwarcie na Payette'a, nie zagaduj go ani nie kokietuj.

— W takim razie dlaczego mnie ze sobą zabrałeś?

— Ta decyzja nie należała do mnie.

— A do kogo? — pytam autentycznie zainteresowana. Jak dotąd nigdy nie towarzyszyłam Dirkowi w żadnych spotkaniach biznesowych, więc chciałabym wiedzieć, co się w tej kwestii zmieniło.

— Od samego Payette'a — informuje z niezadowoleniem i nic więcej nie mówi, a ja nie dopytuję. Wiem, kiedy najlepiej zamilknąć. Jako że mam dość wrażeń na dziś, postanawiam zagrać według zasad mojego prywatnego gnębiciela.

— Whittaker!

W drzwiach willi pojawia się ciemnowłosa mężczyzna, ubrany w dobrze skrojony garnitur, co nieco mnie zaskakuje. Pierwszy raz mam styczność z bossem z mafijnego świata, wyglądającym jak właściciel dobrze funkcjonującej korporacji. Niczym nie przypomina Dirka i jego ludzi, wiecznie biegających w czym popadnie. Jeśli kiedykolwiek powiedziałam, że mój brat budzi szacunek, cofam to. Przede mną stoi żywy dowód na to, że swoją postawą, wyglądem i wyrazem twarzy tworzy się postrach, siłę i władzę.

— Payette! Dziękuję, że zgodziłeś się na spotkanie.

Co proszę? Dziękuję?!

Zerkam na Dirka, jakbym ujrzała go w zupełnie innym świetle. Ten człowiek nigdy nie przeprosza ani nigdy nie dziękuje. Co właśnie się stało? Sili się na uprzejmości, aby zyskać poparcie u samego króla piekieł?

— Pieprzysz farmazony — odpowiada mu Bailey. — Wcale nie chciałem się z tobą spotykać. Mam dużo ciekawsze rzeczy do roboty. Czeka na mnie Azjatka z magicznymi łapkami. Zrobi mi taką akupunkturę, aż będę skakał po



trampolinie, jakbym znów stał się małym skurwielem Baileyem.

— Co?

— Znacznie bardziej jestem zaintrygowany twoją siostrą — odpowiada mu z powagą, a po chwili podchodzi do mnie, by pocałować moją dłoń. — Dobrze wyglądasz na kogoś, kto jest martwy.

— Payette!

— Jestem martwa? — wypowiadam w tym samym momencie, w którym Dirk wykrzykuje nazwisko ciemnowłosego. *Maeve, jesteś uznana za martwą?* Marszczę czoło, co zapewne nie wygląda w żaden sposób seksownie. Towarzyszy mi odczucie ogromnej dezorientacji. Ja? Martwa? Mój grymas na twarzy jest dobrze odczytany przez gospodarza kolacji, ponieważ z rozbawieniem wypowiada słowa, które potwierdzają jego wcześniejsze stwierdzenie:

— Przez te pięć lat gnicia pod ziemią powinny cię już dawno wpierdzielić robaki. No cóż! — Klaszcze w dłonie. — Tym oto miłym akcentem rozpoczęliśmy uroczystą kolację.

Ciemnowłosa odwraca się gwałtownie i szybkim krokiem odchodzi. Zapewne mamy podążać za nim, lecz w tym momencie nie jestem w stanie zrobić nawet najmniejszego kroku. Moje ciało ogarnął chwilowy paraliż. Co to znaczy, że przez pięć lat rzekomo gniję pod ziemią? Przecież stoję tu, w Las Vegas, ubrana w elegancką sukienkę ołówkową. Wciąż oddycham, a moje serce rytmicznie wybija rytm.

*To proste, Maeve. Uśmiercono cię, aby... Aby... Gabriel...*

— Ty... — zwracam się do Dirka z oczami pełnymi łez. — Ty...

— Co ja? — pyta ze spokojem, choć w jego oczach dostrzegam iskielki gniewu. Znam go na tyle, by wiedzieć,

że zachowuje pozory miłego gościa, ale tylko dlatego, że jesteśmy w posiadłości Payette'a, z którym chciałby współpracować. Choć sądzę, że jego entuzjazm pracy z Baileyem opadł, kiedy ten wyjawiał mi coś, czego nie powinnam nigdy wiedzieć.

— Dlaczego? — pytam jedynie. Obawiam się, że jeśli powiem coś więcej, całkowicie się rozkleję. Dzisiaj spotkało mnie już wiele złego, brutalności i drastyczności, ale ból fizyczny jest niczym w porównaniu z bólem psychicznym. Mój własny brat, ostatni członek mojej rodziny uśmiercił mnie, aby mieć pewność, że Gabriel nigdy nie wróci do mojego życia. Pięć lat temu zabito mi ojca. Tego dnia również ja stałam się martwa dla Gabriela.

Każdego dnia błagałam wszechświat, aby mój mężczyzna pojawił się pod moim oknem. Pragnęłam go dotykać. W myślach odtwarzałam sobie nasze wspólnie spędzone chwile. Wierzyłam, że został stworzony dla mnie, ale ta wiara uciekała z każdym dniem, kiedy się nie pojawiał. A on nie uratował mnie, ponieważ pięć lat temu zaczęłam poruszać się w świecie duchów, choć to kłamstwo — nie umarłam wtedy. Umarłam dzisiaj.

Moje serce roztrzaskuje się na milion małych kawałków. Zważyłam w Gabriela i jego obietnicę, a tak naprawdę Dirk nie pozwolił mu jej dotrzymać.

— Przecież wiesz — odpowiada beznamiętnie. Przypatruję się jego niewzruszonej postawie z nienawiścią.

— Mam nadzieję, że ktoś, kogo pokochasz, i kto pokocha ciebie, zostanie ci odebrany na zawsze. Życzę ci, aby bezpowrotnie odebrano ci miłość twojego życia. Niech stanie się martwa, abyś nie mógł nigdy więcej dotknąć jej ciepłego ciała, pocałować jej miękkich ust i wysłuchać jej kojącego głosu. Mam nadzieję, że jakaś kobieta stanie się centrum twojego świata, a potem ktoś odbierze ci wszystko.

Tak jak ty odebrałeś wszystko mnie. Wolność, miłość i szczęście. Chcę, abys cierpiał, krzyczał w agonii z bezsilności. Mimo że nie zasługujesz na miłość, życzę ci abys ją odnalazł, a potem stracił. Obiecuję ci, że stracisz...

— Ja pierdolę! Stul dziób! — kwituje Logan, czekając zapewne na pochwałę Dirka. Ten jednak wpatruje się we mnie z szeroko otwartymi oczami, jakby moje słowa przedarły się przez jego twardy pancerz.

— Obiecuję ci, że będziesz cierpiał.

— Skąd pomysł, że kiedykolwiek się zakocham? — pyta beznamiętnie, a w jego spojrzeniu pojawia się coś na wzór arogancji. Mikroskopijna dziurka, która zrobiła się w jego skorupie, właśnie się zasklepiła. Jego emocje zostały starannie ukryte, ale te kilka sekund wystarczyło mi, by ujrzeć w nim cień wrażliwego chłopaka, którym kiedyś był.

— Wierzę, że każdemu przypisana jest osoba. Tobie również. Zobaczysz, zakochasz się, a potem zrobię wszystko, abys stracił ją na zawsze, nawet jeśli sama zapłacę za to życiem.

— Powodzenia — parska śmiechem, a następnie chwytając mnie za łokieć, by wepchać mnie do środka posiadłości Payette'a. — Zrobisz wszystko, o co poprosi Bailey, zrozumiałaś?

— Owszem — potwierdzam, choć nie mam zamiaru się przyporządkować. Skoro sama nie potrafisz wyswobodzić się spod dyktatury Dirka, poproszę o pomoc samego króla piekieł. To kolejny ryzykowany plan, ale jedyny, jaki mam.

Liczę, że Bailey Payette zostanie moim wybawicielem, mafijnym aniołem i sprzymierzeńcem.



## Gest w stronę samego króla piekieł

Jadalnia Payette'a przypomina salę balową pałacu Buckingham. Jest przesycona bogactwem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam na własne oczy. Stół, przy którym siedzimy, mógłby pomieścić około setkę gości, a pomimo tego w pomieszczeniu jest wiele wolnego miejsca, by swobodnie się poruszać. Bailey Payette siedzi naprzeciwko mnie, co daje mu możliwość baczego obserwowania moich reakcji. Jawnie przypatruje się mojej twarzy, a jednocześnie wysłuchuje propozycji Dirka.

— Chcę połączyć siły, aby wzmocnić naszą pozycję. Oboje rozumiemy, jak ważne jest bycie u szczytu władzy.

*Mam nadzieję, że twoja władza runie, kiedy stracisz miłość swojego życia.*

— Ja mam dużą władzę — odpowiada mu Bailey, lecz wciąż nie odrywa spojrzenia od moich oczu. — Nie potrzebuję twojego wsparcia, Whittaker.

Z błagalnym spojrzeniem unoszę lewą dłoń, tą, której nie dostrzega Dirk. *Błagam, Payette. Zrozum, co chcę ci przekazać.* Chowam kciuk do środka, a po chwili zakrywam

go pozostałymi palcami. Powtarzam gest kilkakrotnie, lecz Bailey w żaden sposób nie reaguje. Nie oderwał spojrzenia z mojej twarzy, a to oznacza, że nie zauważył mojego niemego wołania o pomoc.

— Łącząc siły, staniemy się niezwyciężeni.

— Z Rosją nie wygrasz, choćbyś połączył siły ze wszystkimi — rzuca nonszalancko.

— Nie chcę wojować z Popowem. Każdy wie, że to jak proszenie się o śmierć.

— W takim razie po co jestem ci potrzebny?

Ciemnowłosa w końcu odwraca spojrzenie, aby skupić się na Dirku. Moja nadzieja pryska jak bańka mydlana. Bailey nie dostrzegł mojego gestu, więc będę powoli usychać z tęsknoty w zaciszu swojej sypialni, w której umrę, kiedy przyjdzie na mnie odpowiedni czas. Zresztą jestem głupia. Jak mogłam sądzić, że ktoś taki jak Bailey Payette okaże się moim wybawicielem?

— Nadchodzą ciężkie czasy. Teraz każdy szuka sojuszników — spiera się z nim Dirk.

— W takim razie szukaj dalej. Nie łączę sił z mordkami, które wyglądają mi w chuj fałszywie. — Ponownie spogląda na mnie. — Za to ona jest łagodna. Godna zaufania.

— To tylko bezwartościowa smarkula.

— Tylko ona stanowi tu wartość — odpowiada Bailey, a w jego głosie pobrzmiwa autorytet. — Jest tak samo wartościowa jak moja ukochana maślanka, którą mogę pić hektolitrami. Swoją drogą, może powinienem wykupić całą firmę produkującą maślanke, by ta wytwarzała ją tylko dla mnie? To dość dobra myśl. — Drapie się po brodzie. — No cóż, to kwestia do przemyślenia. W każdym razie chcę ci przekazać, że chcę jej. — Wskazuje na mnie, powoli oblizując swoje usta.

Co? Nie! Nie chcę przechodzić przez to ponownie. Już dziś popełniłam ten błąd. Spojrzenie Bailey'a jest pożądliwe, co nie uchodzi uwadze Dirka. Oczywiście jest to, że przehandluje mnie w zamian za sojusz. Nie stanowię dla niego żadnej wartości, nie łączy nas żadna emocjonalna więź. Jestem dla niego jedynie przedmiotem, którego z chęcią się pozbędzie.

— Jakie są twoje warunki?

— Najpierw przetestuję, czy jest warta swojej ceny.

— To znaczy?

— Zabiorę ją do swojej sypialni. Tam rozedrę jej sukienkę, potem...

— Oszczędź mi szczegółów. Nie chcę sobie wyobrazać, jak posuwasz moją siostrę.

— Czyli się zgadzasz?

— Tak. Sprawdź jej umiejętności. Potem dogadamy resztę spraw związanych z naszą współpracą.

Ich rozmowa toczy się tak, jakby mnie tutaj nie było. Nie mam nic do powiedzenia ani nie mam jak się bronić. Jestem tu jedyną kobietą i nie mam dość siły, aby stawić czoła bratu, Payette'owi i Loganowi. Niegdyś uważałam się za silną kobietę, która osiągnie wszystko, czego zapagnie. Teraz jedynie chcę się wydostać ze świata mafii, lecz każda moja próba niesie za sobą katastrofalne skutki.

— Oczywiście — odpowiada mu Bailey, a następnie podchodzi do mnie i wyciąga w moim kierunku swoją dłoń. Mam kilka sekund na to, aby rozważyć dostępne opcje i wybrać tę, która oznacza mniejsze zło.

Opcja pierwsza — iść z Payette'em, dokądkolwiek ten zechce. Wykonać każde jego polecenie, co zadowoli Dirka. Może dzięki temu zyskam ochronę przed Loganem.

Opcja druga — odmówić i spróbować uciec, choć zapewne zostaną schwytana, zanim dotrę do drzwi wyjściowych.

Opcja trzecia — błagać o litość.

Spoglądam prosto w oczy czarne jak węgiel, a potem ujmuję dłoń ich właściciela. Wstaję posłusznie z krzesła i pozwalam się poprowadzić do wyjścia. Czuję na swoich plecach palące spojrzenie Dirka. Przed sobą widzę jedynie długi korytarz. Ciepła dłoń Payette'a delikatnie ściska moją. Nagłe uderzenia gorąca świadczą o moim podenerwowaniu, którego nie chcę po sobie pokazać. Tak naprawdę moje serce bije nienaturalnie szybko, a po plecach wolno spływa pot. Idę przed siebie w nieznanym kierunku, a obok mnie kroczy Payette, którego postawy nie potrafię zinterpretować. Wygląda na spokojnego, zrelaksowanego, choć jego spięta sylwetka świadczy o czymś zupełnie przeciwnym.

Bailey wprowadza mnie do pomieszczenia, które służy mu za sypialnię. W porównaniu z przepychem jadalni, ten pokój prezentuje się dużo skromniej. W zasadzie oprócz łóżka i lustra nie ma tu nic więcej. Czyżby to było specjalne pomieszczenie do testowania umiejętności łóżkowych kobiet?

— Masz jaja, Maeve — mówi poważnie.

— Słucham?

— Trzeba mieć jaja ze stali, aby prosić o pomoc faceta, którego każdy uważa za niebezpiecznego i nieobliczalnego świra.

*Zrozumiał twój gest, Mae?*

O mój Boże! Zauważył moje nieme wołanie o pomoc!

— A może po prostu nie mam już nic do stracenia?

— Nieprawda — uśmiecha się delikatnie. — Masz do stracenia życie.

— Co to za życie, kiedy nie mogę nim kierować, jak tylko chcę?

— Czego ode mnie potrzebujesz?

— Muszę uciec. Zaszyć się gdzieś, gdzie Dirk mnie nie znajdzie. Chcę zacząć żyć po swojemu, z dala od Austin.

— Dlaczego miałbym ci pomóc?

— Nie wiem — odpowiadam zrezygnowana. Siadam na skraju łóżka i zwieszam ramiona. Wzrok wbijam w drewnianą podłogę. — Może z dobroci serca?

— Sądzę, że go nie mam.

— Nie wierzę. — Spoglądam prosto w jego twarz. — Gdybyś go nie miał, nie zareagowałbyś, kiedy zrozumiałeś, że proszę cię o ratunek.

— Gdzie chcesz się udać?

— Nie wiem. Tam, gdzie odlatuje najwcześniejszy samolot.

— Dlaczego do tej pory tego nie zrobiłaś?

— Bo Dirk pilnuje mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kilkukrotnie próbowałam, ale jak widać, wciąż tkwię w bagnie po pas.

— Przygotuję dla ciebie fałszywe dokumenty. Nie możesz uciekać, posługując się swoim prawdziwym nazwiskiem. Mój kierowca zabierze cię jutro na lotnisko i dopilnuje, aby udało ci się przejść odprawę. W tym czasie twój brat będzie myślał, że pieprzymy się jak króliki. Nie wybiorę za ciebie kierunku lotu. Nie chcę też wiedzieć, gdzie jesteś. Zostawisz tu telefon komórkowy. Otrzymasz nowy. W zamian przechowasz dla mnie pewną rzecz.

— Co to takiego?



— Sygnet.

— Sygnet?

— Niezwykły sygnet — uśmiecha się przebiegle. — Jeśli ktokolwiek dowie się, że jesteś w jego posiadaniu, zginiesz. Osobiście dopilnuję, aby Maeve Whittaker w naszym świecie dalej była uznana za martwą, dlatego możesz spać spokojnie. Teraz pytanie brzmi: czy podejmiesz ryzyko w zamian za moją pomoc?

— Tak — odpowiadam bez zastanowienia.

— Kobieta z jajami — parska śmiechem. — Do zobaczenia jutro.

— Jutro? — Marszczę brwi.

— Dziś nie zdążę wyrobić dla ciebie dokumentów. Powiem twojemu bratu, że chcę cię mieć jeszcze jutro. Jeden dzień dzieli cię od wolności.

— Dziękuję...

— Podziękujesz mi dopiero wtedy, kiedy odbiorę od ciebie sygnet. Jeśli przeżyjesz, rzecz jasna...



## Anioł, który może leczyć zepsute wnętrze

*Dziesięć lat wcześniej*

— Maeve — zwraca się Robert Whittaker do swojej siedemnastoletniej córki. — Proszę, abyś na czas pobytu Javiera Blacka zajęła się jego synem.

— Dlaczego Dirk tego nie zrobi? — pyta dziewczyna z nieukrywanym oburzeniem. Nie chce zajmować się jakimś nadętym burakiem, który zapewne jest tak samo okrutny jak jego ojciec. Nastolatka doskonale zna Javiera, dlatego fakt, że została jej przydzielona rola niańki dla jego syna, przeraża ją.

O tym mężczyźnie krąży wiele historii i żadna z nich nie jest przyjemna dla ucha. Kilka miesięcy temu Maeve podsłuchiwała, jak jej ojciec opowiada swojej żonie o bezwzględności starszego Blacka. Podobno z zimną krwią zamordował miłość swojego życia, ponieważ ta podjęła decyzję o małżeństwie z innym mężczyzną. Jej ciało zostało poćwiartowane i podrzucone jej ówczesnemu narzeczonemu pod drzwi ich maleńkiego domu. Po tym, jak Javier Black własnoręcznie pozbawił życia swoją ukochaną, postanowił związać się z córką pastora, której nienawidził za jej dobroć. Pomimo że

urodziła mu syna, nie miał dla niej litości. Zakatował ją na śmierć, ponieważ chciał pokazać Gabrielowi, że jego ukochana matka była słaba i bezwartościowa.

Dlatego dziewczyna obawia się spotkania z synem samego Javiera Blacka. Przecież w ich żyłach płynie ta sama krew. Świat Gabriela jest wypełniony okrucieństwem, a to zawsze wywiera negatywny wpływ na psychikę, zwłaszcza jeśli doświadczyło się go jako dziecko.

— Ponieważ Dirk jest potrzebny tutaj. — Mężczyzna wskazuje na swoje biuro, a ton jego głosu świadczy o tym, że Maeve nie powinna się sprzeciwiać jego słowom.

— Dobrze. Zajmę się... — Dziewczyna specjalnie nie wypowiada imienia Gabriela, by nie wzbudzać podejrzeń Roberta co do tego, że zdarza jej się podsłuchiwać jego rozmowy.

— Gabe'em. Idź się teraz przebierz w coś bardziej wyjściowego. Nasi goście już jadą do nas z lotniska.

Ciemnowłosa zostawia swojego ojca w gabinecie, a sama pośpiesznie idzie zmienić ubrania. Mimo że najchętniej uciekłaby z tego miejsca, wie, że nie ma dokąd się udać ani za co żyć, dlatego godzi się na każde żądanie ojca. Zamienia swoją granatową letnią sukienkę na długie, czarne ogrodniczki i białą koszulkę. Według Roberta kobiety w tym świecie powinny nosić obcisłe ubrania, głównie w czerni i ze skóry. *Cóż za absurdalne zasady*, myśli ciemnowłosa. Maeve wręcz nienawidzi ciuchów uwydatniających jej kształty. Jest świadoma, w jaki sposób działa na chłopców, w których zaczyna buzować zbyt duża ilość testosteronu, a to budzi w niej niechęć do płci przeciwnej. Nie lubi czuć na sobie tych wszystkich wygłodniałych spojrzeń, głośno krzyczących: „Chcę cię przelecieć, słonko!”. Czasem chciałaby, aby każda jej krągłość zniknęła. Chciałaby być niewidoczna dla otoczenia. Jednakże, póki mieszka

w tym domu, musi dostosować się do żądań ojca, a jednym z nich jest opieka nad Gabrielem Blackiem.

— Kilka zasad! — Do pokoju Maeve szybkim krokiem wchodzi jej brat. — Słyszałem, że ojciec chce, abyś niańczyła pieprzonego Blacka — burczy z niezadowoleniem.

Chłopak nienawidzi tej rodziny, odkąd pierwszy raz poznał Javiera. Pragnie, aby ten zniknął z życia jego ojca, choć zdaje sobie sprawę, że Robert Whittaker ceni sobie znajomość z tym snobistycznym okrutnikiem przez wzgląd na liczne nielegalne transakcje związane ze sprzedażą broni palnej dla meksykańskich karteli. Dirk jest przekonany, że za sprzedażą broni kryje się coś więcej. Nie wie jednak co, ale pracuje nad tym.

— Szybko to odkryłeś.

— Posłuchaj mnie uważnie. Po pierwsze, nie bądź miła. Po drugie, ignoruj go na tyle, na ile jest to możliwe. Po trzecie, nie daj się pocałować. Po czwarte, nie rozkładaj przed nim nóg. Po piąte, pamiętaj, że ty należysz do Whittakerów, a Blackowie to śmieci, których trzeba się pozbyć.

Ciemnowłosa jeży się na usłyszane słowo. *Co za plant*, myśli.

— Za kogo ty mnie masz?

— Nie dorostaś jeszcze do tego świata.

— Wcale nie chcę do niego dorastać.

— I to jest twój problem. Im szybciej zrozumiesz, kim jesteś i czyjej władzy podlegasz, tym lepiej dla ciebie. Jeśli zaczniesz się buntować, oberwiesz. Jeśli zlekceważysz moje zasady, pożałujesz.

— Jak śmiesz mnie zastraszać?

— Ja cię tylko grzecznie proszę, abyś nie zbliżała się do pieprzonego Blacka.

— Jakoś nie usłyszałam słowa „proszę”!

— Ja nigdy nie proszę.

— Jasne. Ty żądasz.

— Lepiej dla ciebie, abyś była posłuszna. Gabriel Black jest twoim owocem zakazanym.

— Dlaczego boisz się, że na niego polecę?

— Bo to pieprzony Black. Ma w sobie urok, który zwodzi, więc lepiej uważaj! — odpowiada Dirk enigmatycznie. *Kretyn*, myśli ciemnowłosa, kiedy brat pozostawia ją samą w jej sypialni. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego przestrzega ją przed synem Javiera. Co prawda dziewczyna jest w pełni świadoma zagrożenia z jego strony, lecz nie sądzi, aby ten ją skrzywdził przez wzgląd na powiązania jego ojca z jej staruszkiem. Jeśli jednak wykaże się okrucieństwem wobec niej, nie będzie milczeć. Jest na tyle silną kobietą, by stawić czoła diabłu, którego nienawidzi Dirk.

Po dwudziestu minutach, słysząc rozradowany głos ojca, Maeve schodzi na dół, aby przywitać się ze współnikiem swojego rodziciela.

— Robercie... — Javier Black ściska dłoń Whittakera. — Liczę, że tym razem również odniesiemy sukces.

— Również mam taką nadzieję, przyjacielu.

— Dzień dobry.

Nastolatka uprzejmie wita się z gościem, którego widzi pierwszy raz. Wcześniej miała zakaz zbliżania się do tego mężczyzny, ponieważ była za młoda, by poznawać współników Roberta. Była przez niego ukrywana, aż do dziś. Skończyła siedemnaście lat, a to oznacza, że nadszedł czas na wdrożenie się w podziemny świat brutalności, bezprawia, narkotyków i nielegalnych interesów.

— Och, dzień dobry. — Javier przenosi swoje spojrzenie na Mae. — Masz śliczną córkę, Robercie.

— Wykapana matka — odpowiada z dumą Whittaker. — A gdzie twój syn?

— Na zewnątrz. Czeka, aż ktoś się nim zajmie. Nie zrozum mnie źle, przyjacielu, ale Gabe nie jest zbyt miły.

*Tego się obawiałam*, myśli Mae.

— Nie przejmuj się. — Robert zbywa jego komentarz. — Mae zgodziła się nim zająć.

— Cudownie. — Javier kieruje swój zadowolony uśmiech na podenerwowaną szatynkę. — Mam nadzieję, że się dogadacie.

— To ja może do niego pójde — proponuje Mae, na co jej ojciec reaguje przytaknięciem. Nastolatka wymija ich i wychodzi z domu wprost na podjazd, gdzie o samochód opiera się wysoki blondyn, którego postawa ciała świadczy o znudzeniu. Chłopak jest odwrócony do niej plecami. Głowę unosi w stronę prażącego słońca.

— Czy u was zawsze jest tak kurewsko gorąco? — pyta z wyrzutem, jakby to Mae była winna upałam, jakie panują w całym Teksasie.

— Tak — odpowiada szatynka, a Gabriel Black przenosi swoje spojrzenie na najbardziej niewinną i słodką dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział. Jej ciemne włosy tworzą kopułę wokół jej twarzy, uwydatniając spojrzenie jej błękitnych oczu. Chłopak wpatruje się w dziewczynę, jakby objawił mu się anioł, próbujący naprawić jego zepsute wnętrze.

— Kurwa — fuka blondyn. — Jesteś gorętsza niż to pieprzone słońce. — Niespodziewany komplement z ust Gabe'a powoduje na policzkach Mae rumieńce. Nie pamięta ona, żeby kiedykolwiek wcześniej się rumieniła na słowa jakiegoś chłopaka, ale Gabriel Black nie jest zwyczajnym facetem, który siedzi z nią w ławce w szkole. On jest diabłem... Dirk ostrzegał ją przed jego urokiem.

*Maeve, nie daj się zwieść jego ładnej buźce*, myśli ciemnowłosa.

— Chcesz coś zjeść? — pyta Mae, aby odwrócić jego uwagę od swojej twarzy. Jego wzrok mógłby stopić plastik.

— Kurwa, ciebie.

Gabe wie, jak bardzo żałosne są jego słowa, ale wymknęły się z jego ust, zanim zdołał je przemyśleć. Ciemnowłosa wybałusza oczy i cofa się o kilka kroków. Nie chce, aby blondyn ją chociażby delikatnie musnął palcem. Obawia się go, lecz nie chce mu pokazać swojego lęku. Ten chłopak wzbudza w niej mieszane uczucia — strach, fascynację i onieśmielenie.

— Wolalabym, abyś do tej twojej niewyparzonej gęby napchał sobie butki — odgryza się szatynka pomimo towarzyszącego niepokoju.

— Cokolwiek — odpowiada z rozbawieniem. — Mogą być butki, o ile zjesz jedną ze mną.



## **Jedno skinienie głowy, a wszystko się komplikuje**

Pojedyncza łza spływa po moim policzku. Nie jest ona oznaką smutku ani strachu. Pojawiła się, ponieważ odzyskałam nadzieję. Kiedy jej we mnie nie było, czułam, że czegoś mi brakuje. Bez wiary w lepsze jutro dryfowałam w krainie smętnego pesymizmu. Kiedy jednak Bailey Payette wyciągnął do mnie pomocną dłoń, nadzieja powróciła, a wraz z nią wiara w siebie. Wpatruję się w ulice Las Vegas zza tylnej szyby wynajętego przez Dirka samochodu. Jesteśmy w drodze do posiadłości Payette'a, a to oznacza, że dziś uwolnię się od brata i jego piekielnej bandy.

— Kiedy moja malutka siostrzyczka zamieniła się w tak dobrą dziwkę, co? — pyta Dirk, spoglądając w lusterko wsteczne. Unoszę lekceważąco brew, ponieważ to pytanie wcale mnie nie zaskoczyło. Odkąd Bailey poinformował go, że potrzebuje jeszcze jednej upojnej nocy ze mną, by podjąć decyzję o współpracy, zyskałam przydomek „nieokiełznanej dziwki z mokrą cipką”. Zabawne, jak szybko można zaszufładować kobietę. Stałam się kurwą, ponieważ pragnę wolności. Chwytam się wszystkiego, by zacząć żyć na swoich zasadach, a jedna wpadka z Loganem nie może mnie napiętnować na zawsze. W oczach brata mogę być



nawet rozwiążą szmatą, nadającą się do wycierania brudnej podłogi, a i tak będę dumna z siebie, kiedy wyląduję na innej ziemi i w końcu odważę się być tą kobietą, którą pokochał Gabriel.

Chcę, aby obraz dziewczyny, jaką w głowie ma mój mężczyzna, pokrywał się z rzeczywistością. W tym momencie jestem słaba. Zostałam stłamszona przez apodyktycznego sukinsyna, ale narodzę się na nowo, by stać się lepszą wersją samej siebie. Pragnę spoglądać w lustro i dostrzegać w nim Maeve Whittaker jako osobę, która odniosła zwycięstwo. Nigdy więcej nie pozwolę, aby jakikolwiek mężczyzna zapanował nad moim życiem. Nie pozwolę sobą manipulować. Nie wyrażę zgody na kontrolowanie mnie. Chcę być tą kobietą, która sprawiła, że serce Gabriela Blacka zabiło mocniej. Tą, która naprawiła jego złamane serce.

— Ukrywałam ten talent, aby wykorzystać go w odpowiednim momencie — odpowiadam ironicznie.

— Masz to po mamusi — rzuca z kpiną. — Obyś tylko nie skończyła jak ona.

— Przecież mnie uśmierciłeś — ripostuję. — Nie dostrzegam większej różnicy. No może taką, że jednak nie gniję trzy metry pod ziemią jak ona.

Dirk wbija palące spojrzenie w lusterko wsteczne. Przetrzymuję je, dopóki sam nie odwraca wzroku na drogę przed sobą. Między nami zapada cisza i liczę na to, że tak pozostanie aż do momentu pojawienia się u Payette'a. Nie mam najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusję na temat mojej śmierci. Tym bardziej nie chcę poruszać tematu naszej matki, która zniknęła z mojego życia z dnia na dzień. Jedni mówią, że nie żyje, lecz są też tacy, którzy spekulują, że została gdzieś ukryta. Dirk przystaje przy wersji, że nasza matka umarła, lecz ja nie potrafię w to uwierzyć. Nie

widziałam nigdy jej martwego ciała. Po prostu rozplynęła się w powietrzu, tak jakby nigdy nie istniała.

W pełnej napięcia ciszy docieramy pod dom Payette'a. Wsiadam z samochodu w tempie błyskawicznym. Chcę już być w drodze na lotnisko. Pragnę wzbić się w powietrze, by dotrzeć do swojego celu, jakim jest nowe lepsze życie.

— Och, moja śliczna mordeczka...

Z domu wyłania się mój wybawca. Idzie w moim kierunku z rozłożonymi rękami, które przypominają mi skrzydła anioła stróża. Dla mnie Bailey jest właśnie takim aniołem. Nawet jeśli przez tajemniczy sygnet stracę życie, uznam, że to niska cena w porównaniu z więzieniem, w którym jeszcze się znajduję. Ciemnowłosy przytula mnie do siebie w przyjaznym geście.

— Wszystko gotowe — szepcze mi konspiracyjnie do ucha, a następnie odsuwa się na odległość metra, by przywitać się z moim bratem.

Panowie wymieniają mocne uściski dłoni i milczą. Porozumiewają się za pomocą spojrzeń. Wzrok Dirka widzę doskonale. Jest ostry, oceniający oraz nieufny. Za to spojrzenia Payette'a nie widzę. Musi być jednak jasne dla mojego brata, ponieważ ten pośpiesznie przytakuje. Obserwuję wszystko z lekkim niepokojem. Co, jeśli Bailey właśnie wyjawia Dirkowi plan mojej ucieczki? Może jednak jest lojalny wobec szefa klubu motocyklowego z Austin?

*Maeve, nie panikuj. Trochę więcej wiary w człowieka, który wyciągnął do ciebie pomocną dłoń. Przestań się stresować, bo to może wzbudzić zainteresowanie Dirka!*

Poza obu mężczyzn nie zmienia się od minuty. W tym czasie moje serce z pewnością uderzyło więcej razy niż wynosi norma. Dłonie zaczynają mi się pocić, a Bailey wciąż trzyma w uścisku dłoni Dirka. Ich milczenie nie uspokaja mnie w żaden sposób. Nie mam pojęcia, jak je interpretować. Cisza

przeciąga się o kolejne sześćdziesiąt sekund, a w moim ciele pojawiają się kolejne symptomy niepokoju — w płucach zaczyna brakować powietrza, dlatego zaczynam oddychać szybciej.

*Co się dzieje?*

Z całą pewnością ta wymiana spojrzeń nie jest normalna. Nawet Logan to zauważa i zaczyna niespokojnie zmieniać ciężar nogi z prawej na lewą i na odwrót. Przełykam ślinę, starając się zachować spokój. Nie jest to jednak łatwe, gdy dwóch groźnych bossów mafijnych tkwi w dość przerażającej pozie.

Nagle czyjeś dłonie dotykają moich ramion. Podskakuję.

— Pani pójdzie ze mną — wypowiada tonem nieznoszącym sprzeciwu. Na te słowa Dirk chrząka, jakby wybudził się z transu.

— Co jest, kurwa? — pyta i próbuje wyrwać dłoń z uścisku Payette'a, lecz bezskutecznie. — Kim jest ten fagas?

Bailey odwraca głowę, aby na mnie spojrzeć, a po kilku sekundach przenosi wzrok na coś lub kogoś znajdującego się za mną. Nieznacznie kiwa głową, a wtedy głośnym echem padają dwa wystrzały z broni palnej. Oba pociski trafiają do celu. Jeden w klatkę piersiową Dirka, drugi w sam środek głowy Logana.

— To za Isabelle, zła mordeczko — wypowiada nienawistnie Payette, wgapiając się w upadającego Dirka. Odrętwienie to jedyne, co czuję. Właśnie zabito dwóch ludzi. Mojego brata i Logana, a ja nie potrafię nawet krzyżeć. Przecież nie taki był plan.

Ja miałam uciec. Bailey miał mi pomóc. Nie było mowy o niczyjej śmierci. Nikt nie wspominał o strzałach. Nienawidziłam Dirka, więc nie powinno mnie to ruszyć. Powinnam skakać z radości. Piszczęć ze szczęścia. Rzucić

się w ramiona Payette'a, dziękując mu za zakończenie mojej męki. Dlaczego więc ta nienawiść przeze mnie nie przemawia? Słowo „dziękuję” wydaje się takie nie na miejscu. Nie sądziłam, że w obliczu śmierci Dirka poczuję się tak... No właśnie, jak?

— Wiesz, co masz robić, Ian. — Słowa wydobywają się z ust Bailey'a, lecz nie dociera do mnie ich sens. Wpatruję się w nieruchome ciało mojego brata. Nie zwracam uwagi, kiedy tracę grunt pod nogami. Nie martwi mnie to, że oddalam się od miejsca zbrodni. Miałam być dziś wolna.

*Jesteś wolna, Mae. Jesteś.*

— Kim była Isabelle? — wypowiadam cicho, a słowa docierają jedynie do uszu Iana, który zabiera mnie z miejsca, w którym splamiono ziemię krwią mojego brata.

— Radzę nie zadawać pytań.

— Dokąd mnie zabierasz?

— Mówiłem, że masz o nic nie pytać.

— Mam prawo wiedzieć, co się ze mną stanie!

— Bailey Payette zawsze dotrzymuje obietnic.

— A więc pozwoli mi odejść?

— Skoro to pani obiecał.



## Nowy wynalazek świra

Gwendolyn Schofield to nowa wersja Maeve Whittaker. Tak przynajmniej wynika z mojego nowego dowodu tożsamości. Jaka więc może być Gwen? Skoro to zupełnie nowa kobieta, to mogę wybrać cechy jej charakteru, jakbym tworzyła członka rodziny w *The Sims*. Chciałabym, aby była pełna nadziei na nową miłość. *Maeve żyje w cieniu Gabriela. Gwendolyn może zwojować świat w samotności. Mae wolalaby brnąć przez życie u boku mężczyzny, którego kocha całym swoim sercem.* Nowa kobieta może uśmiechać się do swojego odbicia w lustrze i dostrzegać szczęście w swoich oczach. *Stara ja zawsze jednak będzie widzieć upadek brata i samej siebie.* Gwen powinna czerpać z życia tyle, ile się tylko da. Spełniać marzenia i sięgać po swoje pragnienia. *Maeve tego nie potrafi. Od dziesięciu lat żyje obietnicą, która wypala się za cztery dni.*

Nigdy nie stanę się Gwendolyn. Zawsze w jej ciele będzie Maeve Whittaker. Nową postać wykorzystam jedynie do tego, aby wydostać się ze stanu Nevada. Dziś wzbiję się w powietrze, by pokochać siebie na nowo i odnaleźć swoje miejsce, w którym będę mogła oddychać pełną piersią. Chcę trafić w miejsce, w którym poczuję się bezpiecznie, a

myśli o śmierci jedynej rodziny, jaką miałam, pójdą w zapomnienie.

Nienawiść, jaka płynęła w moich żyłach do Dirka, zamieniła się w żal do niego. Nie dał mi szansy, abym mu wybaczyła. Nie pozwolił mi dojrzeć do tego, aby zaakceptować jego brutalną stronę. Życzyłam mu, aby utracił kogoś, kogo pokocha. Wtedy czułam, że te słowa są odpowiednie, ale w obliczu jego śmierci żałuję, że to powiedziałam. Nie powinnam sobie tego wypominać. Wtedy czułam się zraniona jak nigdy wcześniej. Odebrał mi wszystko, czego pragnęłam. Przemawiała przeze mnie zawiść. Chciałam, by cierpiał. Zapomniałam tylko o tym, że był moim bratem, który przez znaczną część dzieciństwa chronił mnie przed napadami złości naszego ojca. Mimo że zmiądzzył moje serce i zignorował uczucia, nie powinnam życzyć śmierci osobie, którą pokocha. Teraz jednak nawet nie będzie miał szansy, aby rozmrozić swoje skute lodem serce i otworzyć się na uczucia pełne pożądlivej pasji i gorącej namiętności.

Chciałam uwolnić się od jego dyktatury, ale nie pragnęłam jego śmierci. W głębi duszy zależało mi na nim, nawet jeśli wmawiałam sobie, że jest inaczej. Chociaż rozdzielił mnie na zawsze z Gabrielem, markując moją śmierć, nie potrafię żywić do niego złych uczuć. Owszem, jestem rozczarowana, pełna złości i gniewu, ale dziś dotarło do mnie, że mój ból nie jest jednoznaczny z nienawiścią. Czasu jednak nie zdołam cofnąć. Mam na dłoniach krew własnego brata. Albo zdołam to zaakceptować, albo ucierpi na tym moje zdrowie psychiczne. Muszę udźwignąć ten ciężar, by udowodnić sobie, że mimo wszystko Dirk nie zginął po to, abym zmarnowała swoje życie.

Zyskałam wolność, nową tożsamość i szansę na ułożenie życia wedle swoich najskrytszych pragnień, ale kosztem życia brata. To dopiero epicka ucieczka z Austin. Gwendolyn Schofield dzierży w dłoniach własny dowód

osobisty i sygnety, który załatwił jej przepustkę. Mam go ukryć, a jeśli ktoś go odnajdzie, zapłacę za to życiem. Chciałabym znać powód, dla którego ten złoty męski pierścień jest powodem, dla którego mogę zginąć. Wygląda niepozornie, co zapewne jest zgubne. Dziś przekonałam się, że Payette jest nieprzewidywalnym sukinsynem, a to oznacza, że nie chciałaby ukrywać sygnety, gdyby był bezwartościowy.

Po prawdzie powinnam go wyrzucić. Payette zamordował Dirka, choć plan był zupełnie inny. Nie mogę jednak zignorować faktu, że dotarłam na lotnisko z eskortą Iana. Otrzymałam od niego nową tożsamość, ubrania, pieniądze i sprzęty elektroniczne. Obiecał mi udaną ucieczkę, lecz nie poinformował mnie o tym, że Dirk zapłaci za to życiem. Nawet jeśli padły słowa: *To za Isabelle, zła mordeczko*, nie jestem w stanie przestać myśleć, że mój brat zginął z mojego powodu. Nie mam pojęcia, kim była wspomniana dziewczyna ani co takiego zrobił jej Dirk, ale moja intuicja mówi mi, że to nie był jedyny powód egzekucji wykonanej przez jednego z ludzi nieobliczalnego świra.

— Miłego lotu, dokądkolwiek pani leci — mówi Ian, kiedy podaje mi drugą walizkę. — Szef skontaktuje się z panią, kiedy będzie chciał odzyskać swoją zgubę.

— W jaki sposób?

— Zapisał swój numer w pani nowej komórce.

— Ach, czyli jednak ktoś będzie wiedział, gdzie się udam — uśmiecham się sztucznie. Payette poinformował mnie wczoraj, że nie chce wiedzieć, dokąd pojedę. Jak widać, nikomu nie można ufać. Nawiasem mówiąc, nie potrafię zaufać nawet sobie. W ciągu kilku dni robiłam głupstwa, o które sama bym sobie nie podejrzewała.

— Szef zawsze wie wszystko.

— Nie wątpię — mamroczę pod nosem. Zaciskam dłonie na rączkach od obu walizek, a następnie odwracam się, by zniknąć z tego miejsca raz na zawsze.

— Radzę się pani pośpieszyć — woła za mną Ian. Zatrzymuję się raptownie i marszczę brwi. Odwracam głowę, aby spojrzeć na rozbawionego mężczyznę.

— Co to ma znaczyć?

— Nie jestem do końca pewny, czy pani brat dostał prawdziwym pociskiem. Śmiem twierdzić, że pan Payette przetestował na nim swój nowy wynalazek. — Jego uśmiech wygląda zupełnie tak samo jak uśmiech pana Hectora z filmu *Kevin sam w Nowym Jorku*, kiedy odkrył, że karta głównego bohatera jest kradziona.

— Słucham?

— To taki ulepszony ślepek. Kiedy zderza się z ciałem, rozpryskuje się, emituje środki odurzające i pozostawia dość sporawy ślad sztucznej krwi w miejscu uderzenia. Najprawdopodobniej pani brat niedługo wybudzi się ze snu. Chyba że snajper pomylił pociski i ślepek oberwał Logan. Choć jego czaszka wyglądała dość krwiście.

— W takim razie dlaczego Payette powiedział, że to wszystko jest za Isabelle? Kim w ogóle jest ta kobieta?

— Szef lubi dramatyzować. Isabelle to jego siostra.

— Jesteście nienormalni! — oburzam się.

— Sądziłem, że genialni. Pani zyskała czas, aby dotrzeć tu, a szef przynajmniej wie, że jego ślepek to działający produkt, który sprzeda za miliony. — Mężczyzna zerka na zegarek. — Sądzę, że zostało pani niewiele czasu. Zapewne Dirk już się wybudził i wyruszył na poszukiwanie swojej małej siostrzyczki. W takim razie miłego lotu. Przekażę szefowi, że go pani podziwia i pozdrawia. Payette uwielbia pochlebstwa i pochwały.



— Lubi też bawić się kosztem innych ludzi — stwierdzam.

— Uznaje to za dobrą rozrywkę — odpowiada, po czym siada za kierownicę. Po niespełna dziesięciu sekundach odjeżdża z piskiem opon. Jeszcze chwilę temu zastanawiałam się, czy mam na rękach krew własnego brata, a teraz pozostało niewiele czasu, aby przed nim uciec. Co prawda zrozumiałam, że nie żywię do niego nienawiści, lecz to nie ma nic wspólnego z chęcią samodzielnego życia, dlatego kieruję się prosto do kasy biletowej na lotnisku.

Moje emocje to mieszanina uczuć. Ulga, wściekłość, presja czasu, stres, lęk, a nawet załóżek radości. Nie chcę ich jednak teraz interpretować, ponieważ czas mnie nagli. Najpierw odlot, potem praca nad własnymi emocjami.



## Krzyk, który słyszą góry

Byłam przekonana, że nigdy nie uda mi się wsiąść na pokład samolotu. Nie sądziłam, że maszyna wzbije się w powietrze, zanim Dirk dotrze na lotnisko, aby mnie powstrzymać. Teraz jednak z fascynacją oglądam nocną panoramę Anchorage, które jest otoczone z każdej strony wysokimi górami Chugach oraz pasmem szczytów Alaska Range.

Uciekam aż na dziką Alaskę, w której deszcz występuje prawie każdego dnia. Jestem zwolenniczką prażącego słońca. Nie lubię marznąć, ale Gwendolyn Schofield zdecydowanie pokocha ten klimat. Ja pokocham to miejsce, ponieważ pierwszy raz od dwudziestu siedmiu lat zacznę oddychać powietrzem, które nie jest skażone bliskością mojego ojca oraz Dirka. Co prawda czuję ulgę, wiedząc, że mój brat żyje, a jego postrzelenie to tylko eksperyment Bailey'a, ale nie zmienia to mojego zdania na temat jego apodyktycznej i okrutnej strony. Nie nienawidzę go, lecz nie przyznam, że nasza więź jest braterska. Już dawno przestałam się łądzić, że stanę się jego siostrą, którą za wszelką cenę będzie chronił i dbał o jej dobro.

Samolot zaczyna się obniżać. Z każdym kolejnym metrem narasta we mnie euforia. Wiercę się na fotelu, a starsza

pani siedząca obok mnie spogląda na mnie ze znużeniem. Zapewne nie potrafi zrozumieć, jak ktoś może ekscytować się pobytem na zimnej i deszczowej Alasce. Nie pojęłaby tego, nawet gdybym opowiedziała jej całą historię mojego życia. Ktoś, kto nie przeżył tego, co ja w świecie mafijnego gangu motocyklowego, spojrzełby na mnie jedynie jak na bajkopisarza. Zresztą nie mam obowiązku tłumaczenia się nikomu.

*O mój Boże! Mae, lądujemy!*

Koła samolotu stykają się z płytą pasa startowego. Pojedyncza łza ulgi spływa po moim policzku, a w piersi narasta odczucie utożsamiane z ekstazą. Jestem wolna. Ja, Maeve Whittaker, w końcu stanę się panią swego losu. Spełnię swoje marzenia, sięgnę gwiazd, pokocham siebie na nowo i rozpocznę nowy etap życia. Mam nadzieję, że nigdy nie powrócę na ziemię Teksasu. Nie będę tęsknić za domem, który kojarzy mi się jedynie z bólem i więzieniem. Tam zginął mój ojciec, tam prawdopodobnie zamordowano moją matkę, tam uwięził mnie własny brat. Takiego miejsca nigdy nie nazwę domem. Nie było w nim ciepła, miłości i uśmiechu. Było za to okrucieństwo, złość, niebezpieczeństwo i kontrola. W tym miejscu straciłam miłość życia — *Gabriela*.

Dziś dwudziesty października. Za trzy dni jego obietnica straci ważność. Każde z nas pójdzie w swoją stronę. Życzę mu, aby związał się z kobietą, która pokocha go równie mocno jak ja. Chcę, aby był szczęśliwy i spełniony. Wiem, że on chciałby tego samego dla mnie. Czuję to w swoim sercu. Myślę nawet, że chciałby, abym żyła, choć nie jestem martwa. On tego nie wie, dlatego nie stał się moim księciem na białym rumaku, ratującym mnie z opresji. To dla niego uciekłam na dziką Alaskę, z dala od zgiełku Austin oraz Dirka i jego ludzi.

— Szanowni państwo, dziękujemy za skorzystanie z naszych linii lotniczych. W imieniu całej załogi życzę państwu udanego pobytu — mówi stewardessa, kiedy nasz lot dobiegł końca. Pasażerowie jeden po drugim wstają z miejsc i wyciągają swoje torby podręczne. Starsza pani, która siedziała obok mnie cały lot, uniemożliwia mi jednak wyjście. Uparcie tkwi na swoim miejscu, czekając, aż reszta osób zacznie wychodzić z pokładu. Cholera jasna! Chcę stąd wyjść, aby stanąć na płycie lotniska jako nowa Maeve.

— Pośpiech doprowadza do wielu śmiertelnych wypadków — mówi kobieta z dziwnym akcentem. Delikatnie kaleczy język angielski, więc zapewne nie jest on jej ojczystym językiem.

— Za przeproszeniem, ale co może mi się stać na lotnisku albo w samolocie? — pytam poirytowana. Znaczna większość pasażerów zmierza już w kierunku wyjścia, dlatego nie rozumiem, dlaczego wciąż siedzimy na swoich miejscach.

— Możesz się pośliznąć, ponieważ zbliża się zima, a tutaj bardzo szybko pojawia się śnieg i lód.

— Rozumiem — odpowiadam, chcąc uciąć pogawędkę. — Chciałabym wysiąść.

— Wam, młodym, zawsze się gdzieś śpieszy — mamrocze lekceważąco. Ignoruję jej słowa, a kiedy kobieta wstaje, wyskakuję ze swojego miejsca jak poparzona. Zabieram swoją podręczną torbę i wybiegam z pokładu samolotu. Rzeźkie powietrze omiata moją twarz, a mroźny wiatr wywołuje gęsią skórę na całym ciele. Flanelowa koszula i jeansy nie chronią mnie przed zimnem, dlatego prędko wbiegam do lotniskowego autobusu. Żałuję, że nie mam ze sobą żadnej ciepłej kurki, lecz nie spodziewałam się, że udam się w miejsce, które słynie z zimna, deszczu i braku słońca. Trafiłam tutaj, gdzie warunki do życia są trudniejsze

przez klimat i ukształtowanie terenu, lecz to nie zniechęca mnie do tego, by tu rozpocząć nowy rozdział.

Po niespełna dwudziestu minutach wychodzę z budynku lotniska szczęśliwa i wolna. Nim zdołam się powstrzymać, otwieram usta, by wydać z siebie okrzyk pełen ulgi. Krzyczę, ignorując ludzi wokół. Mój wrzask dociera aż do gór, które wyglądają jednocześnie złowieszczo i pięknie. *Mae, udało się. Udało się!*

— Wariatka — kwituje przypadkowy przechodzień, który odsuwa ode mnie swojego syna, jakby bał się o to, że zrobię mu krzywdę. Posyłam mężczyźnie przyjazny uśmiech. Ucieka ode mnie jeszcze szybciej. Co ja takiego zrobiłam? Wzruszam ramionami, a następnie podchodzę do miejsca, w którym zostały zaparkowane taksówki i miejskie autobusy.

— Dzień dobry ślicznej pani — kłania się przede mną niskawy taksówkarz. — Dokąd panienka się wybiera?

— Chciałabym dotrzeć do hotelu.

— Miałem nadzieję, że trafi mi się dużo dalsza trasa niż do centrum Anchorage — komentuje posępnie. — Ale każda trasa jest dobra na zarobienie kilku dolców więcej.

Przez chwilę przyglądam się mężczyźnie. Dostrzegam porozklejane buty, kruszący się materiał skórzanej kurtki oraz podziurawioną czapkę. Na pierwszy rzut oka wygląda na kogoś, kto nie wie o łatwym życiu, a mnie zawsze jest szkoda takich osób.

— Tak naprawdę nie zdecydowałam jeszcze, dokąd chcę się udać — rzucam, delikatnie się przy tym uśmiechając. — Dopiero szukam swojego miejsca na ziemi. Jak daleka trasa panu pomoże godnie zarobić?

— Co najmniej do Wasilli i z powrotem, lecz nie chciałbym aż tak panienki naciągać. To pięćdziesiąt mil w jedną stronę.

— W takim razie proszę mnie zawieźć do Wasilli — stwierdzam natychmiast. Jako że Payette wykazał się hojnością i podarował mi również dwadzieścia tysięcy dolarów, mogę pozwolić sobie na taki wydatek. Poza tym im dalej znajdę się od Dirka, tym lepiej. Przy okazji wykonam dobry uczynek i pozwolę starszemu panu zarobić.

— Jest pani pewna?

— Oczywiście.

— W takim razie jest pani aniołem dla mnie i mojej rodziny.

— Delikatnie dotyka mojego ramienia. — Pozwoli pani, że schowam bagaże.

Przytakuję, a następnie zajmuję miejsce na tylnej kanapie samochodu. Moja przygoda na Alasce właśnie się rozpoczęła. Nie mam pojęcia, co przyniosą kolejne dni, ale jestem dobrej myśli. Moja intuicja podpowiada mi, że trafiłam do miejsca, które prędko zacznę nazywać domem. Wewnątrz mnie zaczyna panować harmonia. Chaotyczne myśli ustają, pozostaje błoga cisza. Nareszcie.



## **Wiatr we włosach i adrenalina we krwi**

*Dziesięć lat wcześniej*

Uśmiech Maeve Whittaker jest szczery, kiedy wpatruje się w okruszki po bułce znajdujące się we włosach Gabriela Blacka. Dziewczyna zastanawia się, w jaki sposób zjadliwe paprochy znalazły się w blond kosmykach chłopaka. Siedzą naprzeciwko siebie na ławkach w pobliskim parku, gdzie dzieciaki bawią się nieopodal na placu zabaw. Ich obecność sprawia, że między Mae a Gabrielem nie panuje niezręczna cisza, mimo że nie mają o czym ze sobą rozmawiać. Oboje uparcie milczą, lecz to nie jest oznaka braku zainteresowania sobą nawzajem.

*Jaka ona jest piękna, myśli Gabriel.*

*Jaki on jest przystojny, myśli Mae.*

Wpatrują się w siebie. Żadne z nich nie czuje skrępowania. Dla przypadkowego przechodnia wyglądałoby jak para, która zna się od lat i porozumiewa się bez słów. Zupełnie tak jakby wystarczały im same spojrzenia. Maeve pomimo lęku nie potrafi wyzbyć się myśli, iż siedzący naprzeciwko niej mężczyzna ją intryguje. Dirk przestrzegął ją przed nim. Sama uznała, że syn Javiera Blacka musi być tak

samo okrutny jak on. Jednakże Gabe wygląda na kogoś, kto brzydzi się rozlewem krwi. Jego oczy są dobre. Dziewczyna nie dostrzega w nich brutalności. Ciemnowłosa wierzy, że oczy są odzwierciedleniem duszy. Natomiast Gabriel jest zafascynowany swoją towarzyszką. Podziwia jej urodę — delikatnie zadarty nosek i pełne usta tworzą obraz przyjemny dla oka. Kolor tęczówek to czysty błękit szafiru. Blondyn nigdy wcześniej nie widział takiego odcienia. Wie, że mógłby się zatracić w tym spojrzeniu. Zdaje sobie sprawę, że może ją przerażać, ponieważ należy do rodziny, która nie ma dla nikogo litości. Jego własny ojciec nie żałuje nawet morderstwa własnej żony, która była dla Gabriela cudowną matką. Chciałby, aby Maeve miała o nim dobre zdanie.

— Masz ochotę na przejażdżkę? — pyta blondyn, obserwując reakcję Mae z zaciekawieniem. Na jej twarzy w przeciągu kilku sekund odmalowało się kilka różnych emocji. Od lęku przez niepewność aż do podjęcia decyzji.

— Tak — mówi, a barwa jej głosu jest delikatna niczym śpiew małego aniołka. Gabriel uśmiecha się szeroko. Nie spodziewał się, iż ciemnowłosa przystanie na jego propozycję. Maeve zaskoczyła samą siebie, zgadzając się na przejażdżkę. Jak dotąd nie miała okazji z nikim wsiąść na dwukołowca, pomimo że te maszyny każdego dnia są zaparkowane przed jej domem. — O ile obiecasz mi, że wrócę do domu cała.

— Osobiście dopilnuję, abyś była bezpieczna.

— Sądziłam, że bezpieczeństwo osób wokół ciebie nie istnieje.

Słowa Mae to policzek wymierzony Gabrielowi. Blondyn zerka na nią z urazą, choć nie zamierza tego komentować. Wiedział, że reputacja jego ojca rzuca się cieniem również na niego. Nigdy wcześniej nie przeszkadzało mu to, lecz dziś jest zupełnie inaczej. Nie chce, aby Maeve postrzegala go jako sukinsyna bez serca i sumienia. Nie ma pojęcia, dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, aby ciemnowłosa



poznała go od jego prawdziwej strony. Poznał ją godzinę temu. Nie powinien przejmować się słowami jakiejś nastolatki, lecz z niewiadomych powodów pragnie stać się przy niej sobą. Mae od razu zauważa zmianę w wyrazie twarzy blondyna. Momentalnie czuje wyrzuty sumienia. Najwyraźniej zdołała urazić faceta na pierwszy rzut oka wyglądającego jak twardy marmur, którego nie da się uszkodzić. Jak zauważa, ten rodzaj kamienia jednak jest podatny na tworzenie rys i pęknięć.

— Hm, przepraszam. Nie powinnam tego mówić — kaja się.

— Nie, w porządku. Reputacja mnie wyprzedza — mówi z nikłym uśmiechem.

— Niestety tak — wzdycha ciemnowłosa. — Mawia się, że jesteś wierną kopią własnego ojca, a wiadomo, że Javier Black nie ma moralności ani zasad. O honorze nawet nie wspomnę.

— Nawet nie wyglądam jak on — odpowiada posępnie Gabriel.

Odwraca spojrzenie od dziewczyny, by ukryć swój wyraz twarzy. Nie chce, aby ktokolwiek widział w nim oznaki jakiegokolwiek słabości. Tylko on jeden wie, że życzy własnemu ojcu śmierci. Nienawidzi go, ponieważ ten zamordował z zimną krwią jego matkę, która jako jedyna nauczyła go kochać. Obdarzyła go czułością, pokazała świat i wpoila moralne zasady, których nie złamie, choćby miał zapłacić za to głową. Jego matka była dobrą kobietą. Brzydziła się przemocą, zdradą i kłamstwem. Uważała własnego męża za grzesznika, który spłonie w ogniu piekielnym. Jedyne, czego pragnęła, to wychować swojego pierwotnego syna na człowieka godnego uwagi oraz miłości. Zdawała sobie sprawę, że świat mafii pochłonie Gabriela. Nie była głupia, by sądzić, iż Javier pozwoli odejść własnemu synowi z szeregów swojego klubu, dlatego robiła wszystko, aby jej syn kiedyś zmienił ten świat na lepsze. Kiedy pozbawiono ją życia, Gabriel zrozumiał, że nadszedł czas, aby spełnić oczekiwania swojej ukochanej matki.

Maeve musiała przyznać mu rację. Rzeczywiście Gabe nie przypominał swojego ojca. Javier Black to krępy mężczyzna z uwydatnionym brzuchem piwnym. Połowę jego twarzy przysłania gruba ciemna broda. Ma ciemnobrązowe włosy. Z jego oczu, których barwa przypomina zgniłe jabłko, bije okrucieństwo. Natomiast Gabriel to jasnowłosa, wysportowany facet o oczach koloru najprawdziwszego szmaragdu. Nie ma tak mocno zarysowanej szczęki jak jego ojciec. Jego uroda jest bardziej stonowana, przyjemna dla oka.

— Zgaduję, że urodę odziedziczyłeś po mamie.

— Była piękna — wypowiada z czułością. — Podobno mam jej oczy.

— Są piękne.

— Ty jesteś piękna.

Ciemnowłosa delikatnie się rumieni. Od dawna zdaje sobie sprawę, że mężczyźni zwracają na nią uwagę. Wielu z nich komplementuje jej urodę, dlatego sądziła, że już dawno przyzwyczała się do tego typu wyrazów uznania. Nie spodziewała się jednak, że słowa wypowiedziane przez blondyna wywołają w niej taką reakcję.

— Dziękuję.

— Dlaczego kobiety zawsze dziękują za komplementy? Przecież nie mają większego wpływu na swoją urodę.

— Jak to nie? Istnieje cała masa zabiegów upiększających.

— To tylko dodatki przyjemne dla oka. — Wzrusza ramionami. — To co? Jesteś gotowa, aby poczuć wiatr we włosach i adrenalinę we krwi?

— Prowadzisz jak emeryt? — zgrywa się ciemnowłosa.

— Nie, dlaczego?

— Jeśli chodzi o adrenalinę, to nikt mi jej tak nie podnosi, jak emeryci za kółkiem. Ledwie widzą człowieka. Wiesz, ile razy o mały włos nie straciłam życia, przechodząc na przejściu dla pieszych?



## Narzeczona z czarną różą w ręce

Wasilla to małe, urokliwe miasteczko. Zakochałam się w nim od pierwszej chwili, w której kierowca taksówki przejechał znak „Witamy w Wasilli”. Znajdujące się tu jeziora w połączeniu z górami tworzą fenomenalny krajobraz. Z okna w hotelu mogę podziwiać ten widok. Mogłabym nie wychodzić z mojego pokoju całymi dniami, lecz żołądek domaga się ciepłego obiadu, dlatego podnoszę tyłek z miękkiego fotela. Wyjście na obiad to dobra okazja, by poznać lokalną społeczność i tutejsze zwyczaje. Liczę, że prędko odnajdę się w tym miejscu i żywię nadzieję, że nie zostanę zmuszona, by stąd uciekać. Wkładam skórzaną kurtkę i zabieram parasol. Po wyjściu ze swojego pokoju kieruję się prosto do recepcji, gdzie pracuje bardzo miła starsza pani, lubiąca grać w sudoku.

- Dzień dobry — witam się uprzejmie.
- O! Dzień dobry, słonko. W czym mogę ci pomóc?
- Chciałabym coś zjeść, ale nie wiem, gdzie się udać.
- Nieopodal znajduje się przytulna kafejka. Niech no tylko przypomnę sobie nazwę...

— Wystarczy, że powie mi pani, w którą stronę powinnam pójść.

— W prawo, potem do końca ulicy prosto, a na skrzyżowaniu w lewo. O! Już pamiętam. Kafejka nazywa się *Aroma Amore*.

— Dziękuję!

Wychodzę z hotelu, a następnie idę za wskazówkami recepcjonistki. Rozkoszuję się każdym krokiem, ponieważ znajduję się w miejscu, w którym nikt nie ma nade mną kontroli. Nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że nie podąża za mną żaden przydupas Dirka. Nie ma tu nikogo z mojego dawnego życia. Uciekając przed zimnym jesiennym wiatrem, wchodzę do *Aroma Amore* i od razu uderza we mnie zapach lawendy i świeżo parzonej kawy. To jasny znak, iż trafiłam w dobre miejsce. Zapach wiele mówi o tego typu lokalach. Tam, gdzie dobra kawa, tam aromatyczna wonność. Składam parasolkę i pozostawiam ją wraz ze skórzaną kurtką na wieszaku przy wejściu. Kilka osób zwróciło na mnie uwagę, ale nie jest to nic nadzwyczajnego. Sama zawsze chętnie obserwuję ludzi i ich zachowania. Jest w nich coś fascynującego, a zarazem inspiracyjnego. Zajmuję wolne miejsce przy barze i chwytam menu leżące obok.

— Hej — wita się ze mną patyczkowaty jasnowłosy mężczyzna. — Jesteś tu nowa? — pyta przyjacielsko, jednocześnie polerując wysokie szklanki do koktajli.

— Tak — uśmiecham się i skupiam swoją uwagę na swoim rozmówcy. Uwielbiam rozmawiać z drugą osobą i patrzeć jej na twarz, głównie prosto w oczy. — To aż takie oczywiste?

— Jesteś opalona, a tego nie osiągniesz w tym mieście. Ba! Na całej Alasce. — Wskazuje na mnie brodą.

— Zawsze mogłam skorzystać z solarium — drocę się z figlarnym uśmiechem.

— Masz rację. Mój błąd — śmieje się i odkłada wypolerowaną szklankę. — A więc, co podać?

— Dużą latte z bitą śmietaną, ale proszę, nie posypuj jej żadną czekoladą.

Barman spogląda na mnie, jakbym urwała się z choinki, ale nie mam zamiaru tłumaczyć mu, że po prostu jej nie lubię. Tak, tak wiem, że brzmi to absurdalnie, ale dla mnie jest po prostu za słodka i mdła.

— Psia mać! A chciałem ci polecić nasze wybitne ciasto czekoladowe! Każdy, kto go próbuje, zakochuje się w nim na zabój. Raj dla podniebienia.

— Jestem pewna, że tak jest, ale nie jadam czekolady.

— W ogóle? — pyta zaciekawiony, podchodząc do ekspresu, aby zrealizować moje zamówienie.

— Tak, w ogóle — ucinam temat. — Jak masz na imię?

— Kayden. Ale mów mi Kay. A ty, nowa?

Wywracam oczami, ale wciąż się uśmiecham.

— Maeve, ale możesz mi mówić Mae.

Obserwuję z rozbawieniem jego wyraz twarzy. Każdy tak reaguje na moje imię, ale nic nie poradzę na to, że moja rodzicielka miała fioła na punkcie oryginalności. Musiała się wyróżniać dosłownie wszystkim, ale za to właśnie ją podziwiam. Potrafiła wyrazić swoje zdanie w bardzo subtelny i dobitny sposób, dzięki czemu wszyscy spełniali jej zachcianki i schodzili jej z drogi, gdy była chodzącą burzą gradową. W zasadzie powinnam przedstawić się jako Gwendolyn, ale to imię wydaje się takie obce, nijakie. Po prawdzie użyłam tych danych do zarezerwowania pokoju oraz lotu, ale w życiu społeczności chcę być po prostu Mae.

— W takim razie, Mae... — podkreśla moje zdrobniałe imię.  
— Co robisz w tym mieście?

No nie wiem...

Uciekłam od swojego zwyrodniałego brata, który odebrał mi wszystko. Zostawiłam za sobą mafijny świat, mimo że w gruncie rzeczy z tego miejsca w zasadzie uciec się nie da. Poza tym, aby tu dotrzeć, musiałam skorzystać z pomocy świra, który miał okazję wypróbować swój nowy wynalazek w postaci odurzających ślepaków. Ceną za tę pomoc jest oczywiście moje życie, ponieważ posiadam sygnet, którego wartości nie znam. Tych słów zdecydowanie nie powinnam wypowiadać, dlatego skracam wersję wydarzeń do niezbędnego minimum.

— Szukam swojego miejsca — odpowiadam ogólnikowo. — Chciałam zmienić otoczenie i oto jestem! — Wskazuję na siebie.

— Widzę — mruczy pod nosem, ale ignoruję te słowa i jego intensywny wzrok, ponieważ mój żołądek domaga się jakiegoś ciepłego posiłku. Ten rodzaj spojrzenia to nic innego jak ukazanie swojego zainteresowania, a to niekoniecznie mi się podoba. Przenoszę swoje spojrzenie na menu i niemal od razu wybieram odpowiednie danie.

— Mogę prosić o naleśniki z owocami?

— Naturalnie. Chcesz do nich jakiś sos?

Kręcę przecząco głową.

— Tylko owoce — mówię. Przytakuje i zostawia mnie samą. Rozglądam się po kafejce i przyłapuję kilka dziewczyn siedzących przy okrągłym stoliku na tym, jak skanują moją sylwetkę. Z kpiącym uśmiechem odwzajemniam się tym samym, co mocno je peszy. *Wet za wet, moje kochane panie*. Następnie przenoszę spojrzenie na kobietę, która zachowuje się dość nerwowo. Wierci się niespokojnie w

welutowym fotelu. W dłoni kurczowo trzyma czarną różę, a jej nerwowe spojrzenie co chwilę kieruje na mnie.

— Co tam? — zagaja Kay, a ja odwracam się do niego. Staram się zignorować dziwne odczucie towarzyszące mi od kilku sekund, odkąd ujrzałam dziewczynę z czarną różą. W jej zachowaniu jest coś, co niekoniecznie da się zignorować. Może po prostu jestem przewrażliwiona, co jest możliwe po ucieczce do Dirka, ale jeszcze nigdy moja intuicja mnie nie zawiodła. A tym razem podpowiada mi, że jej niepokój może być spowodowany moją obecnością. *Zwariowałaś, Mae? Ewidentnie majaczysz!*

— A nic. Właśnie ucięłam sobie niemą rozmowę z trio koło okna. — Szatyn marszczy brwi, jakby nie rozumiał, co właśnie do niego powiedziałam. Wzdycham i zaczynam tłumaczyć. — Przyłapałam trzy dziewczyny, które siedzą przy oknie, na tym, jak się na mnie gapią, więc zaczęłam się gapić na nie. Cała powalająca historia — dopowiadam cierpko. Pomijam swoje obawy związane z kobietą z czarną różą w dłoni. Nie chcę wypytywać o nią Kaydena, nawet jeśli jestem jej mega ciekawa.

— Ach! — Pstryka palcami. — Nie przejmuj się nimi. Zaraz mogę im powiedzieć, żeby dały ci spokój.

— Czy ja wyglądam na kogoś, kto potrzebuje pomocy?

— Wyglądasz na kruchą — stwierdza, co wywołuje u mnie prychnięcie. On nie ma najmniejszego pojęcia o tym, gdzie się wychowałam i kim jest moja rodzina, dlatego ma prawo myśleć o mnie, co tylko chce, ale to, że jestem krucha, na pewno nie jest moją cechą. Byłam słaba, ale nie krucha. Nie rozpadłam się, kiedy Logan okaleczał mi plecy, które uporczywie pieką podczas kąpieli. Rany, jakie pozostawił na mojej skórze, nie zagoją się w pełni. Pozostaną blizny, które do końca życia będą mi przypominać o tym, jak głupio postąpiłam.



— To tylko pozory — odpowiadam i ponownie spoglądam na trzy dziewczyny, które po raz kolejny mnie obserwują. — Znasz je?

— Nie — odpowiada szybko, a następnie podaje moją latte. Z doświadczenia wiem, że jego odpowiedź to bujda, ale nie chcę wyjść na wścibską, dlatego nie zadaję więcej pytań. Wolę samodzielnie wybadać grunt, dlatego zabieram swoją kawę i wstaję ze stołka barowego.

— Chyba się im przedstawię — informuję blondyna, a następnie podchodzę pewnym krokiem do stolika przy oknie. — Hej — mówię. — Usiądę sobie z wami — stwierdzam. — Wasze zainteresowanie mną mi schlebia. — Przykładam sobie dłoń do serca. — Ale podniecają mnie tylko mężczyźni.

— Hm... — Dziewczyna o kawowym kolorze skóry mocno się miesza i zaczyna się bawić swoją bransoletką. Na moje oko jest zrobiona z prawdziwych diamentów. *No, no. Dość imponująca błyskotka.*

— To nie tak! — odzywa się blada jak trup czarnowłosa dziewczyna. Wygląda dosłownie jak Śnieżka z adaptacji filmowej braci Grimm. — Po prostu jesteś powiewem świeżości w tym mieście. Gdy tylko tu weszłaś, dało się od ciebie wyczuć pełno pozytywnej energii.

Hola, hola.

Co one brały?

Czy człowiek może poczuć „powiew świeżości” w zupełnie obcej osobie? Naprawdę staram się nie roześmiać, ale kąciuki ust mimowolnie unoszą mi się ku górze. W rezydencji klubowej mojego brata narkotykowy haj był dość częstym widokiem wśród członków klubu i ich panienek do towarzystwa, ale nikt nigdy nie mówił o czymś tak dziwnym.

— Nie rozumiem — mówię z dezorientacją.

— Spójrz na nas. — Przeskakuję wzrokiem po ciemnoskórej dziewczynie, Śnieżce i kobiecie, która wręcz zabija mnie spojrzeniem. *Och, OK?* — My nie znosimy tego miejsca, chcemy stąd uciekać, a ty jesteś szczęśliwa, że tu jesteś. To nie jest realne.

— Nadal nie rozumiem — kwituję. W mojej głowie pojawia się obraz kręcącego się kółeczka. Ładowanie informacji w toku...

— Tym miastem rządzą degeneraci — odzywa się rudowłosa.

— Kto taki? — Biorę łyk swojej kawy, czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Słowo „degeneraci” samo w sobie nie brzmi dobrze.

— To klub motocyklowy — mówi Śnieżka. Żartuje sobie ze mnie? Uciekłam z jednego takiego miejsca, by trafić do małego miasteczka, liczącego zaledwie dziesięć tysięcy mieszkańców, gdzie panoszy się klub motocyklowy? *Maeve Whittaker i jej zasrane szczęście. Hip hip, hura!* Czuję się jak piraci z filmu *Asterix i Kleopatra*, ponieważ każda ich morska wyprawa kończyła się spotkaniem niezwycięzonych Galów, przez co tracili swoje łajby. Musiałam trafić w miejsce, w którym zapewne napotkam sukinsynów na motocyklach. Z deszczu pod rynnę — to przysłowie wręcz idealnie opisuje moje życie.

— Chociaż warunki pogodowe na Alasce częściej zmuszają ich do podróżowania samochodami — dopowiada rudowłosa, jakby ten temat był już dla niej nudny. Ciekawe, ile razy musiała opowiadać tę samą historię.

— I co z tym klubem? — dopytuję, ponieważ muszę zweryfikować, czy szefem degeneratów nie jest przypadkiem ktoś, kto współpracuje z moim bratem. Jeśli

usłyszę znajome nazwisko, jeszcze dziś wsiadam w samolot lecący dokądkolwiek.

— Nie można o tym rozmawiać — odpowiada błyskawicznie ciemnoskóra kobieta.

*Rany, co za płochliwe stworzenia.*

— Tammy, daj spokój — zwraca się Śnieżka do ciemnoskórej koleżanki. — Nikt nas nie usłyszy, a ona... — Spogląda na mnie.

— Maeve — precyzuję.

— A Maeve powinna wiedzieć, że to miasto wcale nie jest takie piękne.

— Kto rządzi tym klubem? — pytam, powoli tracąc cierpliwość. Wystarczy mi nazwisko, by zdecydować o swoim pobycie w tym miejscu.

— Reed — wypowiada Tammy, nerwowo rozglądając się po kafejce, jakby szukała kogoś, kto może nas przypadkiem podsłuchiwać. Nazwisko szefa degeneratów nic mi jednak nie mówi, więc wątpię, aby biznes Dirka sięgał aż na Alaskę.

— Ludzie się go boją — dodaje rudowłosa. — Zresztą nikt też nie pała sympatią do jego narzeczonej. Mała jędza, która szczyci się tym, że jej facet stąpa po kryminalnej ścieżce. Od pięciu lat szykują się do ślubu, ale jak na razie przygotowania stoją w miejscu.

— Mówi się, że to przyszły pan młody wszystko wstrzymuje — wyjaśnia Tammy.

— Może i jest sukinsynem — stwierdza rudowłosa. — Ale nie dziwię się, że nie chce się hajtać z tą laską. Ona niczego sobą nie reprezentuje, a on mimo wszystko musi zachować nienaganny wizerunek wśród kolegów z branży.

— Słyszałam ostatnio plotkę na ten temat. — Śnieżka nachyla się nad stołem, tak abyśmy tylko my usłyszały, co ma do powiedzenia. — Podobno Reed nie chce się żenić z Peyton, bo w jego życiu jest jakaś inna kobieta.

— Ha, ha — parska śmiechem rudowłosa. — Nie jestem ani trochę zaskoczona. Ci faceci to zwyczajni dziwkarze. Nieważne gdzie, byle zamoczyć fiuta. Choć jak dla mnie narzeczeństwo Reeda to bujda. Zwróć uwagę, że Peyton nie nosi nawet pierścionka zaręczynowego. Poza tym ona zawsze lata za nim, a on ją ignoruje. Między nimi nie ma miłości. Zresztą same zobaczcie. — Wskazuje na kogoś, kto znajduje się za moimi plecami. Odwracam się z zaciekawieniem. Rozdziawiam usta, kiedy orientuję się, że właśnie rozmawiamy o kobiecie z czarną różą w ręce. — Jej zachowanie jest dziwaczne. Jakby darzyła Reeda platoniczną miłością. Pokochała go, dostała fioła na jego punkcie i wmawia wszystkim, że on należy do niej. On jednak nigdy nie uznał ją za swoją. Nie chroni jej ani nie interesuje się jej życiem. Totalna wyjebka.

— Czyli zauroczyła się w Reedzie? — dopytuje ciemnoskóra.

— Zauroczenie, jak sądzę, jest wtedy, kiedy obie strony wpadną sobie w oko. Tu mamy do czynienia z obsesyjną jednostronną miłością — wyjaśnia rudowłosa.

— Obsesja często przeradza się w obłąd — kwituję. Odwracam głowę z powrotem w stronę trzech kobiet, by otwarcie nie gapić się na Peyton.

— Biada kobiecie, która kiedyś pojawi się w życiu Reeda — parska śmiechem ciemnoskóra. — Przecież ta laska ją zamorduje.

— Za mną chyba nie przepada — wypalam bez zastanowienia.

— Czemu? — podpytuje rudowłosa z nieukrywanym zaciekawieniem.

— Odniosłam wcześniej dziwne wrażenie, że mnie ocenia.

— Cóż, jesteś ładna. Może nawet w guście Reeda — wyjaśnia rudowłosa. — Na twoim miejscu miałabym się na baczności, choć wątpię, aby Peyton była niebezpieczna. Jest dziwna, ale raczej niegroźna.

— A ta róża? — dopytuję.

— Nie potrafię ci tego wyjaśnić, szczerze mówiąc. Ne rozstaje się z nią na krok. Może to jakiś jej talizman? Cholera wie.

— W zasadzie jak masz na imię? — zwracam się do rudowłosej, by zmienić temat. Nie ukrywam, że dziewczyna z czarną różą jest dość interesującym tematem, lecz wolałabym jej nie obgadywać, kiedy ta siedzi nieopodal.

— Ruth, ale mów mi Ru.

— Dobra — uśmiecham się, a następnie biorę łyk swojej latte. — To co jeszcze powinnam wiedzieć o tym mieście?

— Poza klubem motocyklowym nic się tu nie dzieje. Od czasu do czasu władze miasta organizują festyny, ale są nudne jak flaki z olejem — opowiada Ruth. — W zasadzie jedyną rozrywką jest tu Reed i jego ludzie — parska śmiechem.

— Ruth! — oburza się Tammy. — To nie jest zabawne. Wolałabym, aby było tu nudno, a nie strasznie.

— Strach wyjść w nocy z domu — dopowiada Śnieżka.

— W zasadzie nie zrobią ci nic, jeśli nie dasz im powodu — mówię zgodnie z prawdą. — Ten świat ma pewne zasady, których przestrzega. Z tego, co się orientuję, to jeśli nie jesteś świadkiem zabójstwa czy tam jakiegoś grubszego przekrętu, nikt nic ci nie zrobi tylko dlatego, że wdepniesz w linie łączenia się kostek chodnikowych.

— Otóż to — śmieje się Ruth. — Codziennie muszę przechodzić przez ich dzielnicę w drodze do pracy i tylko raz bałam się o swoje życie.

— Zaatakowali cię? — pyta niemal płacząco Śnieżka.

— Taa — burczy Ru. — Prawie wpadłam pod koła rowerzysty, rozwożącego jedzenie — nabija się.

— Ruth! — oburza się ciemnoskóra. — Nie rób sobie żartów.

— Ale to najszczęśliwsza prawda. Jedynie to mnie tam spotkało. Aha, i raz skręciłam kostkę, bo nie zauważyłam lodu na przejściu dla pieszych, ale wątpię, by to miało związek z klubem.

— A co, jeśli specjalnie rozlali tam wodę, bo wiedzieli, że będziesz tam szła? — panikuje Tammy.

— Nie bądź głupia — rzucam. — Po co mieliby marnować czas na taką błażostkę, jeśli w ich piwnicy, załóżmy, akurat katują jakiegoś kreta?

— Biedne zwierzątko — wypowiada ze smutkiem Śnieżka, na co wybucham śmiechem. Ona tak na poważnie?

— Saro, kret to człowiek, który wyprowadza tajne informacje z klubu i przekazuje je wrogowi — wyjaśnia Ru ze śmiechem.

— Katują więc człowieka?

— Bingo, księżniczko. — pryham.

— I wcale cię to nie rusza? — dopytuje mnie z zaskoczeniem Ruth.

— Nie. — Wzruszam ramionami. — To kret.

— To też człowiek — oburza się Tammy. — Który zasługuje na to, by żyć, mimo swojego postępowania. Bóg może nas sądzić, a nie człowiek drugiego człowieka.

— Ty to się chyba w chrzcielnicy skąpałaś — stwierdza Ru.  
— Jedni wybierają drogę Boga, a jedni diabła, a uwierz, taki krecik wybrał diabła, gdy wstąpił do mafii.

— To nie znaczy, że można go zabić — spiera się Tammy.

— W zasadzie sam wybiera śmierć. Lepiej umrzeć, niż być torturowanym — odpowiadam.

— Jakim cudem mówisz o tym tak spokojnie? — dziwi się Sara, wgapiając we mnie pełne lęku spojrzenie.

*Mae, w jej oczach już jesteś bezduszną dziewczuchą, która ma głęboko w poważaniu to, czy człowiek żyje, czy też nie, więc co ci szkodzi powiedzieć prawdę o tym, kim jesteś? Dolejesz tylko oliwy do ognia. Nic wielkiego.*

— Wiele już widziałam — mówię. — Wychowałam się w takim świecie.

— Co? — Sara i Tammy wypowiadają to w tym samym czasie. — Żartujesz sobie? Jesteś jedną z nich?

— Nie należę do degeneratów, jeśli o to pytasz, ale podlegam innemu szefowi. Spierniczyłam mu.

— Jestem pewna, że pasujesz do Reeda — parska śmiechem Ruth. — A gdy Peyton cię zobaczy, poczuje się zagrożona. Powiem szczerze, że na początku miałam cię za lalunię, ale teraz zacznym cię lubić.

— Wzajemnie, Ru.

— Twoje zamówienie, Maeve. — Kayden stawia przede mną talerz ze smakowicie wyglądającymi naleśnikami, a następnie pośpiesznie się oddala. Pachną zajebicie, dlatego muszę ich jak najszybciej skosztować. Ucinam wszelką rozmowę. Zresztą Sara i Tammy odsunęły się ode mnie i zapewne wykonują teraz egzorcyzmy, modląc się o moją duszę, a Ruth jedynie się uśmiecha, obserwując tę scenę.

*Pierwszy dzień w Wasilli jest pełen wrażeń, więc strach się bać, co przyniosą kolejne dni.*

*Tylko że 23 października minie dziesięć lat od obietnicy Gabe'a. Tego dnia każde z nas pójdzie w swoją stronę.*





## Dwudziesty pierwszy października

To, że jestem zachwycona, to zbyt słabe słowo. Mieszkanie, które właśnie oglądam, ma w sobie wszystko, czego potrzebuję. Mieści się w małej kamienicy, z dala od centrum, ale bardzo dobrze prosperuje tutaj komunikacja publiczna, więc lokalizacja nie jest dużym minusem. Samo mieszkanie nie jest wielkie, ale ma w sobie górski klimat, a widok z sypialni jest nieziemski.

— To mieszkanie jest rewelacyjne — zwracam się do właściciela, który cały czas przygląda mi się z niepokojem.

— To prawda — przyznaje. — Ale myślę, że nie jest ono odpowiednie dla ciebie.

Zakładam ręce na biodra i przybieram poważny wyraz twarzy.

— Dlaczego? — domagam się odpowiedzi z zaciętym wyrazem twarzy.

— Ponieważ w tej okolicy mieści się klub degeneratów.

— Kogo, do licha? — pytam ze złością, pomimo że doskonale zdaję sobie sprawę, o kim mowa. Mój gniew

wynika z faktu, że mężczyzna zaczyna traktować mnie z góry.

— Prezydenta klubu motocyklowego.

Zaciskam pięści na kolejną wzmiankę o tym zasranym klubie. Najpierw te dziewczyny w kafejce, a teraz właściciel mieszkania, które chcę wynająć.

— Nie jest tu bezpiecznie nocami — kontynuuje. — Nie dla tak pięknych kobiet. Zwłaszcza samych.

— A czy w tej kamienicy ktoś jeszcze mieszka?

— Nie — odpowiada z powagą. — Nikt nigdy nie zdecydował się, aby zamieszkać tak blisko Gabriela i jego ludzi. Dlatego czynsz tu jest tak niski.

*Hm, Gabriela?* Samo brzmienie tego imienia uderza prosto w moje serce. Dlaczego tutejszy boss klubu motocyklowego musi nosić takie samo imię, jak mój ukochany mężczyzna? Przecież każda wzmianka na jego temat wywołuje u mnie ścisk żołądka. Jak mam pozwolić mu odjechać? Za dwa dni zostanie zwolniony ze swojej obietnicy, a ja pozostanę tu, pomiędzy dziką naturą a degeneratami, uciekając do końca życia przed bratem i jego ludźmi.

— Czyli wynajmując to mieszkanie, muszę być przygotowana na atak klubu? — Przytakuje. — I żaden sąsiad nie zadzwoni na policję, gdy będę za głośno? — Ponownie przytakuje. — I też nikt mnie nie uratuje, gdyby ktoś mnie zaatakował? — Znów się zgadza. — Ale zakochałam się w tym mieszkaniu, więc chcę je wynająć.

— Jesteś pewna? — pyta z dużym niedowierzaniem.

— Jak najbardziej. Odpowiada mi wysokość czynszu i widok z sypialni na góry.

— Ale tu jest niebezpiecznie.

— Wszyscy w tym mieście srają pod siebie na samą myśl o jakimś pojebanym klubie motocyklowym, a ja nie potrafię tego pojąć. Naprawdę chcę wynająć to mieszkanie i nikt mnie przed tym nie powstrzyma.

Wiem, że moja decyzja jest absurdalna, ale nie czuję strachu. Mimo że każda osoba, którą dane jest mi poznać, wmawia mi, że klub degeneratów stwarza zagrożenie, to wciąż w pobliżu ich bazy czuję się o stokroć bezpieczniejsza. Nie wiem, skąd to wynika, ale na pewno ma to związek z moim wcześniejszym życiem i domem, w którym się wychowałam.

*Czy to dziwne, że czuję się bezpieczniejsza w obliczu zagrożenia?*

Tak! To jest dziwne! Nie potrafię tego wyjaśnić, ale taka właśnie jestem, dlatego brak sąsiadów i klub Gabriela Reeda nie napawa mnie strachem, ale siłą. I to jest w tym najpiękniejsze. W moich żyłach płynie czysta adrenalina, gdy muszę stoczyć walkę o życie. Im więcej strachu, tym więcej siły. Nie wiem, skąd bierze się we mnie ta zaciętość, która każe mi wynająć to mieszkanie. Czuję się tu, jakbym odnalazła swój dom, nawet jeśli nieopodal kręcą się mężczyźni noszący nalepkę „tych złych”.

— Gabriel Reed jest złym człowiekiem...

— Co to znaczy, że jest zły? — pytam poirytowana. — Co na to wskazuje? Zabija? Molestuje dzieci? Gwałci? Podpala domy? Wysadza w powietrze miejsca publiczne? Sra, gdzie popadnie, i nie sprząta po sobie? Traktujecie tego człowieka jak złoczyńcę i chcecie, by wszyscy tak myśleli, nawet jeśli sami nie zdołaliście go poznać.

— Jesteś jedną z nich? — pyta przerażony i cofa się kilka kroków, aby zachować między nami jak największy dystans.

— Nie, nie jestem jedną z nich — wzdycham. — Po prostu nie znam ani Gabriela, ani jego ludzi, dlatego nie

wypowiem się na ich temat ani nikt mnie nie zastraszy.

— Ale go bronisz!

— Nieprawda. Po prostu wypowiadam swoje zdanie, ale skoro według was ten cały patologiczny klub rządzi tym miastem, to w porządku. Ale mną rządzić się nie da, dlatego chcę wynająć to mieszkanie i jeszcze dzisiaj w nim spać.

~\*\*\*~

Gdy idę ulicami miasta, czuję na sobie ciekawskie, a nawet złowrogie spojrzenia. Może wpadam w lekką paranoję, ale naprawdę mam wrażenie, że wszyscy wokół mnie oceniają, mimo że przecież nikt mnie nie zna. Ba! Po co ktokolwiek chciałby tracić swój cenny czas na zainteresowanie się moją osobą?

*Mae, popadasz w paranoję. Nikt cię nie zna, więc Dirk prędko cię nie odnajdzie. Poza tym w dokumentach istniejesz jako Gwendolyn Schofield.*

Przekraczam próg kafejki, w której wczoraj jadłam rozplływające się w ustach naleśniki, i od razu zauważam Kaydena szwendającego się między stolikami. Gdy tylko mnie zauważa, uśmiecha się i gestem pokazuje, abym zajęła miejsce przy barze.

— Hej, nowa — wita się. Z irytacją wywracam oczami na słowo „nowa”.

— Mam imię — wzdycham. — Mów mi Mae lub Maeve — dodaję ostrzej, niż zamierzałam, ponieważ nie potrafię zaakceptować faktu, że ktoś nazywa mnie inaczej niż po prostu Mae.

— Jak chcesz — odpowiada lekceważąco. — Ale to imię w ogóle do ciebie nie pasuje — stwierdza, na co unoszę brwi i przygryzam wewnętrzną część policzka. — Nie zrozum mnie źle, ale po prostu twoje imię jest dość dziwne.

Jak dla jakiejś wróżki czy coś w tym stylu. Wolałbym mówić na ciebie „piękna” albo „nowa”.

— Mae! Mów mi, do cholery jasnej, Mae! Nigdy więcej nie nazywaj mnie inaczej niż Mae!

Uderzam otwartą dłońią w blat baru, wpatrując się prosto w oczy Kaydena z wrogością. Nikt nigdy więcej nie nazwie mnie swoim kochaniem, skarbem, kwiatuszkiem, gwiazdką i innym gównem. W moim przypadku zdrobnienie mojego imienia jest wersją pieśzcotliwą, a kto tego nie potrafi zaakceptować, niech najlepiej zniknie mi z oczu.

— No dobrze — kapituluję. — Nie rozumiem, dlaczego tak przy tym się upierasz, ale uszanuję twoje zdanie.

— OK — burczę pod nosem, a moją uwagę przykuwa kalendarz wiszący nad przejściem do kuchni.

*21 października.*

*Dwa dni dzielą mnie od zwolnienia z obietnicy.*

*Zaledwie za czterdzieści osiem godzin stracę nadzieję na ponowne ujście tych szmaragdowych oczu i powiem wtedy: „Żegnaj na zawsze, Gabby”.*

Straciłam go dziesięć lat temu, lecz za dwa dni stracę go ponownie. Tym razem na zawsze.

— Żadnego „dziękuję”? — pyta zaskoczony, czego kompletnie nie potrafię pojąć. Za co mam mu niby podziękować? Za to, że łaskawie przystał na mój jedyny warunek?

— Nie — odpowiadam ze znużeniem.

— Co z tobą jest nie tak? — unosi się, co lekko zbija mnie z tropu. — Wczoraj byłaś miła i pełna wigoru, a dzisiaj zachowujesz się jak zimna suka.

— Co? — prychem. — Wczoraj po prostu jadłam naleśniki, a dzisiaj chciałam wypić tu kawę.

— Maeve, ja mówię poważnie. Wywarłaś na mnie bardzo dobre wrażenie, byłem tobą wręcz zachwycony, a dzisiaj widzę inną wersję ciebie, a ona już mi się tak bardzo nie podoba.

— Kayden — lekko się uśmiecham. — Nie tylko moje imię jest skomplikowane. Ja cała jestem skomplikowana i tylko nieliczni potrafią mnie rozgryźć.

— Możesz mi to wyjaśnić? — pyta cierpko, tak jakbym podeptała jego nadzieje na naszą wspólną przyszłość.

— Dziesięć lat temu poznałam pewnego chłopaka. Miał najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam. Był czarujący, lecz romantykiem był gównianym — śmieję się sama do siebie. — Jego tata robił interesy z moim staruszkiem, dzięki czemu dane mi było spędzić mnóstwo czasu z Gabe'em. To był niegrzeczny chłopiec, wręcz diabeł w ludzkiej skórze, aczkolwiek widziałam w nim dobro. Pokochałam go...

— I pewnie facet złamał twoje nastoletnie serduszko i teraz mi powiesz, że przez tego drania nie umawiasz się na randki, bo każdy facet jest taki sam.

— A on pokochał mnie — kontynuuję, ignorując zbulwersowanego Kay'a. — Rozdzielił nas mój brat. Był brutalny i bezwzględny. W dniu, w którym Gabe opuszczał Teksas, złożył mi obietnicę, że będzie na mnie czekał...

— Ale się nie doczekał — prycha Kay z zadowolonym uśmiechem.

— Dał mi dziesięć lat — dopowiadam. — Jeśli do tego czasu się nie pojawi, zapomnimy o sobie nawzajem.

— No cóż — śmieje się Kay. — Dziesięć lat minęło, więc już jesteś wolna i możesz pójść ze mną na randkę.

— Dziesięć lat mija za dwa dni, ale nawet jeśli chciałabym go odszukać, nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Mój brat

zadbał o to, bym nigdy więcej go nie spotkała.

— Skoro przez dziesięć lat się nie pojawił, to te dwa dni nie zrobią żadnej różnicy.

— Wiem — wzdycham z rezygnacją. — Chciałabym, abyś się mylił, ale masz rację. Minęło tyle czasu, a po nim ani śladu.

Głośny ryk motocykli rozbrzmiewa przed kafejką, więc wstaję ze stołka barowego i podchodzę do dużego okna. Jak urzeczona obserwuję kilkunastu barczystych mężczyzn stających na światłach.

*Boziu, powinnam sobie sprawić taki własny dwukołowiec. Tęsknię za tą wolnością, jaką daje motocykl.*

Moją największą uwagę przykuwa jednak facet w kurtce z napisem „prezydent”.

*Och, czyli to jest tutejszy celebryta.* Gabriel Reed nawet w kasku robi wrażenie niebezpiecznego, więc może ten strach w oczach mieszkańców nie jest irracjonalny.

Jakby wyczuł, że ktoś go obserwuje, ponieważ odwraca głowę i spogląda prosto na mnie. Jak poparzona odsuwam się od okna i z mocno bijącym sercem wracam na swoje miejsce przy barze. Zauważył mnie? Proszę, oby nie! Nie chcę mieć styczności z degeneratami tak szybko. Ledwie tu przyjechałam. Niech dadzą mi czas, bym mogła się tutaj zaaklimatyzować. Dopiero później z chęcią wyjdę im naprzeciw.

— Cholera — rzuca Kayden. — Nie jestem przygotowany na taką wizytację. — Głośno przełyka ślinę.

— O czym ty mówisz?

— Gabriel Reed właśnie zaparkował przed kafejką.

Szlag. Zauważył mnie. Nie... nie... nie!

Zrywam się z krzesła i tak po prostu chowam się po drugiej stronie baru.

*Mae, nie poznaję cię. Od kiedy się chowasz? Nie potrafię wyjaśnić swojego zachowania, ale chcę pozostać anonimowa, a tak szybkie spotkanie z prezydentem klubu mi tego nie zapewni.*

— Sam jesteś?

Donośny głos faceta w skórzanej kurtce wywołuje na moim ciele gęsią skórę. *Niech nie zagląda za bar. Kayden niech milczy. Mnie tu nie ma.*

— Tak — odpowiada barman.

— Nie było tu żadnej ciemnowłosej kobiety?

Cholera.

Skąd ja znam tę barwę głosu?

— Nie.

— W takim razie przywidziało mi się. Trzymaj się, Kayden.

Po chwili ciężkie kroki się oddalają, a gdy drzwi zamykają się za mężczyzną, wciąż siedzę skulona za barem. Dopiero gdy motocykl odjeżdża, wstaję.

— Mówiłem, że jesteś krucha.

— To nie tak, Kay — mówię, wciąż wgapiając się w zamknięte drzwi. *Dlaczego głos prezydenta degeneratów jest tak dziwnie znajomy?*

— Boisz się ich. Tak jak my wszyscy.

— Kay, daj spokój — uśmiecham się, ale myślami jestem zupełnie gdzie indziej. — Muszę już iść. Do zobaczenia.

Odczekuję chwilę, a kiedy upewniam się, że mężczyźni na motocyklach zniknęli, wychodzę z *Aroma Amore*. W głowie mam mętlik. Barwa głosu mężczyzny była znajoma. Brzmiała jak... Nie! To nie jest możliwe, aby to był mój Gabriel. Zgadza się jedynie imię. Nazwisko jest zupełnie obce. Szef tutejszego klubu to z całą pewnością nie jest mój



*Gabby. A co, jeśli się mylę i właśnie schowałam się jak tchórz przed miłością swojego życia?*



## **Brudna kałuża i tania wersja Brada Pitta**

Nie jestem mistrzem w gotowaniu, dlatego spaliłam jajka na patelni i teraz w całym mieszkaniu unosi się zapach spalenizny. Oprócz tego jestem głodna, więc nie pozostaje mi nic innego jak śniadanie na mieście.

Ech, czas najwyższy kupić książkę kucharską lub włączyć jakiś tutorial na YouTube: „Jak usmażyć jajecznicę, by była zjadliwa i pełnowartościowa?”.

Zakładam płaszcz przeciwdeszczowy i gumiaki, a następnie wychodzę z mieszkania prosto na marznącą mżawkę. Spoglądam w górę. Grube, ciemne chmury mozolnie płyną po niebie. Czuję malutkie ukłucie w sercu na myśl, iż w Austin teraz zapewne jest trzydzieści stopni na plusie. *Mae, daj spokój. Uciekłaś od brata tyrana, więc nie narzekaj na warunki pogodowe. Zaadaptujesz się z czasem i Wasilla stanie się twoim rajem na ziemi.*

Z taką dawką nowej motywacji powolnym krokiem idę wzdłuż chodnika, rzadko mijając jakiegoś przechodnia. Urzekająca jest ta pustka na drogach. Panuje tu cisza i spokój, zaledwie od czasu do czasu zagłuszana rykiem silnika lub helikopterem lecącym nad górami. Mija dopiero

drugi dzień mojego pobytu w tym miejscu, ale kiełkuje we mnie maciupęńka, pokrzepiająca myśl, że odnajdę tutaj swój raj.

Po dwudziestu minutach docieram do kafejki, a aromat świeżo zaparzonej kawy od razu wprowadza mnie w błogostan.

— Mae! — Macha do mnie Ruth siedząca obok okna z dala od baru i ludzi, spożywających swoje posiłki. Uśmiecham się do niej, a następnie pozostawiam swój płaszcz na wieszaku tuż obok drzwi i podchodzę do stolika.

— Hej. Gdzie Tammy i Sara? — Siadam na wolnym fotelu naprzeciwko rudowłosej i biorę do ręki menu.

— Nie mam pojęcia. — Wzrusza ramionami. — One chodzą własnymi ścieżkami. Ja jestem na doczepkę.

— To trochę przykre — stwierdzam.

— Nie przeszkadza mi to. Poza tym ich ciągły strach przed degeneratami jest uciążliwy. Tym bardziej że panowie panoszą się wszędzie.

— W zasadzie widziałam ich tylko raz. I chyba zwróciłam na siebie przypadkiem uwagę samego szefa.

— Opowiadaj! — ekscytuje się rudowłosa i wbija we mnie zaintrygowane spojrzenie swoich zielonkawych oczu.

— Wczoraj siedziałam tutaj z Kaydenem i usłyszałam ryk silników, więc podeszłam do okna. Zwróciłam uwagę na faceta w kurtce z napisem „prezydent”, a ten spojrzał w moim kierunku. Potem wszedł do kafejki, ale schowałam się za barem.

— Dlaczego się schowałaś? — pyta rozbawiona.

— Szczerze? — parskam śmiechem. — Nie wiem. To był impuls. Ale jego głos jest dla mnie znajomy. Nie mam

pojęcia, gdzie go słyszałam, ale odnoszę wrażenie, że go znam.

*To był głos mojego mężczyzny, mimo że tak wiele przesłanek wskazuje na to, że to nie on.* Po pierwsze, po co miałby zmieniać nazwisko? Poza tym dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie wybrał Alaskę na swoją siedzibę? Przecież tak samo jak ja nie lubił deszczu. Po drugie, zbieżność imion może być przypadkowa. Ale ten głos...

— Może twoja dawna miłość z przedszkola? — sugeruje, śmiejąc się, a mnie ściska w żołądku.

Ja pierdołę... Ona może mieć rację!

Jak duże jest prawdopodobieństwo, że Gabriel Reed to mój Gabriel Black?

Odpowiedź jest prosta. ŻADNE.

Ojciec Gabe'a był okrutnym mafiosem, panoszącym się w Toronto, więc jego syn z pewnością nie może być na Alasce. Przeniesienie klubu oraz ludzi z nim powiązanych jest praktycznie niemożliwe, więc to musi być tylko moje głupie złudzenie.

Ale ten głos... Głęboki, męski, z lekką chrypką, ociekający autorytetem.

Gdybym tylko nie schowała się wczoraj za tym barem jak ostatnia fajtłapa, mogłabym zweryfikować, kim jest prezydent klubu motocyklowego na Alasce.

*Jestem głupią, niemyślącą ofermą, która być może straciła szansę na ujście Gabe'a.*

— Mae! — Ruth pstryka mi palcami przed nosem. — Zawiesiłaś się.

— Hm... — Przygryzam wewnętrzną stronę policzka. — Wybacz, ale właśnie wyzywam siebie w głowie za to, że

uciekłam od konfrontacji z Reedem.

— Dlaczego?

— Kiedy Reed się tu sprowadził?

— Kilka lat temu. Dlaczego pytasz?

— Ru, mam wrażenie, że głos Reeda należy do mężczyzny, którego kocham od dziesięciu lat.

— Że co? — Uderza otwartą dłonią o blat stołu, zwracając na nas uwagę kilku klientów kafejki i samego barmana. — Że co? — powtarza tym razem ciszej. — A może plotki, które usłyszała Sara, są prawdziwe?

— Nie rozumiem. — Marszczę brwi.

— No wiesz... — Zatacza kółko dłonią w powietrzu. — Chodzą pogłoski, że Reed nie chce wziąć ślubu z Peyton, bo w jego życiu jest inna kobieta. Co prawda on w ogóle nie myśli o ślubie z tą szajbuską, ale plotka to plotka. W każdej jest ziarenko prawdy. Co, jeśli to właśnie ty jako „kobieta, którą kocha sam diabeł”, jesteś tą prawdą w plotce?

— No nie wiem...

— Stara! Tego faceta nigdy nikt nie widział z żadną babą. Jedynie z Peyton, która po prostu pojawia się w miejscach, których znajduje się Gabriel. Szczerze mówiąc, nie dziwię się tej dziewczynie, że za nim lata. Przecież ten facet jest nieziemsko przystojny, dobrze zbudowany, a te jego blond kędziorki są wręcz urocze.

— Blond?

— Tak, blond. Facet jest blondynem.

*O kurwa. O ja pierdolę. Gabriel!*

— Ru, co ja mam o tym wszystkim myśleć? Wszystko wskazuje na to, że to mój Gabe — mówię podłamana i pustym wzrokiem patrzę przez okno.

— Ja pierdziele, to takie romantyczne — rzuca rudowłosa z fascynacją. — Koniecznie musisz mi opowiedzieć waszą historię, a potem pomyślimy, co powinnaś zrobić.

— Dlaczego chcesz mi pomóc? — pytam zaintrygowana, ponieważ w swoim życiu spotkałam jedynie ludzi, którzy nigdy nie nieśli pomocy bezinteresownie.

— Polubiłam cię. Więc opowiadaj!

— Poznaliśmy się wiosną w dwa tysiące jedenastym roku i spędziliśmy kilka miesięcy ze sobą. Nasi ojcowie robili razem interesy, więc chcąc nie chcąc, widywałam Gabe'a codziennie, ale mój brat nie popierał naszego związku, więc skłócił naszych ojców. Gabriel wyjechał, ale złożył mi obietnicę. Powiedział, że wróci po mnie, gdy tylko przejmie władzę, a jeśli się nie pojawi, to po dziesięciu latach każde z nas ułoży sobie życie z kimś innym.

— Ja cię kręcę! Proszę cię, powiedz, że dziesięć lat nie minęło!

— Minie jutro.

— Do diaska! To mało czasu, by coś zmienić, ale może wystarczy pokazać mu twoją ładną buźkę? — sugeruje z zapałem, którego ja jednak nie potrafię poczuć. Z mojego umysłu zrobiła się papka. Nie potrafię poprawnie ocenić sytuacji. Wiele przesłanek wskazuje na to, że po dziesięciu latach wróciłam do Gabriela, lecz gdzieś głęboko we mnie ukryta jest obawa, że się zawiodę, kiedy ujrzę twarz szefa klubu degeneratów. Boję się, że to zupełnie inny mężczyzna, łudzaco podobny do blondyna.

— Nie ma pewności, że to on.

— Chrzanisz. — Prycha. — Doskonale wiesz, że to on, tylko nie chcesz tego dopuścić do swojej świadomości.

— Racja — przyznaję, ale mam wrażenie, że Ruth właśnie przestała mnie słuchać. Jej wzrok skierowany jest na coś za

moimi plecami, dlatego z zaciekawieniem odwracam się i dostrzegam wysokiego faceta w skórzanej kurtce z napisem „wiceprezydent”. Jego broda zasłania mu pół twarzy, a cała postawa może budzić respekt, chociaż niczym nie różni się od członków z klubu mojego brata.

— Jest Baldwin? — Ciemnowłosa kieruje swoje pytanie do bladego jak trup Kaydena. Mam wrażenie, że chłopak zapomniał, na czym polega proces oddychania, i zaraz się tutaj udusi.

— Kto to?

— Kirk Bryant. Prawa ręka Reeda. Przystojniaczek.

Unoszę jedną brew do góry, jednocześnie się uśmiechając.

— No proszę. Ktoś tu ma słabość do niegrzecznych chłopców.

— Aj — zbywa mnie machnięciem ręki, a jej całą uwagę pochłania wiceprezydent degeneratów.

*Mae, przed tobą stoi facet, który może doprowadzić cię do Gabe'a, dlatego nie chowaj tym razem swojej głowy w tyłku, tylko działaj!*

— Szefa nie ma — odpowiada mu Kayden, wyglądający jak wystraszony szczeniak widzący rozwścieczonego, agresywnego kota, który atakuje go swoimi ostrymi pazurami.

— Niefajnie — rzuca poważnie wiceprezydent degeneratów.

— Byliśmy umówieni, a ja tak bardzo nie lubię niesłownych ludzi.

— Pewnie zaraz się pojawi. Pojechał po towar do hurtowni.

— I co? Mam tutaj na niego czekać? — parska śmiechem. — Mam dużo ciekawsze rzeczy do roboty, więc przekaz Baldwinowi, że pieniądze za nasze usługi ma przynieść Reedowi w zębach.

To chyba jest odpowiedni moment, by się napatoczyć, więc wstaję od stolika, głośno odsuwając krzesło. Kirk Bryant momentalnie zerka na mnie, więc triumfująco się uśmiecham.

Ha! Tak powinno się zwracać na siebie uwagę niebezpiecznych ludzi. Maeve Whittaker w formie...

— Hej! — Macham do niego.

— O proszę! — Szeroko się uśmiecha, a cała jego uwaga skupia się na mojej twarzy. — Nowa twarzyczka w naszym maleńkim miasteczku. Powinienem wiedzieć, kim jesteś?

— Nie wiem — odpowiadam poważnie. — Myślę, że na pytania retoryczne sam musisz sobie odpowiedzieć.

— Mądrze — drwi. — A więc kim jesteś?

— Kobieta.

— Nie omieszkałam zaprzeczyć. Jak cię zwa?

— Mae, nie mów! — wtrąca Kayden zza baru, trzymając przy sobie ścierkę do wycierania blatów, jakby to była jego kamizelka kuloodporna.

*Dzięki, Kayden, za pomoc, idioto.*

— Mae, tak? — Przytakuje. — Dość oryginalnie. — Zakłada ręce na biodrach, tym samym ukazując broń przypiętą do paska spranych jeansów. Zerka na nią, po czym przenoszę spojrzenie na twarz brodatego.

— Ma mnie to wystraszyć czy coś? — pytam z rozbawieniem, ponieważ ta scena z pewnością miała mnie przerazić, lecz wychowałam się w środowisku, gdzie broń i narkotyki to najmniejsze zło, a bycie klubową dziwką wcale nie jest niegodne, ponieważ w obrębie klubu panuje wzajemny szacunek do jego członków i ich kobiet, a co za tym idzie do pań świadczących jedynie usługi seksualne również. To inny świat, w którym akceptuje się więcej niż w



środowisku, gdzie prawo i sprawiedliwość są na porządku dziennym.

— Może — śmieje się, po czym puszcza biodra, a jego motocyklowa kurtka przysłania rewolwer. — Zadziwiasz mnie, mała. Widać, że nie jesteś stąd. — Puszcza do mnie oczko. — Miłych wakacji, na mnie już czas. — Zerka na rudowłosą kobietę za mną, po czym również puszcza do niej oczko, a następnie zwraca się do Kaydena, wciąż ściskającego mokrą ścierkę. — Dla Baldwina lepiej, żeby pojawił się dzisiaj u Reeda, rozumiano? — Barman przytakuje. — W przeciwnym wypadku ściągniemy dług w bardziej drastyczny sposób — dopowiada z mocą, szczerząc zęby.

— OK, OK... — mamrocze Kayden. — Wszystko mu powiem.

— Nie wątpię. Na razie, moje miłe panie — uśmiecha się przyjaźnie w naszym kierunku, po czym wychodzi z kafejki.

— On jest boski! — ekscytuje się Ruth, wgapiając się w zamknięte drzwi. — Ta jego broda jest taka pociągająca.

— Ktoś tu się zadurzył — podśpiewuję, a rudowłosa uderza mnie w ramię, lecz nie zaprzecza.

— Wpadłam jak śliwka w kompot. I wiesz co?

— Hm?

— Zauważył mnie!

Podskakuje w miejscu trzy razy jak dziecko, które dostało wymarzonego kucyka na gwiazdkę.

Nagle ktoś chrząka za moimi plecami.

— Tak?

Odwracam się w stronę trzech facetów w średnim wieku. Łypią na mnie z góry z dość nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

Wow...

Mam kłopoty?

No tak, w końcu kłopoty do mnie lgną jak ćmy do światła, a teraz pewnie nieświadomie nadepnęłam komuś na odcisk.

— Odnieśliśmy wrażenie, że bardzo dobrze dogadujesz się z ludźmi Reeda — mówi z chrypką w głosie jeden z mężczyzn, wyglądający jak grubsza wersja Brada Pitta. Jego cera została zniszczona wskutek nałogowego palenia papierosów. Smród dymu unosi się w powietrzu.

Ale miałam rację, sądząc, że swoją pogawędkę z Kirkiem sprowadziłam na siebie drobne niedogodności.

— Nie znam żadnego Reeda.

— Akurat — parska śmiechem ten sam facet. — Nikt nie odważyłby się tak po prostu wdać w pogawędkę z degeneratami.

— No patrz, jaka ze mnie ryzykantka — drwię.

— Nie rozumiem twojego rozbawienia.

— Jak pan widzi, jestem cała i zdrowa, a to, że chciałam porozmawiać z tym człowiekiem, nie czyni mnie złoczyńcą.

Co prawda nazywam się Maeve April Whittaker, jestem córką zmarłego już Roberta Whittakera, szefa klubu motocyklowego w Austin w Teksasie, który jest teraz pod władzą mojego brata, czyli fiuta i drania w jednym, a to oznacza, że dogadam się lepiej z degeneratami niż z pozostałą częścią tutejszej populacji, liczącej ponad dziesięć tysięcy osób.

— Ten, kto dogaduje się z tymi ludźmi, ma swoje za uszami, a my nie będziemy jeść w jednym lokalu z jedną z dziwek Reeda.

Zanim zdążę chociażby mrugnąć, faceci chwytają mnie i unoszą w górę, tak że moje nogi zwisają swobodnie w

powietrzu.

No chyba ich całkiem popierdzieliło!

Szarpię się i zaczynam kopać w powietrzu, ale żadne uderzenie nie jest celne.

— Puszczajcie mnie! — krzyczę, lecz mężczyźni jedynie wzmacniają uścisk. Gorsza wersja Brada Pitta otwiera drzwi kafejki, po czym bezceremonialnie wyrzucają mnie prosto do sporej, brudnej kałuży.

— Tak kończą ci, którzy rozmawiają z degeneratami — śmieją się, po czym wracają do wnętrza lokalu.

Moje ubrania prędko przemakają, a woda nie należy do najcieplejszych.

*Sukinsyny, jeszcze pożałują, że tak mnie potraktowali.*

— Mae! — krzyczy spanikowana Ruth, wybiegająca z kafejki z moim płaszczem. — Co za banda kretynów!

— Zapłacą mi za to! — wypowiadam poważnie te słowa i mozolnie podnoszę się z chodnika z drobną pomocą Ruth.

Zostałam potraktowana jak worek kartofli, dlatego pokażę tym fagasom, gdzie jest ich miejsce w szeregu. *Gwarantuję, że jeszcze będą polerować mi buty motocyklowe.*



## Komediodramat

*23 października...*

Niby zwyczajna data, która mówi mi, że za osiem dni zacznie się Halloween i cała chmara poprzebieranych za stwory dzieciaków będzie chodzić od domu do domu w poszukiwaniu cukierków, a mimo to nie potrafię wykrzesać z siebie radości.

Dokładnie dziesięć lat temu, mniej więcej o tej godzinie Gabriel powiedział: *Daj nam szansę. Uda nam się. Dajmy sobie dziesięć lat. Jeśli do tego czasu nie wrócę, każde z nas pójdzie w swoją stronę.* Jak widać, nie wrócił, więc ja odchodzę w prawo, on w lewo. Rozchodzimy się na skrzyżowaniu. Gdybym miała pewność co do tożsamości tutejszego szefa degeneratów, wbiegłabym do jego klubu, głośno go nawołując. Niestety przed działaniem paraliżuje mnie strach. Boję się, że przemawiają przeze mnie pragnienia, dlatego usłyszałam głos Gabriela. Równie dobrze mogłam to sobie wyobrazić, prawda? Z obawy przed rozczarowaniem siedzę beczynnym w przydrożnym barze, który znajduje się nieopodal mojego mieszkania. Po wczorajszym incydencie w *Aroma Amore* moja noga prędko tam nie postanie.

Pomimo że ten dzień zaczął się naprawdę rewelacyjnie, nie potrafię się cieszyć. Rozmowa kwalifikacyjna z Melanie Rothell przebiegła sprawnie, więc od dzisiaj pracuję jako organizatorka imprez okolicznościowych, która zajmuje się naprawdę dużymi zamówieniami. Cieszę się, że będę mogła się wykazać w pracy, która sprawi mi przyjemność, nie potrafię jednak czerpać radości ze swojego drobnego samodzielnego sukcesu, ponieważ równe dziesięć lat temu pożegnałam się na dobre z Gabrielem. Wtedy widziałam go po raz ostatni, a dziś jego obietnica wygasa. Obchodzę dzisiaj żałobę, chociaż straciłam tego mężczyznę dekadę temu.

Drink, którego sącę, jest naprawdę paskudny. Kto by pomyślał, że połączenie tequili z rumem to tak niefortunne zestawienie smaków. Krzywię się z każdym łykiem, lecz pomimo ohydneho posmaku mam zamiar dopić go do końca. Mój świętej pamięci ojczulek nauczył mnie, że alkoholu nie powinno się marnować, ponieważ nie należy on do najtańszych. Mimo że mieliśmy pieniądze, Robert Whittaker był skąpcem. Unoszę spojrzenie znad szklanki, kiedy drzwi baru gwałtownie się otwierają i wpada przez nie grupka mężczyzn przyodziana w skórzane kurki i sprane jeansy. Jedni są łysi z tatuażami na głowie, inni mają brodę dłuższą od dwudziestocentymetrowej linijki. Są również tacy, którzy niespecjalnie wyróżniają się swoim wyglądem. Jedno ich jednak łączy — wszyscy należą do klubu degeneratów. Każdy z nich ma naszywkę z nazwą klubu na kurtce. Jasny gwint! Czy ja właśnie piję drinka w barze należącym do klubu motocyklowego? Zdecydowanie tak! *O mamó, przekichane*. Mieszam słomką zawartość w swojej szklance z nadzieją, że poprawi to smak napoju, lecz ten staje się bardziej gorzki, niż był na początku. Odsuwam od siebie drinka i kapituluję. Zdecydowanie wolę przyglądać się mężczyznom w skórach. Poruszają się po barze w pewnej synchronizacji. Podchodzą do baru,

zamawiają duże piwo, a następnie w niewielkich grupach zajmują miejsca przy okrągłych stolikach. Od czasu do czasu ktoś zerknie w moją stronę, skinie mi głową na powitanie, lecz żaden nie podchodzi. W tym momencie jestem ciekawa, skąd w mieszkańcach Wasilli pojawia się strach przed tym klubem. Jak dotąd nie zaobserwowałam niczego, co mogłoby budzić paniczny lęk przed barczystymi facetami ze spluwami. Dopiero po chwili zauważam Kirka stojącego za barem. Jeszcze chwilę temu jego miejsce zajmowała kobieta, której brakowało już miejsca na nowe tatuaże. *Maeve, czas wyjść ze swojej bezpiecznej strefy użalania się na sobą. Masz okazję, by dowiedzieć się czegoś na temat Gabriela Reeda, a kto jak nie wiceprezydent będzie wiedział na jego temat najwięcej?*

Biorę głęboki oddech, a następnie wstaję ze swojego miejsca i podchodzę do baru.

— Dzień dobry, maluchu — śmieje się Kirk, choć nie mam pojęcia, skąd u niego tak dobry humor. Zazdroszczę mu go. Sama chciałabym w końcu poczuć szczęście. — Co dla ciebie?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, lecz brodaty dopowiada:

— Nie mamy tu babskich drinków.

— A kto powiedział, że chcę babskiego drinka? — pytam, choć w głębi duszy mam ochotę na słodki napój, w którym alkohol jest niewyczuwalny. Chcąc nie chcąc, jestem kobietą, która ma wrażliwe kubki smakowe. Nie chcę jednak wyjść na mięczaka w miejscu, w którym obecnie jestem jedyną osobą z piersiami.

— Jesteś kobietą.

— To nie jest argument. Chcę coś, co da potężnego kopa — kłamię hardo, a uśmiech Kirka poszerza się i nie wiem, czy to dobrze, czy jednak trafiłam na jakiegoś psychopate, który rozpuści w moim drinku tabletkę gwałtu.

— Alkoholowa bomba raz! — ekscytuje się.

— Co?

Nie brzmi to zachęcająco...

— Och, mała. Wujcio Kirk przygotowuje ci swój specjał. Tak cię sieknie, że zapomnisz o smutkach, a widzę, że coś cię kłuje w tyłek. — Cmoka w powietrzu, po czym zabiera się za tworzenie mieszanki wybuchowej.

— Mam nadzieję, że się tym nie otruję — sugeruję niepewnie.

— Mae, ogarnij cyce. To porządny bar. Zajebisty barman! — Wskazuje na siebie z zadufanym uśmiechem.

— Tylko ceny wygórowane, fiucie! — krzyczy ktoś za moimi plecami.

— Zamknij się, łysa pało, i nie odstrasжай mi klientów.

— Drażliwa księżniczka — nabija się ten sam facet, więc zerkam na niego. Lubię dopasować sobie barwę głosu do twarzy, a tym razem mam do czynienia z łysym mężczyzną, którego głowa jest pokryta zawiłymi tatuażami. Dość kontrowersyjny styl, budzący bardziej respekt niż pożądanie, ale chyba taki był jego cel.

— Dobra, Mae. — Kirk odwraca moją uwagę od wytatuowanego diabła. — Chcesz do drinka lód?

— Ta... — rzucam.

— Rany, twój smętny nastrój zaraz udzieli się nam wszystkim — mówi i wnikliwie przygląda się mojej twarzy.

— Dobrze, że nie jest wkurwiona tak jak Gabriel — stwierdza łysy. — Bo dzisiaj z nim nie da się wytrzymać.

— Dziwisz mu się? — parska inny facet. — Jakaś nawiedzona laska zorganizowała dla nich ślub. Pan młody dowiedział się o tym dopiero dziś. Peyton to wariatka.

— To Gabriel się hajta? — dziwi się łysy, jakby nie dotarła do niego informacja, iż sam pan młody nie miał pojęcia o nadchodzących zaślubinach. W prawdzie Ruth mówiła, że Peyton jest zafiksowana na punkcie szefa degeneratów, ale nie sądziłam, że aż na tyle, by stać się jego damą. Kto o zdrowych zmysłach organizuje ślub z osobą, która nawet nie ma pojęcia, że ma narzeczoną? *Wasilla, miasto komediodramatu.*

— Chuj wie — mówi Kirk z kpiną. — I tak kocha inną — dopowiada poważniej, a we mnie rośnie nadzieja. Serce bije w mojej klatce piersiowej na tyle głośno, że je słyszę. Albo to moje wyobrażenie... W każdym razie co, jeśli Gabriel Reed to rzeczywiście mój Gabby? Jak dotąd wszystko na to wskazuje. Imię, profesja, barwa głosu, uczucie do nieznannej kobiety.

— Tak? Kogo? — dopytuje z zainteresowaniem łysy.

— Cholera wie — stwierdza Kirk. — Mała, zbladłaś. — Macha przede mną dużą dłoń, a ja w mgnieniu oka podejmuję ryzyko.

— Mogę zadać głupie pytanie?

Przytakuje.

— Czy twój szef zmienił nazwisko?

Zapada cisza. Czuję na sobie zaciekawione spojrzenia, które wręcz wypalają mi dziurę na plecach. Nie słychać nawet głupich wskazówek zegara. No może dlatego, że takowego tu nie ma.

*Szlag!* Ta cisza nie zwiastuje niczego dobrego.

— Kim ty, kurwa, jesteś? — pyta nagle wytatuowany facet.

— Uspokój się, Darren — odpowiada mu Kirk, wnikliwie przyglądając się mojej twarzy. — Dlaczego pytasz?



— Mam swoje powody — mówię wymijająco i spuszcza wzrok na swoje dłonie. Jak mam mu powiedzieć, że według mnie jego szef niegdyś nazywał się Black?

— A one mnie bardzo interesują.

— Kirk! — Głośny wrzask przy drzwiach powoduje dreszcze na moich plecach. Włoski na rękach stają mi dęba, a umysł głośno krzyczy: *To on!* — Czy ciebie całkowicie pojebało? Miałeś pilnować rekrutów, a nie przymilać się do jakiejś randomowej laski!

— Wypraszam sobie. Wcale się do nikogo nie przymilałam. Ta dziewczyna ma po prostu kiepski dzień, więc wujcio Kirk przygotowuje jej alkoholową bombę.

— Ja też mam, kurwa, kiepski dzień!

— Czyli alkoholowa bomba razy dwa — parska śmiechem, ignorując złość własnego szefa.

Kirk wygląda jak oaza spokoju, a w barze nie słyhać nawet szmeru rozmów. Pragnę się odwrócić, aby ujrzeć twarz Gabriela. Boję się jednak, że wyobrażam sobie jego postać, a za mną stoi zupełnie obcy mi mężczyzna. Tęsknota za kimś, kogo się kocha, to niezła suka. Wpaja nam, że znajdujemy się blisko ukochanej osoby, a potem okazuje się, że to była tylko zwyczajna fikcja, dlatego uparcie siedzę z twarzą zwróconą do barmana. Ale ten głos... Tylko jedna osoba potrafi przeklinać tak, jakby to była najpiękniejsza poezja.

— Przestań się wydurniać i rusz dupę do swoich obowiązków.

— Nie mogę.

— Bo?

— Bo nurtuje mnie fakt, że ta kobieta doskonale zdaje sobie sprawę, że zmieniłaś nazwisko, Black. Ciekawe, skąd to

wie...

Jasny gwint!

Ja pierdolę!

Kurwa jego mać.

*Black. BLACK! Gabriel BLACK!*

— Coś ty powiedział? — wrzask Gabriela jest przepełniony gniewem. Słyszę jego ciężkie kroki. Zbliża się do mnie. *Zaatakuj mnie. Uzna za wroga. Maeve, kretynko. Działaj!*

— Rany, coś ty zżarł, że ciskasz takimi piorunami?

— Bułki — mamroczę pod nosem.

— Coś ty powiedziała?

Silny uścisk na ramieniu i szarpnięcie odwracają mnie w stronę samego diabła tego miasta. Zielone oczy mężczyzny to czysty szmaragd. Obserwuje moją twarz w skupieniu. Na jego czole pojawia się zmarszczka, a kości policzkowe uwydatniają się poprzez zaciśniętą szczękę. Nie potrafię zapanować na oddechem. Brakuje mi tlenu i gdyby nie mocny uścisk blondyna, już dawno spadłabym z obracanego stołka barowego. Nic się nie zmienił. Pomimo doroślejszych rysów twarzy, przede mną stoi mój Gabriel.

— Dziesięć lat, Gabby. — mówię cicho. — Aż dziesięć lat.



## Wystraszona dusza

Cisza panująca w pomieszczeniu jest nie do zniesienia. Intensywne spojrzenie zielonych oczu to moja zguba. Milczenie Gabriela jest niepokojące. Ogarnia mnie trwoga. W moim sercu wybucha bomba emocji, a wśród nich łatwe do zinterpretowania są: euforia, panika, bezradność, a nawet żal, spowodowany wspomnieniami sprzed lat. W głowie nieustannie krążą pytania, na które nie znam odpowiedzi. O czym myśli mężczyzna z moich snów? Czy wciąż jestem dla niego ważna? Kocha mnie pomimo upływających lat? Co czuł, kiedy myślał, że nie żyję? Co czuje teraz? *Gabriel, proszę, powiedz coś.*

On jednak uparcie milczy. Jego duże dłonie dotykają mojej skóry na ramionach, a spojrzenie nie wyraża niczego. Przede mną stoi mężczyzna, tak wielki i tak silny, że można go określić mianem twardej skały. Zaczynam się trząść. Nie ze strachu, lecz z ogarniającej mnie bezradności. Nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć. W końcu od pięciu lat dla Gabriela byłam martwa, a od dziesięciu czekałam na spełnienie jego obietnicy.

Niespodziewanie wyraz jego twarzy zmienia się i nim dociera do mnie, co się dzieje, usta Gabriela przygniatają moje wargi w akcie desperacji. Z siłą kulturysty wdziera się

językiem do środka. W ten sposób rozpoczyna się między naszą dwójką zmysłowy taniec naszych spragnionych ust. Oddaję pocałunek równie mocno i zaciskam dłonie na jego skórzanej kurtce. W tym momencie nic innego się dla mnie nie liczy. Właśnie smakuję ust mężczyzny, którego pragnęłam od dziesięciu lat. Moje mrzonki stały się rzeczywistością. Gabriel cicho stęka prosto w moje wargi, a następnie przyciąga moje ciało bliżej siebie. Bijące od niego ciepło momentalnie przypomina mi o poczuciu bezpieczeństwa, jakie zawsze od niego emanowało. W końcu jestem w domu. Ramiona tego mężczyzny to mój raj. Jego usta to moja zguba. Pragnę, aby nasze serca były zsynchronizowane. Czuję, jakby zagubione bratnie dusze właśnie odnalazły siebie po latach. Jestem spragniona jego dotyku, pieszczot, uśmiechu. Moje ciało lgnie do niego, a umysł całkowicie się wyłącza. Moje myśli to jeden wielki chaos.

Gabriel. Mój Gabriel właśnie pożera moje wargi. To jego dłonie dotykają mojego ciała. Bada każdą jego krzywiznę. Czuję, że pragnie mnie tak samo, jak ja pragnę jego. Tęsknota, która nam towarzyszyła, jeszcze przez bardzo długi czas nie pozwoli się zaspokoić. Pomimo upływu dziesięciu lat wciąż czuję się jak ta nastoletnia Maeve, która pierwszy raz smakowała jego ust. Ta fascynacja pierwszym pocałunkiem nie zniknęła. Wciąż pragnę Gabriela tak samo. Te wszystkie emocje są obezwładniające. Przygniatają mnie niczym sztanga ze stukilowymi obciążeniami. Kołatanie serca to nie tylko euforia. To również paniczny strach przed ponową utratą blondyna. To zdecydowanie za dużo uczuć. Momentalnie przerywam pocałunek. Nie mogę. Nie teraz. To jest nieodpowiednie dla mojego posklejanego taśmą serca. A jeśli to nasz ostatni pocałunek? Jaką mam pewność, że Gabriel nie zniknie po raz drugi? Mimo że kocham tego

mężczyznę od lat, boję się, że zdołam pokochać go jeszcze mocniej, a wtedy umrę, kiedy zdecyduje się odejść.

On miał pięć lat na to, by pogodzić się z moją „śmiercią”. Po takim czasie jego serce zapewne zdołało się posklejać na dobre. Kiedy człowiek nie ma już nadziei na ponowne spotkanie, zaczyna godzić się ze swoim losem. Po pewnym czasie rusza z miejsca i nie ogląda się za siebie. Co prawda ten pocałunek to była czysta desperacja z jego strony. Jakby pragnął mnie tak samo, jak ja pragnę jego. Czułam, że nasze spragnione dusze łączą się ze sobą w zmysłowym, miłosnym tańcu, lecz cała gama emocji, która wybuchła we mnie, sparaliżowała mnie doszczętnie.

— Gabe...

— Maeve?

Nasze czoła się stykają, a napięcie między nami jest wyczuwalne zapewne przez wszystkich gapiów, o których istnieniu na kilka chwil zdołałam zapomnieć. Teraz jednak jestem świadoma każdej ciekawskiej pary oczu. Co ja wyprawiam? Ot tak, pozwoliłam sobie utratę kontroli? *Mae, przed tobą stoi Gabriel. O jakiej ty kontroli pieprzysz?*

— To jest złe — szepczę. — Nie możemy...

— Ty żyjesz — wypowiada głosem przepełnionym ulgą. — Myślałem... Myślałem, że straciłem cię na zawsze. Jak to możliwe? — Jego dłonie dotykają mojej twarzy. — Mae, nic, co między nami istnieje, nie jest złe.

— Trafiłam tu przypadkiem — bełkoczę. — Uciekałam przed życiem w Austin. Wsiadłam do pierwszego lepszego samolotu i wylądowałam na Alasce.

— Odwiedzałem twój grób co roku, w rocznicę twojej śmierci. Za każdym razem zostawiałem na twoim nagrobku bukiet stu białych róż i swoje złamane serce. Gdybym tylko

wiedział, że żyjesz, poruszyłbym niebo i ziemię, aby być przy tobie.

Nie potrafię powstrzymać łez. *Gabriel pamiętał o mnie. Bywał na moim grobie. Tęsknił. Miał złamane serce.* Tak bardzo, jak pragnę być jego, tak samo boję się, że to, co narodziło się między nami dziesięć lat temu, się wypali. Przytłacza mnie cała gama emocji, lecz to strach połączony z paniką wysuwa się na prowadzenie. Kołatanie mojego serca dudni mi w uszach. Zaczynam szybciej oddychać i brać coraz to płytsze wdechy. Kocham tego mężczyznę tak mocno, a mimo to boję się tego, co możemy stworzyć. Te szmaragdowe oczy przepełnione są dobrem, które dostrzegłam w nim w dniu naszego poznania. To właśnie one podpowiadały mojemu sercu, że warto dać sobie szansę na miłość. Nie spodziewałam się jednak, że to uczucie stanie się tak potężne, obezwładniające i pożądliwe. W tym momencie nie potrafię skleić logicznego zdania. Nie mam pojęcia, co powinnam odpowiedzieć na jego wyznanie. Zagubiłam się, a ramiona blondyna są moją ostoją, idealnym miejscem do życia, bezpieczeństwem.

Przyciągam twarz Gabriela bliżej swojej, a następnie składam powolny pocałunek na jego wargach. Prawdopodobnie ostatni. Muszę zostać sama. Nie mogę jasno myśleć, widząc miłość swojego życia. Potrzebuję ochłonąć w samotności, lecz aby to osiągnąć, muszę zrobić coś, co sprawi, że Gabriel nie będzie próbował mnie zatrzymać przy sobie. Odsuwam się powoli od jego ust.

— Maeve, co się dzieje? — pyta, doskonale odczytując mój nastrój.

— Twoja obietnica dziś wygasa...

— Nie ma to żadnego znaczenia.

— Dla mnie ma. Nie szukałeś mnie.

— Myślałem, że nie żyjesz.

— Każdego dnia usychałam z tęsknoty, a kiedy już cię mam, nie wiem, czego chcę.

— Co masz na myśli? — Marszczy brew. — Wszystko spieprzyłem? — Głos mu się łamie, a w moje serce wbijają się tysiące małych igieł.

— Oczywiście, że nie. — Dotykam jego policzków. — Ale ja po prostu chcę być sama. — Wstaję ze stołka barowego i delikatnie odpycham od siebie okazałe ciało blondyna. Nie stawia oporu. Gabriel pozwala mi odjeść, lecz dostrzegam w jego postawie, ile kosztuje go to energii. Uszanował moją decyzję, pomimo że się z nią nie zgadza. — Przepraszam — szepczę, a potem robię to, czego nie chcę. Uciekam.



## **Pasja może być niebezpieczna, jeśli emocje biorą górę**

*Dziesięć lat wcześniej*

— Mała? — Ciepłe, duże dłonie dotykają twarzy Mae. — Tchórzysz?  
— pyta blondyn z charakterystycznym dla siebie uśmiechem  
zwycięstwa. Gabriel uwielbia wygrywać, a w tej chwili potulna Maeve  
dodaje do jego tabeli zwycięstw kolejne punkty.

— Troszkę — wyznaje ciemnowłosa i nerwowo zerka w stronę  
motocykla zaparkowanego na podjeździe. Nigdy nie miała okazji  
zasiadać na dwukołowej maszynie. Mimo że bardzo chce objąć  
swoimi ramionami muskularne ciało Gabriela, towarzyszy jej  
delikatny strach przed nieznanym.

— Och, daj spokój. Przecież to ja będę kierowcą.

— Jeny, od razu czuję się lepiej — odpowiada z sarkazmem  
nastolatka.

— Rozchmurz się! — Szturcha ją w ramię, a jego zielone oczy  
świdrują jej twarz, tak jakby chciały zapamiętać każdy jej kontur.

— Boję się — odpowiada szczerze. — Tak trudno to pojąć?



— Nie. Strach jest dobry. — Wzrusza ramionami. — Ale jeszcze lepsza jest adrenalina i wiatr we włosach.

— Nie jest to przekonujące. — Dziewczyna unosi prowokacyjnie brew. — Daj mi dobre dwa argumenty, by mnie przekonać.

— Co za skomplikowane babsko! — parska śmiechem, ukazując przy tym swoje dwa głębokie dołeczki.

— Jeden już masz.

Nastolatka puszcza w jego kierunku oczko, a uśmiech blondyna się poszerza. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jego urok osobisty działa na ciemnowłosą Afrodytę. Jest na tyle pewny siebie, by wiedzieć, że działa na nią, nawet jeśli ona stara się to skutecznie ukryć. Wie również, że ma do czynienia z kobietą, której nie przyjdzie mu łatwo do siebie przekonać. Maeve ma swoje zasady i poglądy. Jeśli chce się do niej zbliżyć, chłopak musi pozostać stuprocentowym sobą. Wizerunek bezdusznego drania, syna Javiera Blacka, z całą pewnością nie przypadnie Mae do gustu. Jest wręcz przekonany, że zostałby znienawidzony.

— Będzie fajnie?

— To ma mnie przekonać? — Unosi brew. — Zapomnij!

— Mała... — wzdycha. Mimo że jej opór jest mocno podniecający, to w tej chwili chciałby ją zmusić siłą do kapitulacji. Chce jej pokazać, w jaki sposób on spędza wolne chwile. Ma nadzieję, że zarazi ją swoją pasją do dwukołowców.

— Gabe, naprawdę się boję.

— Proszę... — wypowiada bezwiednie, a samo brzmienie tego słowa w jego ustach zaskakuje ich oboje. Gabriel nie pamięta ani jednej sytuacji, w której musiałby o coś prosić. Jest to dla niego coś nowego, ale bardzo mu się to podoba.

— Cholera. — Ciemnowłosa się rozpromienia. — Teraz to mogę jechać z tobą nawet na koniec świata. Gabriel Black mnie o coś poprosił? Mdleję!

## **Gabriel**

Jestem wkurwiony na samego siebie. W moich żyłach buzuje złość, którą mam ochotę rozładować zapewne w najgorszy sposób. Dlaczego uwierzyłem pieprzonemu Whittakerowi, że jego siostra zginęła razem z Robertem? Miałem świadomość, że Dirk nie pała do mnie sympatią. Wiedziałem, że niezły z niego sukinsyn i kombinator, a mimo to jego łamiący się głos podczas naszej rozmowy telefonicznej pozwolił mi uwierzyć w to, że Mae nie żyje. Jej grób był tego dowodem. Moi ludzie również nie odnaleźli żadnych oznak na to, iż Dirk mnie okłamał. Jednak dziś, kilka minut temu, Maeve stanęła przy mnie. Kobieta, która na stałe znalazła miejsce w moim sercu i umyśle, za którą tęsknota była dotkliwa, a jej zdjęcie wypalało dziurę w moim portfelu, uciekła dziś przede mną.

— Fiu, fiu... — Cmoka za moimi plecami Kirk. — Nie podejrzewałem cię, szefie, o taki romantyzm. Zawsze taki opanowany, groźny, a tutaj taka ciepła klucha — naigrywa się. Zaciskam pięść i bardzo powoli odwracam się w jego kierunku. Widząc moją zdenerwowaną minę, Kirk jedynie parska śmiechem. — Spoko, szefie. Jestem wzruszony. — Ociera nieistniejącą łzę z policzka. — Tyle miłości wisi w powietrzu. — Wykonuje znak cudzysłowu. W innym przypadku jego zachowanie byłoby dość zabawne, lecz w kontekście spotkania z Maeve nie śmieszy mnie ani trochę.

— Pieprz się, Bryant — odpowiadam. — Gównu wiesz, więc z łaski swojej zamknij swoją niewyparzoną gębę, zanim stracisz całe uzębienie — warczę rozdrażniony.

— Ech, ja tylko chciałem powiedzieć, że skierowałeś swoje gorące uczucie do bardzo ponętnej laseczki. Jeśli jakaś baba ma stać się twoją damą, to właśnie ta.

— Kirk... — Zaciskam szczękę. — Zamknij się!

— Dobra już, dobra! — Unosi ręce w geście kapitulacji. — Chcesz, szefie, może alkoholową bombę?

Nie odpowiadam. Nie chciałbym niepotrzebnie stracić nad sobą panowania i kierować swojej frustracji i gniewu na Kirka, który nie jest niczemu winien. Gwarantuję, że zajebię każdego, kto poinformował mnie, że Maeve zginęła razem ze starym Whittakerem. Posłałem kilkunastu swoich ludzi, aby zbadali dobrze sytuację. Każdy z nich powiedział mi to samo: *Przykro mi szefie, ale dziewczyna jest martwa*. Sam pojechałem to zweryfikować, do cholery, więc powinienem zjechać również siebie. Ja pierdolę! Jak mogłem nie przewidzieć, że Dirk obmyślił tak doskonały plan, aby pozbyć się mnie ze swoich interesów. Wiedział, że bez Maeve nie zgodzę się na współpracę z nim, a o to mu właśnie chodziło. Nie wiem jednak, skąd jego wrogość do mnie.

— Ej! Gabriel! — woła za mną Darren, kiedy ruszam w kierunku wyjścia z przydrożnego baru, należącego do mojego klubu. Zarządza nim Kirk, ponieważ najlepiej odnajduje się zarówno w papierkowej robocie, jak i w zajmowaniu się barem i inwentaryzacją towaru. Reszta chłopaków zdecydowanie lepsza jest w chlaniu niż zarządzaniu jakimkolwiek przybytkiem. — Co mamy zrobić z rekrutami?

— Zająć się nimi — burczę pod nosem. — Cokolwiek chcecie.

— Przygarnąłbym jednego do sprzątnięcia toalet — proponuje Kirk. — Wybaczcie, panowie, ale wy chyba nie wiecie, że sra się do kibla, a nie wokół niego.

— Ewidentnie masz za małe kible — parska śmiechem Mark, na którego wszyscy mówią „Śruba”. Pewnie przez jego bujną czuprynę kręconych włosów.

— Albo wy rozepchany układ wydalniczy.

— Coś sugerujesz? — wzdycham przeciągle i czym prędzej wychodzę na zewnątrz.

Nie mam ochoty obserwować przepychanki pomiędzy Śrubą a Kirkiem. Zawsze kończy się to tak samo. Połamanymi meblami barowymi i roztrzaskanymi butelkami po whisky. Co prawda nikt nikomu nie robi krzywdy, ponieważ jesteśmy rodziną, a to oznacza, że staniemy za sobą murem, nawet w obliczu poważnych spięć.

Pośpiesznie wsiadam na swojego ścigacza, co z całą pewnością jest jednym z moich gorszych pomysłów. Lekka mżawka głośno krzyczy: „UWAGA! ŚLISKA NAWIERZCHNIA JEZDNI”, lecz serce potrzebuje odciąć się od rzeczywistości. *Maeve żyje. Jest tutaj. Nie chce mnie...* Ostatnia myśl jest bolesna. Kiedy ją dziś ujrzałem, wiedziałem jedno. Nie przestałem jej kochać. Parskam śmiechem. Okazuje się, że człowiek uważany za skurwiela przez lokalne społeczeństwo ma serce wypełnione jedną, jedyną kobietą — Maeve April Whittaker. Zawładnęła nim dziesięć lat temu i już zawsze będzie jego właścicielką. Ona jest moją jedyną słabością. Jeśli ktokolwiek z moich wrogów o tym się dowie, nie zawaha się tego wykorzystać.

Zakładam kask i zapinam skórzaną kurtkę motocyklową. Odpalam silnik, a potem pośpiesznie ruszam spod barowego parkingu. Prędko rozwijam zawrotną prędkość, która może mnie w tempie ekspresowym zanieść do bram piekła. W tym momencie mało mnie to obchodzi. Jestem wściekły na samego siebie. Nie dotrzymałem swojego słowa, ponieważ głupio uwierzyłem w plotki rozesłane przez pierdolonego Dirka. Co roku pojawiałem się na

cmentarzu przy nagrobku Mae, modląc się za jej niewinną duszę, i nawet przez myśl mi nie przeszło, aby zawitać z wizytą u jej brata i wyjaśnić okoliczności jej śmierci. Jestem imbecylem! Głupkiem! Łatwowiernym kretynek!

Dziś ją straciłem...

Najpierw odzyskałem, lecz postanowiła odejść i nie mogę jej za to winić.

Kurwa!



## Co ma piernik do wiatraka?

Emocje to przeklęte badziewie, które kieruje naszym umysłem w najmniej pożądanym momencie. Dopiero po czasie dociera do nas, że zrobiliśmy coś bardzo złego. Ja uciekłam od Gabriela. Zbyt wiele sprzecznych uczuć towarzyszyło mi w tamtym momencie, dlatego teraz wyglądam jak napuchnięta ryba puffer. Łzy uparcie nie chcą przestać płynąć, przez co moja czkawka trwa już od dobrej godziny, a drgawki w moim ciele wcale nie są spowodowane spadkiem temperatury. Topię się we własnej rozpacz. Wykazałam się głupotą. Jak mogłam zostawić Gabriela w tak paskudny sposób? *Maeve, kretynko zjebana! Weź się w garść!* Próbuję motywować samą siebie, lecz to na nic. Nie mam siły, by podnieść się z łóżka, a co dopiero przywrócić sobie do stanu normalności.

Moja komórka rozdzwania się po raz kolejny tego wieczoru. Ponownie na wyświetlaczu pojawia się nieznany numer, dlatego ignoruję połączenie, lecz kiedy dźwięk dzwonka dobiega końca i po kilku sekundach ponownie się włącza, wciskam zieloną słuchawkę.

— Halo? — mamroczę.

— No w końcu! — mówi wyniośle jakiś mężczyzna. — Ile można do ciebie dzwonić? Wcale nie szanujesz mojego

wolnego czasu!

— Kto mówi? — pytam, ponieważ nie rozpoznaję barwy głosu. Jestem otępiała, a wszelkie docierające do mnie bodźce odbijają się od mojego ciała jak od ściany. Nie myślę i nie czuję.

— Ty tak poważnie? Bailey mówi!

— A. Cześć.

— No siema, mordeczko moja kochana. Gdzie wylądowało twoje dupsko?

— A czy to ważne?

— Masz mój sygnet, więc tak. To bardzo ważne!

— Dlaczego się tak unosisz?

— Rany, Maeve. Co z tobą? Łatwiej porozumieć się z niemym, bezzębnym, rdzennym mieszkańcem jakiejś dziwnej społeczności afrykańskiej wyznającej niepojęte dyrdymały niż z tobą!

— Interesujące — mamroczę bez żadnych oznak zainteresowania. Naprawdę nie mam ochoty wdawać się w pogawędkę z Payette'em, która niczego ciekawego nie wniesie do mojego życia.

— Wszystko, co mówię, jest interesujące. Cieszę się, że to widzisz i nie muszę poświęcać czasu, aby wyjaśnić ci, dlaczego moje wywody są arcyciekawe.

— Bailey, do rzeczy.

— Gdzie wylądowało twoje dupsko?

— Na Alasce.

— Na jakiej lasce?

— Alasce! A-L-A-S-C-E — literuję.

— A dokładniej?

— Wasilla.

— O! Miejscówka skurczybyka Reeda. Nawet lubię tę mordeczkę. Poznałem go jeszcze jako Gabriela Blacka, ale potem coś mu odjębało i zmienił nazwisko na Reed. Jeśli mogę wyrazić swoją osobistą opinię, to facet byłby z pewnością przystojniejszy, gdyby się więcej uśmiechał i wyjął gorący pręt z tyłka.

— Bailey, co ma piernik do wiatraka?

— Bez wiatraka nie ma energii wiatrowej, a żeby upiec pierniki, potrzeba piekarnika, który jest zasilany prądem produkowanym z wiatraków.

— Prąd równie dobrze może pochodzić z elektrowni węglowej albo jądrowej.

— Maeve, jest coś takiego jak ekologia — burczy tonem niezadowolonego dziecka. — Ale skoro już tak bardzo czepiasz się szczegółów, to wyjaśnię ci to tak. Dawno, dawno temu, za fikuśnymi górami i ciemnymi lasami do mielenia mąki używano młynów, które również posiadały wiatraki. Bez mąki nie ma piernika, więc piernik zawsze ma dużo wspólnego z wiatrakiem. Ogarniasz?

— Co ma piernik do twojego sygnetu? — mamrocze z niezadowoleniem. W innym przypadku wywody Payette'a byłyby nawet zabawne, lecz dziś tonę we łzach, a nie potrafię pływać. Utopię się, zanim moje serce choć w małym stopniu zdoła się zagoić.

— Co za niszczycielka dobrej zabawy — fuka obrażalsko. — Niech ci będzie. Dzwonię, aby się upewnić, że mój skarb jest bezpieczny.

— Chodzi o sygnet?

— Nie, o cztery tancerki go-go — rzuca sarkastycznie. — Maeve, jasny gwint! Co się z tobą dzieje?



— Nie powinno cię to interesować.

— W zasadzie masz rację, ale jestem największym plotkarzem, jakiego zna ten świat, dlatego chcę wiedzieć wszystko, co się wokół dzieje. Tak się składa, że dla ciebie postrzeliłem twojego brata ślepakiem, więc zasługuję chyba na jakieś perypetie z twojego nędznego życia, nieprawdaż? Dodam jeszcze, że Dirk po przebudzeniu był bardzo wściekłą mordeczką.

Przewracam teatralnie oczami, a na moje usta wkrada się cień uśmiechu. Dziwactwo Bailey'a ma w sobie coś orzeźwiającego. Jeszcze nigdy nie spotkałam tak popapraną osobowości, która jest uważana za niebezpiecznego świra.

— To długa historia.

— Tym lepiej. Pozwól, że sobie wygodnie usiądę, a jedna z moich wynajętych masażystek wykona mi masaż stóp. Ty w tym czasie możesz trajkotać, ile tylko chcesz. Zapewniam cię, że jestem doskonałym słuchaczem.

— W tym miasteczku zobaczyłam swoją dawną miłość — dukam powoli. — Ale...

— A! Blacka?

Marszczę brwi. Co?

— Yyy...

— No daj spokój, moja niezbyt rozwinięta mordeczko. Przecież wiem, że nabijałaś się na fiuta tej mordeczce z Alaski.

— Yyy...

W moim umyśle pojawia się zaśnieżony obraz, a pośrodku niego kółeczko, które się kręci, a obok znajduje się napis: *ładowanie danych — 1%*. Sklejenie chociażby jednego

zrozumiałego zdania graniczy z cudem. Mam wrażenie, że straciłam zdolność mówienia i myślenia.

— Kochaniutka, nie rozumiem twojego zaskoczenia. Wspominałem przed chwilą, że jestem największym plotkarzem, jakiego zna ten świat. Ja wiem wszystko o tych, którzy mnie interesują. Tak się składa, że twoja osóбка bardzo mnie interesuje.

— Dlaczego...

— Bo jesteś dość ładna, poza tym masz dość ciekawego brata i posiadasz mój cenny sygnet. Jest prawie tak samo cenny jak moje klejnoty. Nie chciałbym stracić ani tego, ani tego. Poza tym...

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, gdzie jest Gabriel? — przerywam jego wywód w pół zdania, ponieważ nie interesują mnie jego cenne skarby. Skoro miał świadomość, co łączyło mnie z Gabrielem, dlaczego milczał?

— A co ja, wróżka, by czytać ci w myślach? Skąd miałem wiedzieć, że wciąż masz ochotę ujeżdżać tego ogiera?

— Podobno wiesz wszystko.

— Coś insynuujesz?

— Nie, skądże — mamrocę pod nosem.

— A ja myślę, że uważasz mnie za kłamcę.

— Ty to powiedziałaś.

— Ja mogę mówić wszystko. Nawet kłamstwa uchodzą mi na sucho.

— Pewnie dlatego, że zabijasz każdego, kto zwróci ci uwagę, że łżesz.

— Fakt — parska śmiechem. — No dobra, wracając do tematu. Jesteś w mieście Reeda, masz go na wyciągnięcie ręki, więc dlaczego jeszcze na nim nie siedzisz?

— Bo jestem tchórzem.

— Z całą pewnością nie jesteś — mówi poważnie. — Raczej powiedziałbym, że jesteś panikarą, do bólu analizującą wszystkie „za” i „przeciw”. Na twoim miejscu przestałbym się mazać, bo łyzy sprawiają, że człowiek wygląda jak napompowany hipopotam. Poszedłbym pod prysznic, ogoliłbym wszystkie pożądane miejsca, wskoczyłbym w coś seksownego i ponętnego, a potem zawitał w progu domu miłości mego życia, by krzyczeć jego imię w niebogłosy.



## Prawda jest wyzwalająca

Moje szpilki odbijają się głośno od płytek chodnikowych. Idę pewnym krokiem przed siebie, ponętnie kręcąc biodrami. Moje rozpuszczone włosy poruszają się z każdym ruchem moich bioder. Dziś chcę jednego. Sięgnę po to, choćbym miała oddać swoją duszę diabłu. Delikatny uśmiech gości na mojej twarzy, kiedy mijam kilkunastu mężczyzn w skórzanych kurtkach. Przemierzam podjazd klubu motocyklowego, widząc przed sobą tylko drzwi, za którymi znajdę Gabriela. Nie pukam, aby poinformować o swojej obecności. Z pewnością nikt nie będzie miał mi za złe wtargnięcia na teren klubu.

Wchodzę do środka, w którym panuje półmrok. Rozglądam się dookoła i nasłuchuję głosów. *Gdzie cię szukać, Gabby?* Odpowiedź na pytanie przychodzi sama, kiedy dociera do mnie głos mojego mężczyzny. Ruszam w jego kierunku. Unoszę wyżej czarną sukienkę, by uwydatnić swoje nogi. Ponownie bez pukania otwieram drzwi, jak się okazuje, do gabinetu Gabriela. Zamykam je z głośnym trzaśnięciem, a blondyn błyskawicznie się odwraca. Spojrzenie jego szmaragdowych oczu dodaje mi pewności siebie.

— Mae? — pyta szeptem, skanując moją sylwetkę. — Oddzwonię — rzuca do słuchawki, a następnie prędko się

rozłącza. — Co tu robisz? Sądziłem, że nie chcesz mnie znać... — W jego głosie rozbrzmiewa nutka smutku i żalu. *Och, Gabe.*

— Kłamałam — przyznaję bez skrępowań. Skłamałam, ponieważ spanikowałam. Teraz jednak chcę zrobić to, o czym fantazjowałam przez dziesięć lat w swoim łóżku każdej cholernej nocy. Bez dopuszczania do swojego umysłu jakichkolwiek protestów, pośpiesznie skracam dzielącą nas odległość. Gabriel odruchowo chwyta moje biodra, by przyciągnąć mnie do siebie. Przez moje ciało przechodzą naelektryzowane iskry. Dociera do mnie męski zapach wody kolońskiej. Tej samej, której używał dziesięć lat temu.

— Dlaczego skłamałaś? — pyta cicho. Jego oddech omiata mi twarz, a dłonie zaciskają się na moich biodrach.

— Czy to ważne?

— Dla mnie tak. — Przybliżyła swoją twarz do mojej. Jego usta są tak blisko moich warg. Pragnę je pocałować, ugryźć, polizać. Są moją zgubą. — Dlatego ponawiam pytanie. Dlaczego skłamałaś?

Unoszę wzrok, by spojrzeć prosto w jego oczy, w których buzuje cała gama emocji. Jego tęczywki mają intensywną barwę zieleni, która powracała do mnie w snach.

— Przytłoczyły mnie uczucia — wyjaśniam. — Pogodziłam się z myślą, że nigdy więcej cię nie spotkam. Kiedy jednak ujrzałam cię tego dnia, zrozumiałam, że pragnę cię każdą częścią swojego ciała. Moje uczucia względem ciebie nie zmieniły się pomimo mijających lat. Wciąż pragnę twojego dotyku, twojej uwagi, ciebie całego. Jesteś moim tlenem, bez którego nie przeżyję kolejnego dnia. Kiedy już cię mam... Dotykam... Widzę przed sobą... Boję się, że znikniesz, a ja obudzę się sama, zraniona i pogrążona w żałobie po stracie miłości swojego życia.

Dotykam dłońmi jego policzków. Tak dobrze jest czuć jego ciepło. Mam wrażenie, że kiedy go przy mnie nie było, tkwiłam uwięziona w kostce lodu, a kiedy tylko powrócił, roztopiłam się pod wpływem jego spojrzenia. Płonę dla niego. Jestem jak rozżarzona pochodnia, która z każdą kolejną iskrą rozpala się mocniej.

— Jesteś moim słońcem, które rozjaśnia najbardziej mroczny dzień — szepcze. — Kiedy zobaczyłem cię w tej kawiarni, myślałem, że śnię. Kiedy poinformowano mnie, że zginęłaś, nastąpiła w moim życiu ciemność. Grube chmury przysłoniły błękit nieba, błękit twoich oczu, które, jak sądziłem, zamknęłaś na zawsze. Żyłaś w moich myślach. Byłaś moim talizmanem. Wystarczyło, że przywołałem do siebie obraz twojej twarzy, wiedziałem, że zwyciężę i przetrwam. Myślałem, że nie będzie mi dane ponownie spojrzeć w oczy emanujące dobrem, ale wczoraj... Maeve — wzdycha.

Nasze czoła stykają się, a ciała są napęczniałe napięciem. Słucham go i czuję się jak w transie. Nie potrafię się ruszyć. On również. Tkwimy w pozycji, która daje nam schronienie i poczucie bezpieczeństwa oraz przynależności. Należymy do siebie nawzajem. Od zawsze na zawsze.

— Cholera jasna, Mae. Wczoraj powróciłaś do mnie. Żywa, pełna uczuć. Kobieta, którą pokochałem, stała przede mną. Stoi teraz. Nie wypuszczę cię. Nie pozwolę ci odejść. Nie chcę, aby powrócił mrok, który okazał się okrutnym sukinsynem. Sprawił, że dryfowałem pomiędzy realnością a mrzonkami. Nie pozwalał mi żyć pełnią siebie. Wskazywał mi, że brakuje przy mnie mojej kobiety. Jesteś moja, rozumiesz?

— Chcę być twoja.

— Jesteś.

— Jestem twoja.

— A ja jestem twój.

— Jesteś mój — powtarzam po cichu, chcąc zapisać w swoim umyśle tę informację. — Pocałuj mnie, proszę — kwilę błagalnie, przyciągając jego głowę bliżej swoich ust.

Gabriel przez ułamek sekundy wymienia ze mną intensywne spojrzenie, a następnie desperacko wpija się w moje spragnione wargi. Oddaję pocałunek, a wtedy przez moje ciało przedziera się błyskawica, która sprawia, że tracę nad sobą kontrolę. Popycham blondyna na biurko, lecz ten błyskawicznie bierze mnie w ramiona, by posadzić mnie na drewnianym blacie. Oplatam jego biodra nogami, a następnie odrywam swoje usta od jego warg, by zdjęć z niego T-shirt, spod którego wyłania się umięśniona klatka piersiowa. Niemal od razu ponownie łączę nasze usta, a dłońmi badam każdą krzywiznę jego idealnie wyrzeźbionego ciała. Tak długo moje opuszki palców nie badały skóry tego pociągającego mężczyzny, więc teraz czuję, jakby płonęły. Ja cała płonę. Dla niego. Przez niego. Nasz pocałunek to walka o dominację. Jest gorący, podniecający i pełen pasji, która pobudza każdy najmniejszy skrawek mojego ciała. Pragnę Gabriela jak nikogo innego na świecie. Jego dotyk na moich udach to ogień w najczystszej postaci.

Blondyn chaotycznie rozpina moją kusą sukienkę, a kiedy ramiączka opadają z ramion, moje nagie piersi wołają: *Dotknij nas. Popieść nas. Pobaw się nami. Daj nam przyjemność!*. Gabriel jakby wyczytał te prośby z moich oczu, ponieważ jego ciepłe dłonie przygniatają delikatnie moje piersi, drocząc się co chwilę z nabrzmiałymi sutkami, które są nadwrażliwe. Wystarczy jedno lekkie muśnięcie, a przez moje ciało przechodzą spazmy rozkoszy. Odczucie jest porównywalne z przejściem prądu elektrycznego, z tą różnicą, że prąd rozsyłany przez Gabriela jest o stokroć przyjemniejszy. W tym momencie nie obchodzi mnie

uprawianie miłości. Pragnę czegoś szybszego, bardziej brutalnego, pełnego niepohamowanych jęków rozkoszy.

Zniecierpliwiona rozpinam guzik w jeansach blondyna, a następnie jednym sprawnym ruchem rozsuwam suwak. Spodnie same opadają. Bez pohamowania chwytam w dłoń nabrzmiałą męskość Gabriela, a syknięcie, jakie wydobywa się z jego ust, jest seksowne jak diabli. Uśmiecham się tuż przy jego ustach. Zęby blondyna delikatnie wbijają się w moje wargi. Wolną ręką zdejmuję bokserki Gabe'a, a kiedy dzieli nas jedynie moja bielizna, serce przyśpiesza. Nie ze strachu, lecz z oczekiwania. Oboje wiemy, czego chcemy. Pragniemy siebie poczuć. Złączyć się w jedność, by zapomnieć o latach pełnych tęsknoty.

Gabriel jednym sprawnym ruchem rozdziera moje figi, a potem dzieją się dwie rzeczy jednocześnie — jego usta atakują moje wargi z siłą wygłodniałego dzikiego zwierzęcia, a jego męskość wbija się w moją ociekającą sokami kobiecość. Wtedy wszystko inne staje się wyblakłe. Lata rozłąki, tęsknota, łzy i cierpienie odchodzą w przeszłość. Teraz liczy się tylko ta chwila, w której bratnie dusze łączą się ponownie, by tym razem stać się na tyle silnymi, aby niczemu i nikomu nie udało się więcej ich rozdzielić.

Zaplatam nogi na biodrach blondyna, kiedy ten raz po raz wbija się we mnie. Szybko. Chaotycznie. Wygłodniałe. Prędko łapię ten sam rytm i równie szybko czuję, jak w dole mojego brzucha narasta rozkosz, której nie da się opisać słowami. Jedną dłoń zaciskam na barku Gabriela, a drugą opieram o drewniany blat. Natomiast dłonie Gabe'a zapierają się na moich biodrach. Między jego brwiami pojawia się pełna skupienia zmarszczka, a kiedy nasze spojrzenia się spotykają, osiągam spełnienie, wykrzykując przy tym imię Gabriela, a kilka sekund później białe



nasienie naznacza moją opaloną skórę, dając tym samym  
rozkosz mężczyźnie, którego już zawsze będę kochać.



Drewniana podłoga może nie jest najwygodniejsza, lecz leżenie tuż obok drzemiącego Gabriela to spełnienie moich snów. Nieważne, czy znajdujemy się w wygodnym, ciepłym łóżku, czy na zimnej i twardej podłodze. Ważne jest to, że znów tkwimy w swoich ramionach. Zawsze wierzyłam w szczęśliwe zakończenia. Przeczuwałam również, że bratnie dusze zawsze znajdą do siebie drogę, nawet jeśli jest pełna przeszkód i wymaga sporo czasu, by ją pokonać. Teraz już jestem pewna, że miłość dusz jest silna i nierozzerwalna. Pomimo upływu dziesięciu lat czuję się przy Gabrielu tak samo jak dawniej. Moje ciało odbiera te same impulsy, kiedy mnie dotyka bądź kiedy nasze spojrzenia łączą się ze sobą. W szmaragdowych tęczówkach Gabe'a wciąż widać tę dobroć. One nie potrafią ukryć jego intencji ani emocji. Są po to, bym mogła w nich dostrzegać miłość ich właściciela do mnie.

— Patrzysz na mnie, kiedy śpię?

Nagłe pytanie blondyna sprawia, że podskakuję. Byłam przekonana, że jest pogrążony w głębokim śnie. Rumienię się i delikatnie wykrzywiam usta na kształt uśmiechu.

— Mogłabym powiedzieć, że nie, lecz wtedy bym jawnie skłamała.

Gabe otwiera jedno oko, marszcząc przy tym nos.

— Czuję się jak eksponat muzealny — odpowiada wesoło. — Albo jak słynna rzeźba Dawida. W sumie jestem nagi, dobrze zbudowany. Idealnie wpasowuję się w trendy rzeźbiarskie Michała Anioła.

— Zapomniałam, że bywasz próżny. — Szczerzę zęby w uśmiechu, na co Gabriel wybucha śmiechem.

— A ja zapomniałem, że bywasz wyszczekana.

— No cóż. Każdy ma jakieś wady.

Pokazuję mu język, na co Gabe przewraca mnie na plecy i sam mości się pomiędzy moimi nogami. Krzywię się nieznacznie, ponieważ nacięcia wykonane przez Logana na moich plecach dają o sobie znać. Modlę się w duchu, aby Gabriel tego nie zauważył. Nie chcę psuć tak miłej chwili na tłumaczenia, skąd na moich plecach znalazło się dziesięć niezbyt głębokich ran, po których z całą pewnością pozostaną nieestetyczne blizny. Będą mi przypominać o mojej własnej głupocie.

— Coś nie tak? — *Szlag!*

— Nie, skąd to pytanie? — mamroczę, uciekając wzrokiem od jego twarzy. Nie jestem na tyle pewna siebie, by wytrzymać jego przenikliwe spojrzenie. Najprawdopodobniej brak kontaktu wzrokowego to błąd i zostaje mi mieć nadzieję, że Gabe odpuści dalsze drażnienie tematu.

— Trudno mnie okłamać. — Dotyka mojej brody, by spojrzeć prosto na moją twarz. — Dlatego wolałbym, abyś mi powiedziała, o co chodzi, zanim rozpocznę własne dochodzenie.

— Mam tylko uszkodzone plecy. To nic takiego...

Blondyn momentalnie klęka, a następnie chwytając mnie za dłonie, pomaga mi usiąść. Bez chwili zawahania powoli odwraca mnie do siebie plecami. Kulę się, wiedząc, co nastąpi za moment. Doskonale zdaję sobie sprawę, w jakim stanie jest moja skóra w tamtym miejscu. Zaczerwieniona, pełna strupów i wciąż bolesna. Nie widzę wyrazu twarzy Gabriela, lecz doskonale słyszę, w którym momencie zauważa czerwone szramy po ostrzu tępego noża. Wciąga głośno powietrze, jakby to, co widzi, było odrażające.

— Nic, kurwa, takiego? — cedzi przez zaciśnięte zęby. Delikatnie dotyka poranionych miejsc, jakby chciał je uleczyć. Niestety nie da się zapomnieć momentu, w którym rozwścieczony Logan naznaczał moje plecy. Miał prawo do tej furii, lecz okaleczenie mojej skóry to dość drastyczny akt. Dzięki Payette'owi spotkała go kara najokrutniejsza ze wszystkich — szybka, bezbolesna i niespodziewana śmierć. Zapewne sama pójde do piekła, ponieważ jestem wdzięczna Baileyowi za to, co zrobił.

— Drobne nacięcia — szepczę, zapewniając sama siebie, że to, co widzi Gabriel, jest nieistotne. Obraz wściekłego Logana z nożem w ręku będę pamiętać do końca życia. Zresztą widzę go co noc, kiedy sen nie chce szybko nadejść. Pomimo to wolałabym skupić się na tym, co dzieje się teraz. To Gabriel jest dla mnie istotny i nie chciałabym, aby wydarzenia sprzed tygodnia zawładnęły moimi myślami.

— Mae, to wygląda tak, jakby ktoś wymierzał ci cholerną karę! To nie są drobne nacięcia! — niemal krzyczy. — Chcesz mi to wyjaśnić?

— Po co?

— Jak to po co? — warczy gniewnie. — Ten, kto ci to zrobił, zapłaci mi za to!

— Już zapłacił za to życiem.

— Ktoś go już zjebał?

— Przecież to właśnie powiedziałam.

— Kto?

— Znajomy.

— Jaki?

— Gabby, ja naprawdę nie chcę o tym mówić. Spotkała mnie kara za swoją głupotę.

— Co zrobiłaś? — pyta łagodniej. Odwraca mnie powoli twarzą do siebie. W jego spojrzeniu nie ma wesołości. Zastąpiła ją złość, lecz dotyk jego dłoni jest delikatny, jakby chciał ukoić mój ból. To właśnie cały Gabriel Black — czuły, kiedy ktoś potrzebuje jego ciepła, groźny, kiedy wymaga tego sytuacja, męski, co z kolei daje poczucie bezpieczeństwa, wreszcie dobry pomimo swojej profesji.

— Chciałam uciec od Dirka. — Spoglądam na swoje dłonie. Łatwiej jest mi opowiadać swoją historię, udając, że mówię sama do siebie. Obecność Gabriela jest dla mnie pokrzepiająca, lecz boję się, że odrzuci mnie, kiedy dowie się, do czego byłam zdolna, by zniknąć z życia mojego brata. — Byłam pod stałą kontrolą jego ludzi, więc musiałam obmyślić plan. Tydzień temu Dirk pozostawił mnie w pokoju hotelowym w Vegas z tylko jednym ze swoich ludzi, Loganem. Żeby uciec, chciałam go uwieść, lecz był za silny i... i...

— Wykorzystał cię? — pyta delikatnie, jakby bał się, że to pytanie wywoła u mnie wybuch płaczu.

— Nie zdołał. Ja... — dukam.

— Co ty?

— Prawie odgryzłam mu... wiesz co...

— Żartujesz? — parska śmiechem, na co prędko unoszę wzrok. W oczach Gabe'a tańczą wesołe chochliki.

Zaprzeczam ruchem głowy, bacznie obserwując jego mimikę.

— Ja pierdolę! — Jego śmiech jest zarażający, dlatego sama się rozchmurzam i odczuwam ulgę, iż nie zostałam skrytykowana i zwyzywana od niemoralnych szmat. — To jest ta Maeve, o której śniłem. O matko! Moja dziewczynka. — Przybliżyła do siebie moją głowę, by po chwili złożyć pocałunek na moim czole. Następnie rękoma chwytła za moje policzki i wypowiada słowa, które sprawiają, że czuję się tak, jakbym znalazła swoje miejsce na ziemi: — Jestem dumny, że postanowiłaś zaryzykować wszystko, by uciec od tego sukinsyna. Znalazłaś siłę, której brakuje większości kobiet. Zapewne nie zdołam sprawić, abyś zapomniała o wszystkim, co ci się przydarzyło, lecz będę się starał, abyś już nigdy nie musiała uciekać i walczyć o przetrwanie. Obiecuję.

Przybliżyłam do siebie jego usta. Całuję go tak, jakby świat miałby zaraz się skończyć.

Już pamiętam, dlaczego kocham tego mężczyznę. Zawsze wie, co powiedzieć, abym czuła się wyjątkowa i kochana. Kiedy jestem z nim, nie liczy się dla mnie nic innego.



## Odór zgnitego śledzia

Początkowo myślałam, że praca związana z organizacją przyjęć okolicznościowych będzie nudna i niezadawalająca, lecz to założenie było błędne. Mój pierwszy dzień w firmie Melanie Rothell jest pełen wyzwań. Mimo że jestem dopiero na etapie szkolenia i wdrożenia do wykonywania zawodu, czuję, że bez większego problemu odnajdę się w świecie plannerki przyjęć. Mam dość bujną wyobraźnię, co powinno przełożyć się na kreatywne pomysły. Najważniejsze jednak jest to, że mogę z tej pracy czerpać satysfakcję, a o to właśnie chodzi.

— Oderwiesz wzrok od wzorników kolorów, aby udać się ze mną na kawę? — pyta Melanie. Delikatnie stuka palcami o blat mojego biurka, dając tym samym znak, że nie zamierza ustąpić. Spoglądam na nią z przyjacielskim uśmiechem.

— Jasne — odpowiadam. — Skoro szefowa chce iść na kawę, to nie będę oponować.

— Mądra dziewczyna — kwituje rozweselona, a następnie zakłada swój biały płaszcz, który wcześniej trzymała w dłoni. Niezdarnie zapina duże guziki, bo długie paznokcie nie ułatwiają jej tego zadania. Wstaję ze swojego fotela i zabieram swoją pikowaną kurtkę i bawełniany szalik.

— Dokąd chcesz iść?

— Najlepsza kawa jest w *Aroma Amor*.

Szlag! Nie chciałam się tam pokazywać po ostatnim incydencie. Wylądowałam w brudnej kałuży, jakbym była workiem pełnym śmierdzących, zapleśniałych śmieci. *Mae, schowaj dumę do kieszeni. Pokaż tym wszystkim ludziom, że wcale cię to nie ruszyło.*

— OK — zgadzam się, starając się ukryć swoje niezadowolenie. Wolałabym unikać Kaydena i jego narwanej klienteli. Jeśli rozmowa z członkiem klubu Gabriela wyklucza mnie ze społeczności, to niech tak będzie. Zależy mi jedynie na tym, aby nie osądzano moich wyborów, ponieważ nikt tak naprawdę nie zna szefa degeneratów. Nikt nie zrozumie uczucia, jakie nas łączy. Stałam się wyrzutkiem, ponieważ kocham mężczyznę, który sieje postrach wśród lokalnej społeczności.

— W całym mieście nigdzie nie znajdziesz lepszej kawy. Poza tym lubię Kaydena. To taki miły, dobry chłopak. Nie ma jednak szczęścia w miłości. Każda pannica, jaka mu się podoba, daje mu kosza. Gdybym była w jego wieku, bez zastanowienia zgodziłabym się na życie u jego boku. Kobiety w tych czasach dokonują dziwnych wyborów. Pociągają ich tak zwani niegrzeczni chłopcy, a ci dobrzy, wartościowi pozostają samotni. To takie niesprawiedliwe.

— Niegrzeczny chłopiec też może być wartościowy — stwierdzam uprzejmym tonem, a głęboko w sobie duszę chęć wyrażenia swojego zdania na temat reklamowania potencjalnego kandydata na męża. Melanie właśnie to próbuje zrobić. Zachęcić mnie do spotykania się z Kaydenem. Nie wątpię, że to dobry mężczyzna, lecz moje serce już dawno należy do kogoś zupełnie innego, dlatego też swatanie mnie z pracownikiem *Aroma Amore* jest stratą czasu.



— Nie mówię, że nie. Twierdzę jednak, że mężczyzna o dobrym sercu kocha najmocniej. Kiedy obserwuję starania Kaydena, by poderwać jakąkolwiek dziewczynę, jest mi przykro, gdy słyszę, jak taka mała lafirynda odmawia mu, szydząc z niego. Przecież to nie jest jego wina, że jest chudziutki. On ma to zapisane w genach.

— Z góry zakładasz, że mężczyzna o dobrym sercu ukazuje to, będąc miłym?

— Oczywiście, że tak! Powinnaś sama się o tym przekonać. Może będziecie mieli okazję się za moment poznać. Byłoby cudownie, gdybyście wpadli sobie w oko.

— Wow. Wcale nie ukrywasz, że bawisz się w swatkę — mówię, nie ukrywając swojego rozdrażnienia.

Mimo że Melanie to moja szefowa, to nie zamierzam udawać przesadnie miłej. Jestem jej pracownicą, a nie przyjaciółką. Za takową mogłabym nawet uznać Ruth, choć znamy się za krótko, by nadać jej to miano. Jako jedyna nie traktuje mnie jak dziwaczki, która nie trzęsie portkami na widok degeneratów. Swoją drogą, do tej pory nie rozumiem tego irracjonalnego strachu przed facetami na dwukołowcach. Jak dotąd nie zaobserwowałam niczego, co mogłoby budzić lęk.

— To prawda. Mam pięćdziesiąt pięć lat i sędzę, że dobrze znam się na ludziach, by dobierać ich w pary — deklaruje dumnie, kiedy wychodzimy z biurowca prosto na mroźną mżawkę. Od razu żałuję, że nie zabrałam ze sobą parasola.

— Naprawdę doceniam twoje starania, ale...

— Nie lubię tego słowa! „Ale!” Co to ma w ogóle znaczyć? Mówisz jedno, ale zaprzeczasz sobie słowem „ale”. Sędzę, że tak naprawdę nie doceniasz moich starań, bo masz jakieś obiekcje.

— Poznałam już Kaydena. Masz rację, jest miły...

— Ale? — Zerka na mnie kątem oka. Jak mam jej powiedzieć, że ciągnie mnie do mężczyzny, który budzi tutaj postrach? W zasadzie wytłumaczenie moich uczuć tak, by były one zrozumiałe, jest nierealne. W końcu jak można kochać kogoś, kto podobno jest okrutniejszy niż sam Belzebub? Kiedy już mam otwierać usta, by wypowiedzieć pierwsze zdanie, ktoś za nami głośno gwizdże. Raptownie zatrzymujemy się pośrodku chodnika, a następnie odwracamy się w stronę źródła dźwięku.

— O nie. Degeneraci — mamrocze Melanie. Momentalnie kuli ramiona i robi krok w tył, jakby chciała schronić się za moimi plecami. Unoszę brew, lecz nie komentuję tego. Obserwuję niskawego mężczyznę z uwydatnionym piwnym brzuszkiem, którego twarz wygląda, jakby przed chwilą zjadł coś kwaśnego bądź wylizał tyłek jednemu ze swoich przydupasów, co z pewnością nie należało do najprzyjemniejszych i najsmaczniejszych. Za nim kroczy trzech innych członków klubu. Żadnego nigdy wcześniej nie miałam okazji spotkać.

— Hej, laleczki! — rzuca Kwaśna Minka. — Nie zgubiłyście się przypadkiem?

— Nie wydaje mi się — odpowiadam. — Jakiś problem?

— W zasadzie jeden. To nasza część ulicy — wyjaśnia hardo, jakby naprawdę wierzył, że kawałek chodnika może być jego własnością. Uśmiecham się do niego z politowaniem. Kwaśna Minka próbuje być groźny, lecz kiepsko mu to wychodzi. Rozglądam się dookoła, by po chwili stwierdzić:

— Och, naprawdę? Nie miałyśmy pojęcia. Nigdzie nie zostało to napisane. — Szczerzę zęby w uśmiechu, co niespecjalnie podoba się moim rozmówcom. Kwaśna Minka zaciska pięści w geście gniewu i irytacji, a pozostała trójka naśladuje go.

— Maeve, daj spokój. Pogrążasz się — szepcze mi do ucha Melanie. Ignoruję jej słowa. Nie pozwolę, aby jakiś pieprzony degenerat, który zapewne przez rozmiar swojego brzucha nie widzi swoich klejnotów, chełpił się swoją władzą, której tak naprawdę nie posiada. Zbyt długo żyłam pod kloszem apodyktycznego brata, by teraz siedzieć cicho.

— Na twoim miejscu posłuchałbym koleżanki — stwierdza.

— A ja na twoim przestałabym się rządzić.

— Co powiedziałaś?

— Że masz zamknąć usteczka — mówię słodko, niemal flirtująco, co spotyka się ze spodziewaną reakcją mojego rozmówcy. Denerwuje się.

— Widzę, że koleżanka jest odważna — parska śmiechem, a po chwili zmniejsza dzielącą nas odległość. Kiedy znajduje się na tyle blisko, bym mogła dostrzec jego wągry na nosie, krzywię się.

— Coś ty jadł? Zgniłego śledzia ze spleśniałą cebulą?

Odór, jaki wydobywa się z jego ust, jest nie do opisania. W mgnieniu oka mój żołądek zaczyna się buntować, dając mi sygnał, że z chęcią pozbyłby się swojej zawartości.

— Stul pysk, dziwko! — Zaciska na moich ramionach swoje wielkie łapska. — Zadarłaś z niewłaściwymi ludźmi. Wkurzyłaś Wielkiego Mo!

— Zawsze przedstawiasz się w trzeciej osobie? — pytam lekceważąco.

— Mo! Zostaw ją — odzywa się zza jego pleców jeden z jego przydupasów.

— Nie! Ta wyszczekana szmata drwi z Wielkiego Mo!

Jego oddech obudziłby umarłaka. Mam już dość rozmowy z niedorozwiniętym kretynem, dlatego bez zastanowienia unoszę kolano, które z impetem styka się z jego krocem,

miażdżąc jego klejnoty. Sądząc po jego oddechu, one również śmierdzą, więc wyświadczam przysługę jakiejś dziewczynie, która oferuje usługi seksualne w ich klubie.

— Kurwa! Suka!

Wielki Mo pada na kolana, trzymając się za obolałe miejsce, a ja poprawiam swoją kurtkę, by następnie zadać kolejny cios. Tak jak uczył mnie Gabriel dziesięć lat temu, uderzam go w twarz czubkiem swojego szpiczastego kozaka.

— Zapamiętaj, mały Mo! — Nachyliam się nad nim. — Nie rządysz tutaj. — Następnie spoglądam na resztę rozbawionych facetów w czerni. — Zajmijcie się kolegą — pryham. — Bo chyba sam na motocykl nie wsiądzie.

— Właśnie podpisałaś na siebie wyrok, suko! — warczy Mo, aczkolwiek mało mnie obchodzą jego groźby, dlatego też wracam do Melanie, która odsunęła się ode mnie o dobre kilka metrów.

— Mae! Jesteś idiotką! — piszczy. — Jak mogłaś postąpić tak głupio? Ten facet mógł cię zabić! Miał broń przy sobie!

— Mel! Jak widzisz, to facet leży na ziemi, a nie ja. — Wzruszam ramionami. — Idziemy na tę kawę?

— Ten facet naprawdę się zemści.

— Nożyczki mu w jaja — odpowiadam lekceważąco, lecz prawda jednak jest taka, że nie zdecydowałabym się na taki krok, jeśli nie znałabym Gabriela. Jestem przekonana, że stanie w mojej obronie, kiedy Kwaśna Minka zapragnie się zemścić. Czy postąpiłam głupio, wdając się w dyskusję z degeneratami? Z całą pewnością tak, lecz chciałam sprawdzić, czy jestem na tyle silna, by przeciwstawić się komuś, kto bywa niebezpieczny.



## Para z nosa i delikatny dotyk

### Gabriel

*Od: Gabriel*

*Do: Maeve*

***Treść wiadomości: Masz ochotę na randkę dziś wieczorem?***

Nie widziałem Mae od trzech dni ze względu na interesy, które musiałem dopiąć do końca. Moja obecność przy finalizowaniu transakcji ze sprzedaży broni jest konieczna, ponieważ wolę mieć pewność, że nikt niczego nie spieprzy.

— Szefie! — woła za mną Kirk, kiedy przemierzam podjazd pod naszą siedzibą. — Mam sprawę!

— Ważną?

— Niecierpiącą zwłoki!

— Wszystkie twoje sprawy takie są — stwierdzam ironicznie, lecz zatrzymuję się, by go wysłuchać.

— Bo każda według mnie jest ważna.

— Dobra, dobra. O co chodzi?

— Od czego by tu zacząć...

- Mówiłeś, że masz jedną sprawę.
- Nigdzie nie podkreśliłem wyrażenia: „jedna sprawa”.
- „Mam sprawę”. To od razu sugeruje, że jest jedna.
- Dlaczego zawsze musisz czepiać się szczegółów?
- Bywam drobiazgowy — ucinam.

Zawsze zwracam uwagę na to, co ktoś do mnie mówi. Rola szefa dość sporawego klubu motocyklowego to odpowiedzialna funkcja. Jeśli stracę czujność bądź nie wyhaczę najważniejszych kwestii w słowach mojego rozmówcy, może się to dla mnie skończyć tragicznie. Może jeszcze kilka dni temu wizja mojej śmierci mnie nie przerażała, lecz w obecnej sytuacji boję się podwójnie. Chcę jeszcze kochać kobietę, która niedawno powróciła do mojego życia. Pragnę, aby była bezpieczna. Jeśli coś jej się stanie, rozszarpie każdego, kto do tego dopuścił, włączając w to samego siebie.

— Aż za bardzo — mamrocze. — W każdym razie słyszałem, jak ktoś mówił, bo ktoś inny mu powiedział...

— Kirk, do rzeczy!

— Peyton krzyczała z rozpacz, kiedy nie pojawiłeś się w kościele w dniu waszego ślubu.

— Jakiego znowu ślubu?

Zdecydowanie *PEYTON TO WARIATKA!*

— Przecież podobno byłeś jej narzeczoną, odkąd się tu sprowadziliśmy — nabija się, wskazując swój serdeczny palec. — Myślisz, że pasowałby mi taki wyimaginowany pierścienek zaręczynowy? Skoro Peyton jest fanką swojego...

— Kirk, przestań pieprzyć chore farmazony — burczę z niezadowoleniem. — Mam dość tej laski. Łazi wszędzie tam,

gdzie nie powinna, rozpowiada po mieście, że jestem szaleńczo w niej zakochany...

— Z tego, co mi wiadomo, to jesteś zakochany.

— Ale nie w niej, idioto.

— Drobny szczegół. — Wzrusza ramionami. — Faktem jednak jest to, że zakochany szef to bardzo drażliwy szef.

— Masz coś jeszcze mądrego do powiedzenia? Czy mogę iść sprawdzić, co u Amber?

— Nadal nie powiedziałaś jej prawdy?

— Nie i nie mam takiego zamiaru. Coś jeszcze?

— Śruba coś mówił o tym, że Mo miał bliskie spotkanie z Maeve. Podobno wrócił wkurwiony na bazę, bo został przez nią zlekceważony, a dobrze wiesz, że ten fiut jest nieobliczalny. Chciałem go podpytać, co tam się stało, ale tej grubej świni nigdzie nie ma.

— Dlaczego, kurwa, nie powiedziałaś mi tego od razu?! — wrzeszczę. Mój krwiobieg momentalnie zamienia się we wrzącą gniewem lawę. Pieprzony Kirk i jego bezsensowne pierdolenie o Chopinie!

— A... Czyli to była ta ważniejsza kwestia — kwituje.

— Nie no, ja pierdolę! Idiota!

Gdybym był bykiem na rodeo, z moich nozdrzy wydobywałyby się para. Wyjmuję swoją komórkę i prędko wybieram numer Mae. Przez dłuższy czas nie odbiera, a kiedy jej melodyjny głos wypowiada: „Hej”, rzucam gniewnie:

— Gdzie jesteś?

— Coś się stało?

— Mae, do cholery! Zadałem pytanie, gdzie jesteś?!

— W *Aroma Amore* z Melanie.

— Czeka tam na mnie!

— Ga...

Maeve

Gabriel się rozłącza. Spoglądam na ekran swojego telefonu z nadzieją, że zaraz zadzwoni, aby wyjaśnić mi, skąd wzięło się jego jawne zdenerwowanie. Poza tym, dlaczego mam tu na niego czekać? Kiedy jednak zauważam od niego wiadomość z zapytaniem o randkę, troszkę się uspokajam, choć moja intuicja podpowiada mi, że jego przybycie do *Aroma Amore* nie jest związane z randką.

— Wszystko w porządku? — pyta Melanie, wpatrując się we mnie wzrokiem pełnym troski. To miła reakcja z jej strony, lecz obawiam się, że odtrąci mnie, kiedy ujrzy Gabriela u mojego boku.

— Chyba tak — uśmiecham się. — Na czym skończyłyśmy?  
— Próbuję zmienić temat, aby przypadkiem nie chciała wymuszać na mnie wyjaśnień, a jestem kiepska w wyszukiwaniu kłamstw na poczekaniu.

— Mówiłyśmy o Kaydenie.

Mówiąc to, zerka w stronę baru, za którym stoi wspomniany chłopak.

— No tak...

Cała nasza konwersacja opiera się na wychwalaniu barmana, co jest męczące. Naprawdę rozumiem, że może komuś na kimś zależeć, lecz nie pojmuję uporu Melanie, aby mnie z nim zeswatać.

— Powinnaś do niego iść i zaprosić go na randkę — stwierdza hardo.

— Nie chcę.



— Dlaczego nie? Mam podać ci kilka kolejnych argumentów przemawiających za tym, że to naprawdę cudowny facet?

Przewracam oczami. Czy ja naprawdę muszę tu siedzieć i słuchać w kółko tego samego? Zaczynam myśleć, że ludzie z dala od wielkich aglomeracji są dziwaczni.

— Nie trzeba.

— Skąd bierze się u ciebie ten upór?

— Kocham kogoś zupełnie innego.

— To gdzie jest ten mężczyzna, co? Wylądowałaś na Alasce zupełnie sama, a nie wierzę w związki na odległość. Według mnie nie ma on racji bytu.

— Troszkę staroświeckie stwierdzenie. Statystycznie takie związki są trwalsze. Ludzie nauczeni rozłąki doceniają każdą chwilę, jaką mogą spędzić razem.

— Takie coś może powiedzieć tylko głupio zakochana dziewczucha bez perspektyw na życie. Maeve, nie wyglądasz mi na głupią, dlatego sądzę, że przyjdzie taki moment i postawisz na mężczyznę, który da ci stabilizację. — Wgapia się w Kaydena z uśmiechem. — A ten facet jest dla ciebie stworzony.

— Tyle że nie jest Gabrielem — rzucam bez zastanowienia. *Cholera, Mae! Zapamiętaj, aby zamknąć buzię na kłódkę, kiedy jesteś zdenerwowana i nie myślisz, co mówisz!*

— Ale jest Kaydenem. Skąd wiesz, czy nie jest taki sam jak twój tajemniczy Gabriel. Choć przyznam szczerze, że to imię jest paskudne. Kojarzy się z tym degeneratem, który gwałci dzieci i morduje niewiernych.

Hola! Hola! Co, proszę?

— O czym ty mówisz?

— A! Zapomniałam, że jeszcze pewnie nie znasz szefa tego faceta, który nas zaczepił na chodniku.

— Czyżby? — Unoszę brew.

Mam dość tej kobiety. Nie dość, że nieustannie próbuje mnie przekonać do tego, że Kayden jest facetem ze snów, to jeszcze wypowiada jakieś wysrane z palca plotki. Po pierwsze, dlaczego miałyby karać niewiernych? Jeśli chodzi o wiarę chrześcijańską, mam ochotę się roześmiać. Jeśli jednak Melanie ma na myśli karę, jaką wymierza się zdrajcom klubu, to nie będę w żaden sposób bronić Gabe'a. Kret to kret, a jego miejsce zawsze jest pod ziemią. To jedna z zasad każdego klubu i sędzę, że jest znana wszystkim ludziom. Nie uwierzę jednak w gwałty. Gabriel nigdy nie był kopia swojego ojca. Nie dopuściłby się czegoś takiego i mogę sobie za to głowę uciąć.

— Znasz go?

— Mówiłam, że kocham Gabriela, prawda?

— TEGO Gabriela? — Odsuwa się ode mnie, jakbym nagle zaczęła parzyć jak wystraszona meduza. — Jak możesz kochać kogoś, kto na to nie zasługuje?

— Dlaczego miałyby nie zasługiwać na miłość?

Wstaję raptownie z krzesła. Jestem zła... Nie! Jestem wściekła, ponieważ według Melanie ktoś, kto nie wie o życiu zgodnego z kodeksem prawnym, nie jest kimś wartościowym. Takich osób nie powinno się kochać! Nikt jednak nie próbuje poznać człowieka. Szufladkuje go, zanim zrozumie, dlaczego wybrał taką, a nie inną drogę. Szlag by to!

— Bo... Bo...

— Bo co?

— Bo jeśli naprawdę go kochasz, nie przychodź więcej do mojego biura. — Wstaje z krzesła, a jej mina wyraża odrazę.

— Chciałam dla ciebie dobrze, a ty sama skazujesz się na życie u boku degenerata, który zapewne nie potrafi nawet

dodać dwa do dwóch. Tacy ludzie to ameby umysłowe. Nie potrafili osiągnąć w życiu nic innego, więc wybrali kryminalną ścieżkę. Gratuluję wyboru. Z całą pewnością społeczeństwo Wasilli cię napiętnuje. Staniesz się dziwką Reeda, na którą każdy będzie spluwał.

*Hipokrytka!*

— Zapytałam, dlaczego nie zasługuje na miłość!

— Bo jeśli taki człowiek kocha i jest kochany, nie ponosi kary za swój wybór. Zły człowiek powinien cierpieć za swoje grzechy. Na świecie nie byłoby sprawiedliwości, gdyby taki bydlak miał kogoś, kto go kocha!

*Bezдушna hipokrytka!*

— Idąc tym tokiem myślenia, nikt nie powinien wyleczyć się z raka, ponieważ to niesprawiedliwe względem ludzi, którym nie udało wygrać się tej walki.

— To nie ma ze sobą nic wspólnego! — wypowiada głośniej, niż powinna, co zwraca uwagę wszystkich obecnych w *Aroma Amore*. Unoszę brew i parskam śmiechem. Według mnie ta rozmowa już dawno powinna się zakończyć, dlatego zasuwam za sobą krzesło i z cwaniackim uśmieszkiem ruszam w kierunku wyjścia. Poczekam na Gabriela na zewnątrz, gdzie nie będę czuć na sobie nienawistnych spojrzeń. Nim jednak docieram do drzwi, staje w nim degenerat, którego dziś rozwścieczyłam. *No pięknie, Mae. Już po tobie.*

Mo wygląda jak ktoś, kto szuka zemsty. Z jego oczu bije czysta nienawiść, a dłoń zaciśnięta na rewolwerze nie zwiastuje niczego dobrego.

*Czekaj tam na mnie...*

Jasny gwint! Gabriel dowiedział się o wszystkim i domyślił się, że grozi mi niebezpieczeństwo. Jak mogłam być tak głupia, aby na własne życzenie sprowadzić na siebie gniew

zgorzkniałego degenerata? *Zawsze zadajesz sobie to pytanie, kiedy coś zmalujesz, Mae. Nigdy nie myślisz, a twoja umiejętność pakowania się w kłopoty powinna zostać nagrodzona złotym pucharem.* Moja podświadomość ma rację — nie posiadam instynktu samozachowawczego.

— Ty! — warczy Mo i zmniejsza odległość, jaka nas dzieli. Cofam się kilka kroków, lecz dalszą ucieczkę uniemożliwia mi kontuar baru. Szlag! Szlag! Kurwa!

— Ja?

— Przestań ze mną pogrywać! — Celuje bronią prosto we mnie. Kątem oka zauważam, jak klienci *Aroma Amore* kulą się za stolikami. Żaden z nich nie ma odwagi, aby powalić Mo. Niczego innego nie można się po nich spodziewać. Są odważni, by zgnoić kobietę, która kocha szefa klubu motocyklowego, ale trzęsą się ze strachu, kiedy stanie przed nimi degenerat. To tak, jakby powiedzieć, że żaba nie boi się much, ponieważ szybko i bezboleśnie pozbawi je życia, lecz na widok bociana chowa się pod wodą. — Masz jakieś ostatnie życzenie?

— Chcę... — zacynam się. — Chcę rozmawiać z twoim szefem — dopowiadam z pewnością siebie.

— Co? — śmieje się. — Jesteś szurnięta! Ja cię zabiję bezboleśnie, a on z tobą jeszcze się zabawi, zanim zakończy twoje spierdalone życie. Zlekceważyłaś jego człowieka, a to zbrodnia...

— Chcę rozmawiać z twoim szefem! — powtarzam głośniej.

— Nie ma na to czasu. — Ładuje broń. — Nie zdążysz nawet się pomodlić. — Celuje prosto w moje czoło. Zamykam oczy, poddaję się.

*Żegnaj, Gabrielu...*

Rozlega się strzał...

Nic nie czuję...

Zero bólu...

Zero krwi...

Żyję!

Otwieram błyskawicznie oczy...

Reakcją na to, co widzę przed sobą, jest krzyk...



## **Moment, w którym kobieta staje się inną wersją samej siebie**

— GABRIEL! — krzyczę i padam tuż przy jego ciele.

Z jego brzucha sączy się krew, a on sam ma problemy z oddychaniem. O mój Boże! To nie może być prawda! Tkwię w jakimś koszmarze, z którego zaraz się wybudzę. *Mae, nie panikuj. Ratuj go!* Nie mam pojęcia, co mam robić. Ręce mi się trzęsą, a głowa w kółko wałkuje te same słowa: *To twoja wina, kretynko.* Dopiero co go odzyskałam. Nie mogę go ponownie stracić, tym razem na zawsze...

— Kurwa mać! To szef! — panikuje mój oprawca, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że właśnie oddał strzał prosto w brzuch swojego pracodawcy.

Spoglądam na niego. Nienawidzę gnoja z całego serca i gwarantuję, że mi za wszystko zapłaci. Teraz jednak nie mam czasu, aby skupiać na nim swoją uwagę. Klękam przy nieprzytomnym blondynie. Dopiero gdy czuję łzy na swoich policzkach, dociera do mnie, że płaczę. *Gabriel, proszę cię...*

— Gabe — łkam. Ściągam swoją marynarkę i przykładam ją do rany postrzałowej, aby zatamować krwawienie. Nie wiem, czy coś to pomoże, ale muszę coś zrobić. Nie mogę czekać beczynn timer, aż przestanie oddychać na zawsze. Wtedy z radością przyjmę kulkę od Mo. Wolę umrzeć, niż spędzić kolejne lata swojego życia bez Gabriela. — Niech ktoś zadzwoni po pogotowie! On umiera! — krzyczę, ale nikt nie rusza się z miejsca. Każdy wpatruje się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Jakby czekali, aż Gabe wyzionie ducha. Ich nadzieja jest namacalna.

— Niech zdycha! — Słyszę za sobą słowa Kaydena.

To właśnie ma być przykład dobrego, szlachetnego i ułożonego mężczyzny, którego tak zachwalała Melanie? Dla mnie to imitacja zakłamanego i bezdusznego prostaka. Tak jak jestem w stanie zrozumieć lęk mieszkańców tego miasteczka przed klubem motocyklowym, to nie potrafię pojąć, skąd bierze się ta nienawiść. Znam Gabe'a, wiem, jaki jest. Nigdy nie krzywdził nikogo, kto na to nie zasłużył, a jednak on sam musi umierać w otoczeniu ludzi, którzy modlą się o to, aby trafił prosto do piekła.

— Właśnie! — zgadzają się inni. — O jednego skurwiela mniej!

— Uratował mi życie! — wypowiadam płaczliwie, ale nikogo to nie obchodzi. W końcu jestem tylko nic niewartą dziwką Reeda, na którą każdy powinien spluwać swoją odrażającą flegmą. Nagle telefon w kieszeni Gabe'a rozdzwania się. Wyjmuję go jedną dłonią. Odbieram niemal od razu, widząc na wyświetlaczu słowo „Kirk”.

— Stary! — wita się roześmiany Kirk. — Jak tam sprawy się mają? Mała Mae rzuciła się w twoje ramiona, kiedy uratowałeś ją przed gniewem Mo?

— Kirk — łkam. — Kirk...

— Mała? — W jego ton wkrada się nutka czujności. — Co się dzieje? Dlaczego płaczesz? Dlaczego ty odbierasz telefon Gabriela?

— Bo... Bo... Postrzał i... i...

— Ja pierdolę! Gdzie jesteś? Co z Gabrielem? Żyje?

— *Aroma Amore*. Gabe jest nieprzytomny. Krwawi. Mocno!

— Będę za chwilę! — rozłącza się, a we mnie wstępuje cień nadziei, że zdąży pojawić się na czas, by uratować Gabe'a. *Kirk, bądź jego aniołem stróżem! Proszę!*

— Zostaw go, Mae! — Kayden łapie mnie za ramiona, próbując mnie podnieść.

— Odwal się ode mnie! — warczę nienawistnie. Chuderławy chłopak odsuwa się ode mnie, lecz staje nad nieprzytomnym blondynem z kpiącym uśmiechem.

— Ten człowiek ma to, na co zasłużył — prycha. — Nie powinnaś go ratować. Chcesz skazać się na nienawiść nas wszystkich? Przemyśl to. Nas jest więcej niż ludzi z tego zasranego klubiku.

— Nie macie nawet honoru. Jesteście tchórzami, którzy potrafią tylko gnoić słabszych. Każdy z was ma serce okute lodem, więc podziękuję. Wolę być wyrzutkiem społeczeństwa, niż przebywać z ludźmi zepsutymi do szpiku kości.

— To my jesteśmy ci źli? — pyta z niedowierzaniem Melanie. — Zabawne. Właśnie plamisz swoje dłonie krwią człowieka, który zasługuje na śmierć!

— Co on wam takiego zrobił? — pytam. Następuje cisza. Każdy spogląda po sobie, lecz nikt niczego nie wyjaśnia. Parskam śmiechem. — Tak właśnie myślałam. Nic oprócz tego, że tu mieszka i prowadzi klub.

— Szefie!



Wreszcie zjawia się Kirk z kilkoma ludźmi z klubu. Przepychają się pomiędzy gapiami, co nie jest trudne, ponieważ każdy schodzi im z drogi.

— Nie wygląda to dobrze. Śruba! Rudy! Bierzcie go! — Podnoszą swojego szefa z zakrwawionej podłogi bez zastanowienia. Pracują ze sobą zsynchronizowani, a na ich twarzach gości zmartwienie. *Brat za bratem stanie w obronie. Rodzina zawsze pozostanie rodziną.* — Musimy go szybko przetransportować do szpitala.

Żaden z osiłków nie zwleka. Wynoszą nieprzytomnego Gabriela, a ja klęczę nad plamą jego krwi. Powinnam się ruszyć z miejsca. Biec za degeneratami. Jechać z nimi do szpitala, lecz moje ciało nie reaguje na komendy. Jestem odrętwiała. Kiedy zabrano ode mnie jego ciało, czuję pustkę, która głośno krzyczy: „Możesz go stracić!”. To ja sprowadziłam na niego tę kulkę. Gdyby nie moja głupota, zapewne spędzalibyśmy ten wieczór razem, oglądając film na Netflixie. Cholera jasna! Na własne życzenie mogę stracić jedyne go mężczyznę, za którego oddałabym swoje życie.

— Kto to zrobił? — Podniesiony głos Kirka przebija się do mojej świadomości.

— Członek klubu — mówię szeptem. Ciemnowłosy jakby spodziewał się tej odpowiedzi, ponieważ uderza pięścią o drewniany filar, warcząc:

— Jebany Mo! Nieobliczalny psychopata! — Zaciska pięści, a następnie rozgląda się dookoła. — A wy co? Bawi was to? Dziewczyna mogła zginąć! — Wskazuje na mnie. — Nikt prócz Reeda nawet nie kiwnął palcem, aby jej pomóc. Każdy tu dba o własny zaśmierdziały tyłek, a gdy ktoś ruszył na ratunek, przyjmując cholerną kulkę na siebie, modlicie się do jakiegoś swojego guru, aby ten człowiek zdechł — rzuca opryskliwie, trafnie oceniając sytuację. Nie

musiałam nawet opowiadać, co się wydarzyło po postrzale, by Kirk wiedział, jaka była reakcja wszystkich pozostałych.

— Zabierz mnie do niego! — Przerywam jego wybuch, unosząc się z klęczek. Nie chcę dłużej przebywać w towarzystwie ludzi, którzy za moment zaczną mi dokopywać. — Kirk, zostaw tych ludzi i zawieź mnie do szpitala, proszę.

— Prosisz tego człowieka? — dziwi się Melanie. — To brzmi tak, jakbyś chciała przed nimi rozłożyć nogi — dodaje oskarżycielsko.

— Maeve — wtrąca Kay. — To są przestępcy. Nie wchodź w ten świat! — błaga, całkowicie zmieniając ton swojego głosu. Jeszcze chwilę temu był pewny swego, jasno wyrażając swoje zdanie na temat Gabriela, a teraz ma czelność mnie o coś błagać? Żalotne...

— To diabeł! — wtrąca ktoś inny.

Piorunuję go wzrokiem i momentalnie podejmuję decyzję. Skoro wszyscy tak bardzo boją się każdego degenerata z osobna, to ja stanę się pierwszą kobietą, która będzie budzić w nich strach.

— Skoro on jest diabłem — wypowiadam powoli i z naciskiem podkreślam każde słowo — to ja jestem jego rówieśniczką.



## Czy te oczy mogą kłamać?

*Dziesięć lat wcześniej*

Kiedy Maeve zaczyna się denerwować, na jej policzkach zawsze pojawiają się dwa podobne rumieńce. Jej serce zaczyna szybciej bić, a dłonie pocić. Kiedy obserwuje Gabriela podciągającego się na drążku na ogólnodostępnej siłowni w parku przy placu zabaw, w głowie ma same zbereżne myśli. *Chciałabym dotknąć tych mięśni. Posmakować każdego skrawka jego skóry. Wpaść w wir namiętności. Pragnę, aby ten mężczyzna posiadał mnie jako pierwszy. Chcę, aby to on skradł mój pierwszy pocałunek.*

Gabriel doskonale widzi jej spojrzenie — namiętne, pożądlive i nieśmiałe. Odkąd ją poznał (a było to miesiąc temu), każdej nocy zasypia z myślą o niej. Bolesny wzwód daje o sobie znać każdego ranka, kiedy wybudza się ze snu pełnego erotyzmu. Kiedy dostrzega w jej oczach to, co sam czuje, ma ochotę zaprzestać ćwiczeń, by chwycić ją w swoje ramiona i mocno wpić się w jej ponętne usteczka. Pragnie jej każdą komórką swojego ciała. Nie spodziewał się, że istnieje tak elektryzujące odczucie. Coś niewidocznego i nienamacalnego przyciąga ich ku sobie. Bajeczki o amorze ze swoimi strzałami nabrały dla niego znaczenia. Kiedy jego matka pragnęła, aby znalazł kobietę, do której uczucie będzie żarliwe i

szczere, niemal ją wyśmiał. Nie wierzył w takie zabobony aż do teraz...

Góra. Dół. Mięśnie Gabriela z każdym takim ruchem się uwydatniają. Mae czuje, jakby ktoś zamknął ją w pomieszczeniu, które nie jest klimatyzowane i przyciąga promienie słoneczne. Jest jej gorąco, mimo że wieje dość chłodny wiatr, który mierzwi jej ciemnawe włosy. Nigdy nie czuła niczego podobnego. Nigdy żaden potencjalny chłopak nie wykazywał nią zainteresowania, a teraz, gdy dostrzega intensywne spojrzenie blondyna, reakcje jej ciała ją zaskakują. Nie potrafi zignorować wrażliwych piersi, dreszczy przechodzących po plecach, kiedy Gabriel muśnie chociażby jej palec, suchości w ustach, gdy go obserwuje, i szalejących hormonów, błagających o pocałunek, dotyk i wszystko, co przyjemne i erotyczne. Chociaż gdzieś głęboko w jej umyśle zakorzeniła się myśl, że nie jest dla niego odpowiednia. Nie jest tak piękna jak jej koleżanki z liceum ani tak inteligentna jak jej brat. Jest przeciętna, a jedyne, co ją wyróżnia wśród wszystkich ludzi, to jej umiejętność szybkiego pakowania się w kłopoty. Jest lekkomyślna i impulsywna, a według jej ojca, Roberta Whittakera, są to cechy, których mężczyźni nie lubią. Zwłaszcza ci z tego świata.

*Nie możesz tego zrobić, dupku!*, karcni się Gabriel w myślach. Obserwuje Mae i pragnie tylko jednego — pocałować ją żarliwie. Chce poczuć jej drobne i miękkie ciało przy swoim. Oczami wyobraźni widzi swoje dłonie badające każdą krzywiznę jej ciała. Jego męskość wskazuje na kobietę, którą chce poczuć. *Cholera jasna! Przepadłem!* Blondyn bije się z myślami, czy powinien dać upust swoim pragnieniom. Jeśli to zrobi, a ona go odrzuci, nie podniesie się z tego, lecz czy jej spojrzenie, pełne erotycznego napięcia, może wysyłać złe sygnały? Czy te oczy mogą wpędzać go w błąd? *Nie mogę jej teraz pocałować. Nie mogę! Chcę! Cholernie chcę, ale muszę się powstrzymać. Kiedy zdobędę pewność, że*

*Maeve pragnie tego samego, co ja, dam jej wszystko. Dam NAM wszystko.*



## Rodzina

Kiedy wbiegam do jedyne go szpitala w tym mieście, który nie jest większy niż przydrożny bar Kirka, od razu dostrzegam grupę mężczyzn. Nie trzeba ich znać, by wiedzieć, że to degeneraci, czekający na wieści o swoim szefie. Stoją przed salą operacyjną w milczeniu. Pielęgniarki czmychają obok nich szybko, by być jak najmniej zauważalnymi.

— Śruba! — woła z za moich pleców Kirk. Jedno słowo wystarcza, aby każdy z członków klubu motocyklowego zwrócił na nas uwagę. Jedni przyglądają się mojej twarzy z zainteresowaniem, a inni z pogardą. W końcu to przeze mnie ich boss walczy o życie na stole operacyjnym. — Wiadomo coś?

Mężczyzna o jasnych kręconych włosach wyłania się z tłumu z miną zbitego psa.

— Podobno nie jest dobrze — mamrocze pod nosem. — Ale jest pod okiem najlepszej lekarki.

— Nie ufam jej — rzuca ktoś z za pleców Śruby. — Co, jeśli z premedytacją zatrzyma jego akcję serca?

— Lekarz za wszelką cenę ma chronić życie ludzkie — mówię niemal szeptem.

— W jakim ty świecie żyjesz? — parska śmiechem ten sam mężczyzna, wychodząc mi naprzeciw. Jego postura przypomina gladiatora, walczącego na arenie z dzikimi zwierzętami. Jest wysoki, barczysty i napakowany do granic możliwości. Za nic świecie nie chciałabym zostać przez niego przygnieciona. — Tutaj nikt nas nie lubi. Każdy życzy nam śmierci. Nawet lekarze.

— Nie można wątpić w każdą osobę w tym mieście — stwierdzam bez przekonania, a raczej próbuję zapewnić sama siebie, że lekarka, która zajmuje się Gabrielem, jest kompetentna i nie żywi żadnej urazy do degeneratów.

— Mieszkasz tu za krótko, by to zrozumieć — kwituje Gladiator.

— Przestań ją dobijać, idioto — wtrąca Kirk z gniewem.

— Kim ona w ogóle jest?

— Ty tak na serio, Jasper? Nie wiesz, kim jest Mae?

— Niech mnie piorun jebnie — burczy. — Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie co najmniej od tygodnia.

— Wystarczyło przeczytać brukowiec Jeffersona — mamrocze Kirk.

— Kogo? — pytam, marszcząc przy tym brwi.

— Jefferson to lokalny dziennikarz, który wtyka nos w nie swoje sprawy. Pisze do lokalnej gazety i prowadzi bloga tematycznego o tym mieście. Tak się składa, że degeneraci są na topie w jego wywodach.

— Nie miałam pojęcia, że jest tutaj ktoś taki.

— Może to i lepiej — podsumowuje Jasper.

— Zdecydowanie to lepiej! — potwierdza głośniejszym głosem Kirk. Ton jego głosu jasno daje mi do zrozumienia, że nie powinnam grzebać w blogu Jeffersona. *I tak to zrobisz, kochaniutka. Nie staraj się nawet oszukiwać, że tam nie zagłędiesz.*

— Wy tak serio? — burczy Śruba. — Macie zamiar gadać na temat tego tchórzliwego, wścibskiego durnia akurat w momencie, kiedy nasz szef walczy o życie?

— Myślisz, że modlitwa pomoże? — parska śmiechem Kirk.  
— Stary, lepiej rozmawiać, niż siedzieć w milczeniu i czekać na wieści od lekarzy. W ciszy można zwariować, zwłaszcza kiedy ktoś dla nas ważny walczy o życie na stole operacyjnym. Poza tym wołałabym, aby Mae nie zadreślała się myślami, że to, co się stało, to jej wina.

— Ale to jest moja wina! — spieram się. — Gdybym nie wkurzyła Mo, nikt by nie ucierpiał!

— Myślisz, że gdybyś się nie postawiła, Mo dałby ci spokój?  
— pyta z niedowierzaniem Jasper. Spoglądam na niego z nieukrywaną ciekawością.

— To przecież oczywiste. Dałam mu powód, aby szukał zemsty...

— Mo to chory sukinsyn — odpowiada Jasper. — Już dawno chcieliśmy go usunąć z klubu, ale ciężko usunąć kogoś, kto od zawsze należy do rodziny.

— Ja mówiłem, aby sukinkota zakatować na śmierć — burczy Kirk.

— To nie byłoby moralne — odpowiada mu Śruba. — Brat to *brat*.

— Racja — kwituje Kirk. — Ale dziś już wiemy, że on nie ma pojęcia, czym jest moralność. Postrzelił Gabriela, a to czyni go wrogiem naszego klubu.

— Zabijemy go? — pyta entuzjastycznie Jasper.

— Cholera, idioto! Tu jest dama! — Kirk wskazuje na mnie i karci Jaspiera wzorkiem. Wygląda przy tym jak surowy ojciec, który chce ukarać swoje rozbrajające dziecko, ale



nie może nic zrobić, ponieważ wokół są zupełnie obcy ludzie.

— Do tej pory nie wiem, kim ona jest — broni się Jasper.

— Panowie! Maeve jest kobietą naszego szefa! — mówi Kirk donośnym głosem. W jego tonie wybrzmiewa autorytet. Kiedy jego słowa docierają do każdego członka degeneratów z osobna, wszyscy wbijają we mnie swoje spojrzenie. Kilkanaście par oczu wywierca mi dziurę w twarzy. Po kilku długich sekundach przytakują, patrząc na Kirka, czego kompletnie nie potrafię zinterpretować.

— Co się właśnie stało? — pytam z nutką niepewności.

— Będąc kobietą Gabriela, stajesz się częścią naszej rodziny. Chłopcy dali znak, że zrozumieli, i wiedzą, że muszą cię chronić za wszelką cenę.

— To może być trudne. Wiecznie pakuję się w kłopoty.

— W takim razie nie będziemy się nudzić. — Ogromna łapa Kirka dotyka moich ramion. — Masz moje słowo. Zapewnimy ci bezpieczeństwo.

— Dziękuję, Kirk — uśmiecham się do niego pokrzepiająco.

— Nie wiem, jak wam się odwdzięczę.

— Nie złam serca Gabrielowi — prosi Jasper.

— Nigdy — zapewniam. Nie mogłabym złamać serca komuś, kogo kocham całą sobą. Chcę dla niego wszystkiego, co najlepsze.

*Dam mu wszystko, czego zapragnie, jeśli nie podda się śmierci. Gabby, proszę. Walcz. Dla siebie. Dla nas. Dla naszego wspólnego życia.*



## **Pączki z nadzieniem waniliowym**

Operacja Gabriela trwa już trzecią godzinę. Z każdą kolejną minutą odczuwam coraz większy strach. Otępienie już dawno wypełniło moje ciało. Kirk miał rację, mówiąc, że w ciszy człowiek może zwariować od niepokoju, lęku i poczucia winy. Gdybym tylko nie dała się namówić Melanie na kawę, nie miałabym styczności z Mo, a to oznacza, że zapewne w tym momencie spędzałabym czas na randce z Gabrielem. Rzeczywistość jest jednak inna. Czekam na wieści o jego stanie, lecz nikt nie wyłania się z za drzwi bloku operacyjnego.

— To prawda?! — Głośny kobiecy krzyk przykuwa moją uwagę. Odrywam spojrzenie od plakatu przedstawiającego skutki długotrwałego palenia papierosów i spoglądam prosto na Peyton, która szybkim krokiem przemierza korytarz. W prawej dłoni kurczowo ściska czarną różę, a po jej policzkach spływają łzy.

— Kurwa — rzuca zjadliwie Kirk, który jako jedyny z degeneratów pozostał w szpitalnej poczekalni. Reszta członków klubu musiała wrócić do swoich obowiązków. Aby

klub dobrze prosperował, nie można pozwolić sobie na bezczynność. — Mam ochotę ją zająć.

— To prawda?! — powtarza głośniej, a jej głos odbija się od ścian szpitala.

— O czym ty mówisz? — pytam, udając głupią, choć doskonale zdaję sobie sprawę, że pyta o postrzelenie Gabriela. Rudowłosa kobieta wygląda na rozhisteryzowaną i gotową na wszystko, aby uratować życie „swojego ukochanego”. Rozumiem chęć oddania wszystkiego, by zapewnić Gabrielowi życie, lecz na tym etapie obie jesteśmy bezsilne. Tylko lekarze i silna wola walki Gabe’a pozwolą na jego powrót do zdrowia.

— Co ty tu robisz? — pyta opryskliwie, kiedy mnie dostrzega. — Czego tu szukasz?

— O to samo mogłabym zapytać ciebie.

— Nie masz prawa zadawać mi żadnych pytań!

— Dlaczego?

— Mówiłam, że nie masz prawa zadawać mi pytań! Jestem kobietą Gabriela Reeda, więc nie powinnaś się do mnie odzywać bez jego zgody!

— Ja pierdolę — mamrocze Kirk i zrezygnowany siada na plastikowym krześle. Chowa twarz w dłonie, jakby chciał uchronić się przed konfrontacją z Peyton. *No pięknie. Zostałaś sama w walce z piranią, której dziwnym talizmanem jest czarny kwiat.*

— Nie jesteś jego kobietą — mówię powoli, aby każde słowo do niej dotarło. Jej chora fantazja nie powinna w ogóle dochodzić do głosu. Gabriel należy do mnie od dziesięciu lat. Może to brzmi tak, jakbym go sobie przywłaszczyła, ale rzeczywiście czuję, że tak jest. Gabriel zaklepał mnie, a ja jego. Jesteśmy dla siebie stworzeni, a obecność Peyton z całą pewnością nam nie pomoże w stworzeniu szczęśliwego

związku. Tam, gdzie osoby trzecie wściubiają swój nos, zawsze pojawiają się nieporozumienia, komplikacje i kłótnie.

— Jestem! Każdy to wie!

— Każdy oprócz Gabriela?

— Jak możesz podważać mój autorytet? — Stroszy się jak paw, a jej nozdrza się rozszerzają. W jej oczach pojawia się furia. Robię krok w tył dla własnego bezpieczeństwa, choć nie miałabym oporów, aby wyrwać jej wszystkie włosy.

— Żeby go podważyć, trzeba go jeszcze posiadać. Wybacz, kochanie, ale nie jesteś kobietą Gabriela. To mnie wybrał dziesięć lat temu. Zrobił to ponownie, kiedy pojawiłam się w tym mieście.

— Wiedziałam, że będą z tobą problemy! — warczy. — Nie masz prawa panoszyć się przy degeneratach, ponieważ do nich nie należysz!

— Właśnie ci powiedziałam, że jestem kobietą Gabriela!

— Nie jesteś!

— Jestem.

— To ja zostanę jego żoną!

Spoglądam na Kirka z nadzieją, że pomoże mi w tym starciu, lecz jego wcześniejsza pozycja nie uległa zmianie. Wciąż zakrywa twarz swoimi dłońmi, udając, że jest niewidzialny.

— On o tym wie?

— Oczywiście, że tak!

— Kiedy ci się oświadczył?

— Dawno temu...

— Czyli?

— Dawno temu...

— Za górami, za lasami, w odległej krainie? — dopytuje sarkastycznie, przewracając oczami. — Skończ pieprzyć te wysrane z palca głupoty. Gabriel nigdy nie był twój i nigdy nie będzie. Wbij sobie do swojej główki, że ubzdurałaś sobie uczucia do niego. On. Cię. Nie. Kocha. Ty. Jego. Nie. Kochasz. Nie. Ma. Was.

— Jediną osobą, która zmyśla, jesteś ty. — Idzie w zaparte, jakby naprawdę wierzyła w swoje słowa, uczucia i wyimaginowany świat.

— Niech tak będzie — kapituluję. — Wybór należy do niego. — Siadam na krześle i krzyżuję ręce na piersi. Surowe spojrzenie nieprzerwanie kieruję na Peyton. Nie pozwolę, aby ta śmieszna dziewczucha wyprowadziła mnie całkowicie z równowagi. Jestem na tyle pewna swego, aby wiedzieć, kogo wybierze Gabriel. Nie potrzebuję nikogo o tym przekonywać. Znam prawdę.

### *Dziesięć lat wcześniej*

Maeve właśnie piecze pączki z nadzieniem waniliowym. Wie, że to ulubiony deser Gabriela, który zawsze poprawia mu humor. Tak się składa, że dziś blondyn jest zdenerwowany przez swojego ojca. Nastolatek nie chciał powiedzieć ciemnowłosej, do czego został zmuszony, lecz nie musiał nic mówić. Doskonale wiedziała. Kiedy męski członek klubu motocyklowego kończy osiemnaście lat, musi przejść inicjację. Nie jest nią osiemnaście uderzeń skórzanym pasem ani też spicie alkoholowe do nieprzytomności. W tym świecie trzeba kogoś pozbawić życia, by udowodnić, że ma się pozycję w tym środowisku. Maeve zdaje sobie sprawę, że to doświadczenie odcisnęło piętno na dobrej duszy Gabriela, dlatego chce przy nim być. Pozostawienie go samego z myślami byłoby błędem. Po półtora miesiąca ich znajomości dziewczyna już wie, że naprawdę go lubi, dlatego czuje się zobowiązana do tego, aby go wspierać.

Gabriel wpatruje się nieobecny wzrokiem w zachmurzone niebo. Nie chce zamykać oczu, ponieważ za każdym razem bardzo wyraźnie dostrzega twarz człowieka, którego musiał dziś zamordować. Jego śmierć nie była wcale szybka i bezbolesna. Javier Black chciał sprawdzić, czy jego własny syn zasługuje na jego szacunek. Jak się okazało, zasłużył sobie, lecz koszt, jaki musi ponieść, nie jest tego wart. Gabriel szczerze nienawidzi swojego ojca. Chciałby, aby ten zdechł w takich samych męczarniach, jakie musiał zgotować swojej pierwszej ofierze. *Jak mam spojrzeć w swoje odbicie w lustrze?*, pomyślał. Nie jest dumny ze swoich czynów, lecz nie miał innego wyboru. Jeśli sprzeciwiłby się woli swojego ojca, sam utraciłby życie. Javier Black wolałby pozbyć się własnego syna, niż żyć z przekonaniem, że wychował mięczaka i nic niewartego półgłówka.

— Jak długo tak tu leżysz?

Na dźwięk głosu Maeve Gabe się spina. Nie chce, aby widziała go w tym stanie. Boi się, że przestanie postrzegać go jako dobrego człowieka, kiedy dowie się prawdy o tym, co zrobił.

— Jakiś czas — duka, uparcie wbijając spojrzenie w płynące chmury.

— Mam coś dla ciebie — mówi melodyjnie. Nastolatka przysiada tuż obok blondyna. Od razu dostrzega, że jest spięty. *Och, Gabby. Ja wiem. Nie musisz się mnie obawiać.* — Upiekłam je specjalnie dla ciebie.

Ciemnowłosa podsuwa pod jego nos jeszcze ciepłe pączki. To sprawia, że Gabriel odrywa spojrzenie od chmur, by zerknąć na słodkości.

— Pączki? — pyta z niedowierzaniem.

— Z nadzieniem waniliowym — dopowiada dumnie nastolatka.

— Zrobiłaś je dla mnie?

Zmienia pozycję z leżącej na siedzącą. Zabiera od niej tackę z pączkami.

— Tak.

— Dlaczego?

*To najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił od czasu śmierci mojej matki, pomyślał. Wpatruje się w eteryczne rysy twarzy Mae z nieukrywaną fascynacją.*

— Pomyślałam, że poprawię ci humor. Chciałam ci sprawić przyjemność.

Dziewczyna delikatnie dotyka jego policzka. Przez ich ciała przechodzi prąd elektryczny, którego żadne z nich nie potrafi zignorować. Są jak ogień i woda. Między nimi płonie ogień, którego nie da się ugasić. W ich umysłach fale delikatnie odbijają się od myśli, zagłuszając chaos w głowach, który pojawia się w momentach, gdy spędzają czas oddzielnie. To decydująca chwila. Każde z nich ma jedno pragnienie — ich pierwszy pocałunek. Gabriel powoli przysuwa się bliżej Mae, która denerwuje się dwa razy bardziej niż nastolatek. Ona jeszcze nigdy się tak naprawdę nie całowała. Chce, aby uczynił to Gabe, lecz obawia się, że jej niedoświadczenie w tej materii zniechęci chłopaka.

Ich usta złączają się. Są bezwładne. To tak naprawdę dotyk ust z ustami. Ich ciała zamierają. W żyłach dudni rozżarzona krew. W sercu rozkwita najprawdziwsza miłość.



## Prywatny anioł

Kiedy mija czwarta godzina operacji, a do nas nie docierają żadne wieści z sali operacyjnej, moja cierpliwość zostaje wystawiona na próbę. Mam ochotę wbiec na blok operacyjny, aby na własne oczy ujrzeć, że Gabriel wciąż jest wśród żywych. Najchętniej zaczęłabym krzyczeć, aby przywołać do siebie kogoś, kto wie cokolwiek. Ile może trwać taka operacja? A co, jeśli w tym czasie lekarze pozwalają mu się wykrwawiać? Jaką mam pewność, że tutejsi specjaliści kierują się przysięgą Hipokratesa, która jasno mówi o tym, że lekarz bez względu na okoliczności musi nieść pomoc poszkodowanym?

— Maeve, usiądź — mówi ostro Kirk. — Chodzisz w kółko. To trochę rozprasza.

— W czym cię to rozprasza? — Przystaję, by na niego spojrzeć. Ciemnowłosa unosi wzrok znad swojej komórki.

— W czytaniu dość interesującego artykułu naszego kochanego, lokalnego dziennikarza, który zdecydowanie lepiej nadawałby się na komika niż przenikliwego blogera.

— Mogę zerknąć?

Wyciągam dłoń w jego stronę, a Kirk podaje mi swój telefon. Zerkam na wyświetlacz, a następnie przesuwam



artykuł na sam początek.

## **KLUB DEGENERATÓW TERRORYZUJE MIASTO!**

Wczoraj w kawiarni *Aroma Amore* doszło do ataku członków klubu na uczciwych obywateli naszego pięknego, górskiego miasteczka. Jak donoszą źródła, jeden z klubowiczów (prawdopodobnie nazywa się Wielki Mo) zaatakował nową mieszkankę. Dziewczyna pojawiła się w mieście zaledwie tydzień temu, a już została ofiarą klubu.

Całe zdarzenie zechciał mi opowiedzieć pracownik kawiarni, Kayden Wilson. [Przebieg naszej rozmowy na następnej stronie...](#)

Brednie! Wcale nie jestem ofiarą degeneratów. Stałam się celem Wielkiego Mo, lecz klub mi nie zagraża. To Gabriel ucierpiał. Nie ja! Nikt mnie nie terroryzuje, do jasnej cholery! Dlaczego w tym mieście wszystko, co się opowiada, jest wyssane z palca? Przesuwam na następną stronę, zaintrygowana tym, co miał do powiedzenia „supersamiec tego miasta”, Kayden.

— **Dziękuję Kaydenie, że zechciałeś udzielić mi wywiadu.**

— To żaden problem, panie Jafferson. Każdy powinien dowiedzieć się o dzisiejszych wydarzeniach. Przyznam szczerze, że do tej pory jestem wstrząśnięty całym zajściem. Niewinna kobieta stała się celem tych bandytów.

— **Znałeś ofiarę?**

— Oczywiście. To Maeve. Poznałem ją jakiś czas temu. Przeprowadziła się tutaj z Teksasu, aby zacząć nowe życie, ale niestety klub degeneratów dopadł ją, zanim zdołała rozwinąć tu skrzydła. To naprawdę miła dziewczyna. Trochę pogubiona, dlatego zapewne wpadła w łapska Reeda, lecz zapewniam, że nikomu nigdy nie zrobiła krzywdy. Jest towarzyska i uczynna.

— **Byliście blisko?**

— Tak. Z dnia na dzień zbliżaliśmy się do siebie.

*Co ty pieprzysz, Wilson? Zbliżaliśmy się do siebie? Pogrzało cię? Nie tknęłabym cię za nic świecie, ty parszywy, zakłamany gnojku!*

— **Czy Maeve miała wcześniej kontakt z kimś z degeneratów?**

— Nie. Zawsze unikała kłopotów. Jest bardzo mądrą i rozważną kobietą. Nigdy nie wspomniała, że widziała kogoś z nich ani szczególnie o nich nie pytała. Poza tym raz, kiedy Reed wszedł do *Aroma Amore*, Maeve schowała się za barem, aby ten jej nie przyuważył. Wolała nie rzucać się w oczy. Jak widać, dopadli ją pomimo jej ostrożności.

— **Więc dlaczego została zaatakowana?**

— Nie mam pojęcia. Było ich dwóch. Ten, który wymierzał do niej z broni, nazywał się Wielki Mo, ale to sam Gabriel Reed trzymał ją, aby nigdzie nie uciekła. To było pewne! Chcieli jej śmierci.

Co proszę? Czy on jest ślepy? Gabriel mnie URATOWAŁ! Zasłonił własnym ciałem, aby pocisk mnie nie trafił. Teraz z tego powodu jest operowany czwartą godzinę, a mimo to jest tym złym? Ja pierdolę! Zamorduję gnoja własnymi rękoma!

— **Dlaczego?**

— Nie od dziś wiadomo, że degeneraci nie lubią gości.

— **No dobrze. Więc co się wydarzyło potem?**

— Odepchnąłem ją od Gabriela, a w tym samym czasie Wielki Mo wystrzelił. Ostatecznie postrzelony został ten bydlak. Zapanowała euforia wśród klientów kawiarni, ponieważ wszyscy tylko czekaliśmy, aż ten su\*\*\*syn zginie.

— **Uratowałeś życie Maeve, prawda?**

— Tak. Jestem jej bohaterem!

Pieprzony bajkopisarz. Pożałuje każdego wypowiedzianego słowa!

— **W takim razie dlaczego nie zdołałeś jej obronić, gdy wiceprezydent klubu siłą wsadził ją do samochodu?**

— To działo się tak szybko. Śmierć Gabriela rozproszyła moją uwagę, dlatego Mae została bez problemu porwana. Zapłacą za to, że wyrządzają jej krzywdę! Nikomu nic nie zrobiła! Ona ma prawo żyć!

Porwana? Przecież prosiłam Kirka, aby mnie zabrał do szpitala. Jasno wyraziłam swoje stanowisko, zanim wyszłam z tej pieprzonej kawiarni — stałam się rówieśniczką samego diabła!

— **Dziękuję za wywiad, Kaydenie.**

— Ja również. Mam nadzieję, że szeryf zdoła uratować moją kobietę.

— To ma być zabawne? — pytam poirytowana i oddaję komórkę Kirkowi.

— To realia tego miejsca. Plotka goni plotkę. Jefferson wszystko spisuje, a ludzie łykają każdą informację.

— Jawna manipulacja.

— W takim miejscu lepiej trzymać ludzi w ryzach. Tak twierdzi sam burmistrz, dlatego degeneraci to bandyci, a pozostała część mieszkańców powinna się ich bać.

— Popieprzone miejsce.

— Urok małych społeczności.

— Można jakoś uciszyć Jeffersona?

— A bo ja wiem... Nie próbowaliśmy.

— Dlaczego?

— Zadajesz bardzo dużo wnikliwych pytań. Zupełnie jak Gabriel. A po co? A na co? Dlaczego to? Dlaczego tamto? Męczące...

— Wiedza daje władzę.

— Pewnie właśnie dlatego Gabriel za tobą szaleje. Piękna, mądra, wnikliwa. Zakładam, że sama chcesz coś zdziałać w sprawie tego artykułu.

— A mogę?

— Nie będę cię powstrzymywał. Załatwię z Jasperem, aby ci towarzyszył. — Wstaje z krzesła. — Chcesz jakąś kawę? Idę do automatu.

— Nie, dzięki.

— Wyglądasz jak przemęczone, przemielone gówienko, które zdecydowanie potrzebuje kofeiny.

Przypatruje się mojej twarzy tak, jakby wyczytywał z niej odczucia, jakie mi towarzyszą. Zdecydowanie jestem zmęczona, ale wątpię, by kawa zdołała mnie pobudzić. Już dawno przestałam reagować na kofeinę.

— Naprawdę nie trzeba — spieram się z uporem.

— Uparte babsko — kwituje pod nosem, odchodząc w stronę szpitalnej kawiarni.

Kiedy zostaję całkiem sama na korytarzu, opieram głowę o ścianę i zamykam oczy. *Ojciec nasz, któryś jest w niebie, proszę, nie odbieraj mi Gabriela.* Teraz pozostaje mi jedynie wiara w lekarzy, lecz nie potrafię wyzbyć się strachu przed słowami: „Przykro mi, ale nie udało nam się go uratować. Pacjent zmarł z powodu wykrwawienia”.

Oczami wyobraźni widzę Gabriela. Jego szeroki uśmiech, pełen chłopięcej radości. Jego szmaragdowe oczy, przepelnione dobrocią i miłością. Jego umięśnioną sylwetkę, która wzbudza we mnie poczucie bezpieczeństwa.

Nie mogę stracić tego mężczyzny. Nie teraz. Nie tak szybko. *To twoja wina, Maeve*. Uderzam dwukrotnie głową o ścianę, a z moich ust wydobywa się cichy jęk. Sprowokowałam Wielkiego Mo, a teraz mogę stracić Gabriela. Otwieram oczy, by zerknąć na Peyton siedzącą na drugim końcu długiego korytarza. Rudowłosa kiwa się w przód i tył z zaciśniętymi powiekami. Na jej udach spoczywa czarna róża i to właśnie ona najbardziej przykuwa moją uwagę. Co może oznaczać? To jakiś rodzaj talizmanu?

Podskakuję, kiedy moja komórka rozdzwania się na całego. Zerkam na wyświetlacz, lecz nie rozpoznaję numeru. Jedyne osoby, które posiadają ten numer, to Payette oraz Gabriel, dlatego odbieram połączenie dość niepewnie.

— Tak, słucham?

— Gwendolyn Schofield? — *O Boże! Dirk!* Wszędzie rozpoznam barwę jego głosu. Jasny gwint! Znalazł mnie... Za szybko. Zdecydowanie w bardzo złym momencie.

— O co chodzi? — pytam, udając kompletną idiotkę. Dirk doskonale zdaje sobie sprawę, że wiem, z kim rozmawiam. Nie da się pomylić tej barwy głosu z żadną inną.

— Powiedz mi, Maeve... — Zamykam oczy, jęcząc w duchu.  
— Jaka jest Wasilla?

— Czego chcesz? — pytam cicho, ledwie słyszalnie. W starciu z mieszkańcami tego miasta czuję się silna, lecz w konfrontacji z Dirkiem jestem beznadziejnie słaba, jakbym przegrywała już na samym starcie.

— Wykorzystałaś Payette'a, by pomógł ci uciec — wypowiada zjadliwie. — Sprytnie sobie to wszystko wykombinowałaś, lecz nie zapominaj, do jakiej rodziny należysz.

— Ja nie mam rodziny!

— Masz mnie — odpowiada pewnie.

— Nie zasługujesz na to, by mieć siostrę, Dirk. Nie zasługujesz na to, by mieć rodzinę. Wszystkich wokół ranisz. Każdy chce od ciebie uciec. Jesteś bezdusznym draniem, który niszczy wszystko, co napotka na swojej drodze. Nie doceniasz ludzi. Nie dostrzegasz w nich dobrych cech. Każdy dla ciebie jest intruzem. Każdego chcesz kontrolować. Chcesz mieć nieograniczoną władzę. Mam tego dość. Chcę żyć sama dla siebie. Bez ciebie.

— Za to z Blackiem? — pyta niewzruszony.

— Tak — przyznaję szczerze. — Chcę żyć u boku Gabriela.

— Co on ma takiego w sobie, że zawsze wybierasz jego?

Ton jego głosu zmienia się, jakby zadanie tego pytania było trudnym zadaniem. *W co on gra, Mae? To dziwne...*

— Uczucia, Dirk.

— Uczucia są zgubne.

— Ty tak sądzisz.

— Ja to wiem.

— Ty ich nie masz, dlatego wszystkich dookoła krzywdzisz.

— Nie dzwonię po to, aby dyskutować z tobą na temat uczuć — warczy poirytowany. — Masz dwa pieprzone dni, aby wrócić do domu, rozumiesz?

— Nie.

— Wracaj do domu!

— A jeśli nie posłucham?

— Osobiście po ciebie przyjadę.

Rozłącza się szybciej, niż docierają do mnie jego słowa. Marszczę brwi zdegustowana. Z jednej strony Dirk wykazał swoją apodyktyczność i dał swoje rozkazy, lecz poza tym nie

użył żadnej groźby. Nawet nie podniósł głosu, by zaznaczyć swoją złość. Wpatruję się w ścianę przed sobą przez kilka długich minut, próbując rozszyfrować sens ukryty w słowach brata. *Ale czy jest tutaj jakiś ukryty sens? Nie mam pojęcia...*

— Maeve... — Melodyjny, kobiecy głos wyciąga mnie z letargu. Spoglądam na leżącą i rozdziawiam usta.

— Ruth?

— Tak, to ja — uśmiecha się przyjaźnie. — Operacja się udała. Gabriel z tego wyjdzie. — Dotyka moich ramion. — Były drobne komplikacje, ale ten facet jest kurewsko waleczny.

*Tego dnia, Ruth staje się dla mnie prywatnym aniołem. Uratowała go.*

*O Boże!*

Nie stracę go.

— Dziękuję. — Przyciągam ją do siebie, ściskając ją z całej siły. — Ruth, naprawdę dziękuję.



## Złoto i literka „P”

Gabriel wygląda bezbronne na niewielkim szpitalnym łóżku z podłączoną aparaturą kontrolującą funkcje życiowe. Został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej, więc przez dwadzieścia cztery godziny mogę jedynie go obserwować i ścisnąć jego ciepłą dłoń. Najważniejsze, że jego życiu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. Nie mogłabym normalnie funkcjonować, gdybym ponownie go straciła, tym razem na zawsze.

— Mae, powinnaś odpocząć. — W drzwiach przystaje Kirk, który wygląda na zmęczonego. Ma podkrążone oczy, a jego spojówki zmieniły barwę z białej na czerwoną.

— Nie chcę go zostawiać.

— Zapewniam cię, że stąd nie ucieknie. — Sili się na uśmiech. — Nie chciałby, abyś spędzała całe dni i noce przy jego łóżku kosztem swojego zdrowia.

— A jeśli wpadnie tu ktoś, kto zechce dokończyć robotę Mo?

— To musiałyby szukać ciebie.

— Hm... Faktycznie. — Drapię się po policzku. Zerkam na śpiącego blondyna, by po chwili wstać z niewygodnego



stołka. — Do zobaczenia jutro — wypowiadam, nachylając się nad jego uchem.

Mam nadzieję, że słyszał wszystko to, co do niego wcześniej mówiłam. Przepraszałam go za swoją bezmyślność oraz zapewniałam, że będę bardziej rozważna. *Sama w to nie wierzysz, Mae. Nie potrafisz myśleć, zanim cokolwiek zrobisz. Taka już twoja dziwna natura.*

— Odwiozę cię.

— Nie trzeba.

— Tak — parska śmiechem. — Sądziś, że pozwolę kobiecie mojego szefa spacerować samej po mieście, w którym ludzie nie pałają do niej sympatią? Chcę jeszcze podkreślić, że mamy noc.

*Widzisz? Ty wybrałaś spacer, nie biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa. Gdzie ta twoja rozwaga, idiotko?*

— Dobra, chodźmy.

~\*\*\*~

Ciepła kąpiel pozwala rozluźnić wszystkie moje mięśnie. Nie sądziłam, że jestem spięta jak struna od gitary, do momentu, w którym gorąca woda zetknęła się z moim przemarzniętym ciałem. Delikatny zapach wanilii i pomarańczy unosi się w powietrzu, a para wodna już dawno wypełniła pomieszczenie. Taka chwila relaksu pozwala mi zapomnieć choć na chwilę o wszelkich zmartwieniach. Nie myślę o postrzale, wściekłości Wielkiego Mo ani telefonie Dirka. To wszystko może poczekać do rana, kiedy ponownie uderzy we mnie rzeczywistość. Choć przez ten jeden moment chcę czuć emocjonalny spokój.

Wdech. *Wszystko będzie dobrze.*

Wydech. *Moje życie staje się coraz lepsze.*

Wdech. *Jestem oazą spokoju.*

Wydech. *Jestem silną kobietą.*

Wdech. *Jestem szczęśliwa.*

Wydech. *Jestem...*

Zerkam z niezadowoleniem na rozświetlony ekran telefonu. Przychodząca wiadomość wyrywa mnie ze stanu motywowania samej siebie. Sięgam po urządzenie, a kiedy dostrzegam treść esemesa, przełykam głośno ślinę.

**Od: NIEZNANY**

**DO: Maeve Whittaker**

***Treść wiadomości: Masz coś, czego nie powinnaś posiadać, skowroneczku. Będzie cię to kosztować życie. Przy okazji pozdrów Payette'a.***

Odkąd przyjechałam do tego miasta, nie ma dnia, w którym mogłabym odpocząć i poczuć, że żyję. Dlaczego przyciągam same kłopoty? Czy ja kiedyś otworzyłam cholerną puszkę Pandory? Jasny gwint! Payette ostrzegał, że posiadanie przy sobie sygnetu może mnie kosztować życie, lecz wtedy liczyła się dla mnie jedynie ucieczka od Dirka. Dlaczego element męskiej biżuterii jest tak bardzo pożądany? To tylko zwykły złoty pierścień, lecz nie sądzę, aby o jego wartości decydowało właśnie złoto. Musi być coś więcej. Może diamenty? Wychodzę z wanny, pośpiesznie wycieram się ręcznikiem, a następnie idę do sypialni, by ze szkatułki na biżuterię wyciągnąć sygnet. Wygląda dość zwyczajnie. Złoty z dużą literką „P” na przodzie. Jest ciężkawy, lecz to chyba normalne przy takiej ilości złota. Klnę pod nosem, a następnie wybieram numer Payette'a.

— Siemka, mordeczko. Jak leci?

— Dlaczego twój sygnet jest tak ważny?

— Bo jest ważny — odpowiada nonszalancko. — Dlaczego pytasz?

— Właśnie otrzymałam wiadomość, że posiadam coś, czego nie powinnam. I że zapłacę za to życiem.

— Bo posiadasz coś, czego nie powinnaś — parska śmiechem. — Kochaniutka, ostrzegałem, że układy ze mną mogą się tak skończyć.

— To pewnie dlatego nie masz sojuszników.

— Ja ich nie chcę.

— Każdy ich chce.

— Każda z moich mordeczek po fachu to cioty. No, jedynie Popow, ta rosyjska męska matroszka, to poważny gość, którego chciałbym zwerbować do wspólnych biznesowych igraszek.

— Dobra, skończ pieprzyć. Powiedz mi lepiej, co mam robić! — rozkazuję poirytowania. Bailey zdecydowanie mówi zbyt wiele niepotrzebnych słów.

— Oddaj mi sygnet.

— W jaki sposób?

— Tak się składa, że będę za cztery dni w Waszyngtonie na corocznym balu, by bawić się z mafijnymi ciotami. Możesz pojawić się ze swoim ogierem, oddasz mi sygnet, a potem gruchajcie się jak dwa napalone gołąbeczki.

*Cztery dni...Gabriel nie zdoła odzyskać sił.*

— Jest jakiś inny sposób?

— Nie. Albo bal, albo pal.

— Sugerujesz, że spalą mnie na stosie?

— Jak jesteś wiedźmą, to niewykluczone.

— Nie sądzisz, że bal jest trochę ryzykowny? — *Brawo, Mae. Rozwaga.*

— Dla mnie nie.

- Dla mnie jest.
  - Masz prywatnego ochroniarza.
  - Gabriel jest niedysponowany.
  - No mówiłem, że mordeczki z tego świata to cioty!
  - Też byłbyś niedysponowany, gdybyś oberwał kulką w brzuch — odpowiadam ze złością. Za kogo on się uważa? Kretyn!
  - Ja jestem kuloodporny.
  - A szpilководporny też?
  - Co masz na myśli?
  - Wsadzę ci szpilkę w sam środek twojego dupska, kiedy tylko spotkam cię na tym pieprzonym balu! Specjalnie dla ciebie muszę ryzykować spotkanie z Dirkiem i ludźmi, którzy chcą mieć twój pieprzony sygnet!
  - Każdy chce mieć mój sygnet.
  - Zdążyłam to już zauważyć. Dlaczego?
  - Bo jest ważny.
  - Powtarzasz się!
  - Do zobaczenia za cztery dni! Bajo! — rozłącza się. Ponownie wybieram jego numer, ponieważ nie uważam naszej rozmowy za skończoną, lecz Payette odrzuca moje połączenie. Ewidentnie nie zamierza mi niczego tłumaczyć. Cholerny Bailey i jego świrnięta osobowość!
- Mae, nie chcę cię martwić, ale masz na głowie kilka spraw. Pierwsza — zakłamanym pseudobloger i jego nieodpowiedni wpis. Druga — Kayden, który uważa się za twojego superbohatera. Trzecia — Dirk, który rozkazuje ci wrócić do Teksasu. Czwarta — oddać sygnet i uniknąć śmierci. Piąta — spędzić mnóstwo czasu z Gabrielem.*

Wzdycham przeciągle. Jedyne sprawa numer pięć wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Cała reszta to jedno wielkie gówniane zmartwienie.



## Paradoks dziennikarza

Szmaragdowe oczy blondyna wpatrują się we mnie z czułością. Jego dłoń ściska moją z otuchą. Jego klatka piersiowa się unosi, a policzki nabrały różowej barwy. Gabriel wybudził się tego ranka ze śpiączki i pomimo bólu podbrzusza, uśmiecha się.

— Pamiętasz nasz pierwszy pocałunek? — pyta z zawadiackim uśmiechem.

— Był dość nieporadny — stwierdzam. Tamtego dnia Gabriel po raz pierwszy pozbawił kogoś życia. Siedzieliśmy w ogrodzie, kiedy nasze usta pierwszy raz odnalazły do siebie drogę. Nie wiedziałam, jak powinno się całować, więc uznałam, że dobrym pomysłem będzie wepchnięcie całego języka do ust Gabe'a, co wywołało w nim odruch wymiotny. Nie wspominam tego zbyt dobrze.

— To fakt. — Szczyrzy zęby w uśmiechu. — Ale był nasz wspólny.

— Chciało ci się wymiotować!

— Ale to nie dlatego, że mnie obrzydzałaś. — Gładzi wierzch mojej dłoni swoim kciukiem. — Potem zaczęliśmy ćwiczyć i stworzyłem całkiem dobrego potworka.

— Tylko całkiem dobrego? — Unoszę kącik ust.

— No może nawet wspaniałego.

— Szefie! — Do sali wbiega zdyszany Kirk. Wygląda, jakby właśnie przebiegł maraton z przeszkodami. — Dwie sprawy.

— Teraz?

— Ja wiem, że tutaj lecą miłosne iskry i tak dalej, ale mamy kilka spraw do załatwienia. Po pierwsze, Darren i kilku innych chłopaków złapali Mo. Zamknęliśmy go w piwnicy. Oberwał kilkakrotnie, ale nie wiemy, czy mamy mu pozwolić żyć, czy nie. Po drugie, Jefferson pokićkał kilka ważnych faktów w swoim nowym wpisie na blogu i ludzie myślą, że zdechłeś. Ale tym chciała się zająć Mae. Jasper jej będzie towarzyszył. Czeka na nią pod szpitalem. Po trzecie, dzwonił jakiś świr w sprawie jakiegoś sojuszu. Szukamy w ogóle jakiś sojuszników? Po czwarte, Amber uległa wypadkowi... — wypowiada to wszystko niemal na jednym wdechu.

— Kirk powoli! Oddychaj!

— A to ja nie oddycham? — Bierze wdech, a następnie wydech. — Faktycznie. Dzięki. Jak mówiłem, Amber uległa wypadkowi. — *Amber? Kim jest Amber?* Marszczę czoło i zerkam na Gabriela z nadzieją, że mi to objaśni, lecz ten zaciska szczękę i wpatruje się w Kirka ze złością.

— Jakiemu wypadkowi?

— Nic poważnego. Ma złamaną nogę. Prawdopodobnie zleciała ze schodów.

— I ja mam uwierzyć, że nikt jej nie zrzucił?

— Śruba to sprawdza.

— Kim jest Amber? — pytam, lecz obaj mężczyźni mnie ignorują. Zupełnie tak, jakbym była niewidzialna.

— Chcę wiedzieć wszystko!

— Się wie. Wracając do sprawy sojuszu...

— Kto dzwonił?

— Brzmiał jak świr.

*Jak nic Payette.*

— Przedstawił się jakoś?

— Nie, ale powiedział, że taka niedysponowana klucha jak Reed potrzebuje takiego sprawnego, silnego ogiera jak on.

*Payette!*

— Niewiele mi to mówi.

— Bailey Payette — odpowiadam. Te słowa docierają do obu par uszu. *Nagle stałaś się widzialna i słyszalna, Mae. Magia!*

— Skąd wiesz?

— Bo go znam. To jego gadka. — Wzruszam ramionami. — Więc kim jest Amber?

— Ja myślę, że Jasper już za długo na ciebie czeka — kwituje Kirk. — Chciałaś załatwić sprawę z Jeffersonem, więc śmiało.

— Chcę wiedzieć, kim jest Amber.

— Będzie jeszcze okazja, by o niej porozmawiać — zapewnia mnie Gabriel. Ścisła delikatnie moją dłoń, a następnie przykłada ją do swoich ust, by złożyć na niej pocałunek. — To dość zawiła historia i nie chcę jej objaśniać w tej chwili.

— To jakaś twoja dziewczyna?

— Z całą pewnością nie.

— Nie kłamiesz?



— Nie mógłbym — uśmiecha się pokrzepiająco. — Obiecuję, że o tym porozmawiamy.

— Oby nie za dziesięć lat — fukam z niezadowoleniem.

— Mae...

Wstaję z krzesła i prędko udaję się do wyjścia. Nie zamierzam ukrywać, że tajemnicza Amber wywołuje we mnie w zazdrość. Nigdy nie sądziłam, że będę zazdrosna o Gabriela, lecz jak widać jestem. Kiedy na horyzoncie pojawia się nieznana kobieta, boję się, że Gabe odejdzie, zostawiając mnie ze złamanym sercem.

~\*\*\*~

— Zaczekaj tu — zwracam się do Jaspera, gdy wysiadam z samochodu. Właśnie dotarliśmy do *Aroma Amore*, by zmierzyć się z zakłamaną gnidą. Nie lubię pseudobohaterów i kłamliwych ciot, do których zalicza się Kayden. Wystarczyło mi dziesięć minut podróży, by nakręcić się bojowo. Nie dość, że irytuje mnie obecność jakiejś Amber, to jeszcze mam kilka innych powodów, aby czuć złość, którą za moment wyładuję na kimś, kto zdecydowanie na to zasłużył.

— Zwariowałaś? — prycha. — Za żadne skarby świata nie odpuszczę tego przedstawienia. Ba! Ja to jeszcze nagram!

Macha przede mną swoim telefonem i z miną małego dziecka, które czeka na prezenty, wchodzi zaraz za mną do środka kawiarni. Jak na godzinę jedenastą, panuje tutaj dość duży tłok. Czyżby taki wpis na blogu Jeffersona sprowadził nowych klientów? Dobry rozgłos nigdy nie jest zły, a miejsca zbrodni zawsze przyciągają gapiów.

Cóż... Nie sądziłam, że wykrwawiający się Gabriel stanie się reklamą dla tego miejsca, ale najwidoczniej „zdechły” degenerat wpływa na większy apetyt mieszkańców tego miasta.

— Maeve! — Kayden piszczy rozradowany. — Żyjesz!

— Ja? Tak, masz rację, żyję — odpowiadam monotonie. — Jeśli chodzi o Gabriela, to on również żyje — chwale się z kpiącym uśmiechem. — Ale jeśli chodzi o ciebie, to już jesteś martwy! — Poważniej, a Jasper za mną chichocze. Podchodzę powoli do szatyna.

— Wyprali ci mózg! — Odsuwa się jak najdalej ode mnie. Gdzie ta jego moc i odwaga?

— Mnie? — parskam śmiechem. — To nie ja udzielałam wywiadów, w których chwale się, że jestem czyjąś bohaterką. Twoja historyjka to wysane z palca kłamstwa! — Unoszę się. Rozglądam się dookoła, by upewnić się, że każdy tu obecny dobrze mnie słyszy. Chcę, aby była jasność. Jestem kobietą tutejszego szefa klubu motocyklowego i to on właśnie uratował mnie przed śmiercią. — Nie uratowałeś mnie. Zrobił to Gabriel Reed, przyjmując pocisk przeznaczony dla mnie.

— Kochanie... — Głos mu drży. Cofa się dwa kroki i uderza plecami w betonowy filar. Mogłabym teraz wyrwać mu język za wypowiedzenie tego słowa, ale kontakt z jego śliną nie byłby przyjemny. — Ja mówiłem prawdę!

Prędko zmniejszam dzielącą nas odległość. Nie dotykam go, choć chęć obicia mu twarzy jest coraz silniejsza. Nie chcę jednak używać przemocy. Tym zapewne zajmie się Gabriel, gdy tylko stanie na nogach.

— Słuchaj mnie, fiucie! Nie rób z siebie bohatera w lśniącej zbroi, bo jedyne, co dobrze ci wychodzi, to obsikiwanie swoich gaci. Nie tknąłeś nawet palcem, kiedy mierzono do mnie z broni! Chowałeś się za barem, więc o jakim ty bohaterstwie mówisz?

— Mae, uspokój się — prosi.

— Zamknij mordę — wtrąca Jasper. — Robi się coraz ciekawiej! Ma ktoś popcorn?

— Mae, Gabriel był złym człowiekiem. Dobrze, że zdechł. — Opluwa mnie. Wycieram nos rękawem kurtki. — To ja jestem dla ciebie odpowiednim facetem! Dlaczego się na mnie złościsz? Powiedziałem prawdę Jeffersonowi!

Uśmiecham się z kpiną, a następnie wskakuję na blat baru.

— Powiem to tylko raz! — Kieruję swoje słowa nie tylko do Kaydena, lecz do pozostałych klientów kawiarni. — Gabriel Reed żyje i zapewniam, że ma się świetnie. — Spoglądam prosto w oczy Kaydena. — Osobiście jestem przepełniona szczęściem z tego powodu.

— Kim ty jesteś? — krzyczy ktoś z końca kawiarni.

— Och, Jefferson nie przekazał takiej informacji? — pytam z kpiną.

— Mae! Złaź stamtąd — wtrąca Kay. — Nie rób z siebie pośmiewiska! Zachowujesz się jak świruska!

Przewracam oczami. A może by go tak jednak poturbować? *Kusząca myśl, Mae. Skop mu tyłek! Masz na sobie buty ze szpicem, akurat gładko wejdą w sam środek jego obsranego dupska!*

— Wczoraj Gabriel Reed został postrzelony, ponieważ ratował mnie! Nie chciał mojej śmierci, jak wszyscy sądzą! Uratował mi pieprzone życie! Nikt nie raczył się ruszyć i mi pomóc, a gdy Gabe wykrwawiał się na zimnej podłodze, wszyscy skakali z radości!

— Powinien zdechnąć! — krzyczy Śnieżka, dziewczyna, która wmawiała mi, że jestem tutaj powiem świeżości. O, proszę. Kogo my tu mamy. Wystraszoną owieczkę, która odważyła się powiedzieć te dwa nieodpowiednie słowa. Zeskakuję z baru i nieśpiesznie do niej podchodzę. Moja

mina musi ją przerażać, ponieważ wciska się pomiędzy betonowy filar a okno.

— Posłuchaj mnie, kochanie. — Kieruję te słowa prosto do niej. — Jeśli nie masz na tyle odwagi, aby w tym momencie się ze mną zmierzyć, to radzę ci trzymać buzię na kłódkę. Tak się składa, że Kayden zapomniał wspomnieć Jeffersonowi o mojej deklaracji. — Odwracam się, by spojrzeć na barmana. — Kay, przypomnisz, co powiedziałam?

— Nic nie mówiłaś!

— A więc powtórzę. Nazywam się Maeve Whittaker i jestem rówieśniczką naszego diabła!

— Kocham cię, laska! — woła Jasper. — Gdybyś nie była kobietą szefa, byłabyś moja! — Uśmiecham się przebiegle, poprawiam swoją kurtkę, a następnie powoli przechodzę pomiędzy stolikami, kierując się do wyjścia. Przyglądam się każdemu z wyższością.

— Jesteś kobietą Gabriela? — wypytuje Kay. — Od kiedy?

— Od dziesięciu lat — odpowiadam z dumą.

— A ja ci zaufałem! — Pada załamany na kolana. — Zwiodłaś mnie!

— Opowiedziałam ci moją historię miłosną — dopowiadam. — A teraz czekaj na wizytę Gabriela. On też nie znosi plotek. — Posyłam mu promienny uśmiech. — Pamiętaj. W tym świecie dama zawsze chroni swojego mężczyznę i mężczyzna zawsze chroni swoją damę.

~\*\*\*~

Frederick Jefferson zamieszkuje mały domek w lesie, do którego prowadzi zarośnięta polna droga. Mieszka z dala od zgiełku miasta i z dala od klubu, lecz najwięcej ma powieдения w kwestii degeneratów. Gdyby nie fakt, że

Gabriel jest dla mnie kimś ważnym, zapewne nie reagowałabym na ten bzdurny wpis. Obchodziłby mnie tyle, co zgnieciony pod butem robaczek. Ale w zaistniałych okolicznościach jako kobieta Gabriela muszę chronić jego honor i dumę. Jasper zatrzymuje jeepa przed domem z bali. Pisk hamulców jest na tyle głośny, by domownik mógł nas usłyszeć.

— Chyba masz klocki hamulcowe do wymiany — stwierdzam z rozbawieniem.

— No nie gadaj, że wiesz, co to są klocki hamulcowe. — Zerka na mnie spod byka, jakby wątpił w to, że kobieta może znać się trochę na mechanice pojazdów. Może i nie jestem mistrzynią napraw, lecz pewne podstawy w tej dziedzinie opanowałam.

— Tak się składa, że wiem, cyniczny niedowiarku. — Chwytam za klamkę. — Ale wolałabym na ten temat nie debatować, bo mamy ważniejszą sprawę do załatwienia.

Wychodzę z samochodu, a mroźny wiatr od razu owiewa moją twarz. Cholerna Alaska i jej pogoda. Ciągłe zapominam, że powinnam ubierać się cieplej. Zazwyczaj wychodzę z mieszkania w cienkiej bluzce i legginsach. Wkładam na siebie jedynie letnią kurtkę, która wcale nie generuje ciepła.

— Co zamierzasz zrobić? — pyta Jasper, wciąż obserwując mnie spod byka. O co mu chodzi? Spoglądam na niego z aroganckim uśmieszkiem, aby nie myślał, że jego lekceważąco-wkurzające spojrzenie na mnie wpływa. Ma prawo mi nie ufać, ale jego pełne sceptycyzmu spojrzenie na mnie jest troszkę denerwujące.

— Nic szczególnego. — Wzruszam ramionami. — Poproszę go, aby sprostował swoje zakłamane słowa.

— Poprosisz? — parska śmiechem.

— Prośby działają cuda, wielkoludzie.

— Nie w tym mieście, kobieto!

— Nigdzie nie powiedziałam, że ta prośba nie będzie przesiąknięta groźbą.

Szczerzę zęby w uśmiechu, prostuję pierś i odrzucam swoje kasztanowe włosy do tyłu, a następnie ruszam w stronę wejścia. Mojej uwadze nie umyka poruszająca się firanka w jednym z okien. *Już wiem, gnojku, że jesteś w domu.* Uśmiecham się triumfująco, by po chwili zapukać do drzwi, jak przystało na dobrze wychowaną obywatelkę. Czekam cierpliwie, aż gospodarz nam otworzy, lecz ten chyba nie ma zamiaru tego zrobić.

— Czego chcecie? Nic nie zrobiłem! Poznaje faceta w skórzanej kurtce! On... On jest członkiem klubu! Tfu! — krzyczy przez zamknięte drzwi. Przewracam oczami na tchórzostwo tego palanta i pukam ponownie, tym razem tracąc cierpliwość. Nie mam ochoty sterczeć na zewnątrz, gdzie zimny wiatr ochładza moje ciało z każdą sekundą. *Musisz koniecznie zainwestować w grubą kurtkę, Mae.*

— Nazywam się Maeve Whittaker, dziewczyna, o której napisał pan dzisiaj post na durnowatym blogu — mówię poirytowana. Ten mężczyzna miał jaja, żeby wypisać kłamstwa na forum internetowym, gdzie każdy z mieszkańców tego szajbniętego miasta mógł je przeczytać, a teraz brakuje mu odwagi, by ze mną porozmawiać? Paradoks dziennikarza.

— Nie wpuszczę cię!

— Na pewno?

— Tak! Wynoście się z mojej posesji albo zadzwonię na policję!

— Co nam zrobią? — pyta z wesołością Jasper.

— Wsadzą was do aresztu!

— W fajne bajki wierzysz, Jefferson — odpowiada Jasper. — Kiedy im powiesz, że na twojej posesji jest degenerat, nawet nie ruszą swoich tyłków z zasiedziałych stołków. Łatwiej będzie nas wpuścić, niż z nami wojować.

— Jefferson, proszę. — Kładę nacisk na słowo: „proszę”, a wtedy ku naszemu zaskoczeniu dziennikarz otwiera przed nami drzwi. W rękach trzyma kij baseballowy, jakby ten miałby nas wystraszyć. Zerkam to na jego broń, to na jego twarz i parskam śmiechem. — Wyglądasz przezabawnie.

— Czego chcecie? — pyta ostro, lecz w jego głosie wybrzmiewa nutka lęku. Jego ręce drżą.

— Od ciebie? Tylko jednego. — Bez zbędnych słów mijam sparaliżowanego faceta i wchodzę do jego domu jak do siebie. Rozglądam się dookoła, a lokalizacja jego prowizorycznego biura wcale nie jest trudna. Facet kompletnie nie potrafi dbać o czystość, wszędzie walają się wycinki z gazet, papiery i opakowania po batonikach. — Jasper! Weź przyprowadź tu tego pacana, zanim mu przywalę.

Nie mija trzydzieści sekund, a Jefferson pojawia się w swoim gabinecie. Jasper popycha go na ledwo stojące drewniane krzesło i sam zajmuje kanapę. Rozsiada się i czeka na rozwój sytuacji. *Dzięki za wsparcie...*

— Co was tutaj sprowadza? — pyta. — Jeśli chodzi o artykuł, to napisałem to, co kazał mi Kayden Walker.

— Jak to? Kazał ci? — Marszczę czoło.

— Tak, zadzwonił wczoraj i... i... i...

— Kurwa, gościu! Nikt cię tu nie chce zabić! Mów, do cholery jasnej, zanim zrobię z twojej głowy pierdolone trofeum — warczy zniecierpliwiony Jasper. *To miało go niby uspokoić?* Zerkam na Jaspiera z politowaniem. Dobór

słownictwa z całą pewnością pozwolił się wyluzować naszemu dziennikarzowi.

— Kayden zadzwonił wczoraj do mnie i powiedział, że ma dla mnie gorące wiadomości. Żaden dziennikarz nie przepuści okazji na napisanie dobrego artykułu, dlatego zgodziłem się na jego warunki, żeby tylko mieć dostęp do informacji. Nie wiedziałem, że ten mały szczył wpędzi mnie w jakieś kłopoty!

— O kłopoty to ty się prosisz od lat — prycha Jasper. — Napisałeś artykuł, jak to sprzedajemy dzieci, gwałcimy, podpalamy domy i kradniemy, ale wiesz co, cwaniaczku? Ani razu nie miałeś na to dowodów.

— Bo zawsze informacji dostarczał mi Kayden i kilku innych gości. Nawet sam burmistrz!

Wymieniam porozumiewawcze spojrzenie z Jasperem. To już jasne. Władze tego miasta chcą wypędzić stąd degeneratów (wcale im się nie dziwię, to w końcu organizacja przestępcza), lecz nie mają pojęcia, że to jest niemożliwe. Nie rozumiem jednak postępowania barmana z *Aroma Amore*. Przecież ta telepiąca się ze strachu fajtłapa igra z ogniem, którego się boi. *Popieprzone, Mae*.

— OK, w takim razie... — Spoglądam na Jeffersona. — Napiszesz teraz nowy wpis.

— Tak, tak. — Nerwowo otwiera swojego laptopa. — O czym on ma być?

— Najpierw poinformujesz, że Gabriel Reed przeżył postrzał. Uwzględnisz też informację, że nie chciał mojej śmierci. On mnie przed nią osłonił własnym ciałem. Dlatego kula trafiła właśnie w niego. Po drugie, wspomnisz, że słowa Kaydena to brednie, że nigdy nie byliśmy ze sobą blisko i cała sytuacja, którą opisał, to jedno wielkie kłamstwo. Po trzecie, przypomnisz im, że Gabriel jest



człowiekiem i nikt nie będzie robił reklamy dzięki jego rzekomej śmierci. Zrozumiałeś?

— Wszyściutko — odpowiada natychmiast.

— Cieszę się, że się dogadaliśmy.



## **Delikatnie i pieszczotliwe pogłaskanie**

*Dziesięć lat wcześniej*

Mae czuje, jakby znalazła swoje miejsce na ziemi. Jest nim Gabriel. Ledwie się znają, lecz każdy spędzony razem dzień utwierdza ich w przekonaniu, że są dla siebie stworzeni. Nastolatka pogrążona w marzeniach wpatruje się w biały sufit z uwielbieniem wymalowanym na twarzy. Jej uśmiech rozjaśnia mrok panujący w pokoju. Wczoraj pierwszy raz kochała się z Gabrielem. Nigdy nawet nie śniła o tak pożądliwym akcie dwóch splecionych ze sobą ciał. Zawsze uważała, że mężczyzna bierze, co tylko chce, a kobieta musi mu dać wszystko. Za to Gabriel pokazał jej, jak to jest czcić kobiece ciało.

— Ostrzegałem cię!

Wrzask starszego brata nastolatki wyrywa ją z rozmyślań. Nieśpiesznie podnosi się do pozycji siedzącej i spogląda na brata.  
*O co mu chodzi?*

— Przed czym?

— Przed urokiem jebanego Blacka! Prowadzasz się z nim dzień w dzień!

— Lubię go — wypowiada z naciskiem.

— Wcale go nie lubisz!

— Racja. Po prostu go kocham.

W głosie ciemnowłosej nie ma lęku ani momentu zawahania. Nie potrzebuje głowić się nad tym, co czuje do Gabriela. Ona to wie całą sobą. Kiedy człowiek całe dni rozmyśla o swojej drugiej połówce, to znak, że jest zakochany. Gdy w jego brzuchu chaotycznie fruwać motyle na samą wzmiankę o ukochanej osobie, to oznaka miłości. Jeśli dwójka ludzi nie wyobraża sobie życia bez siebie, szanuje swoje zasady, dba o dobre samopoczucie drugiego i się o niego troszczy, to oznacza, że się kochają.

— Co?! — Oburzenie Dirka jest dla nastolatki niezrozumiałe. Jak dotąd Gabriel nie miał nawet okazji, aby spędzić czas z jej bratem, więc tym bardziej jego wrogość do blondyna jest dziwaczna. — Mówiłem, że masz się do niego nie zbliżać!

— Nie masz prawa mi rozkazywać!

— Znam takich jak on! Rozkochują, wykorzystują i znikają! Nie bądź głupia. Pomiot Javiera Blacka ma serce, by kochać? — parska śmiechem. — On ma jedynie fiuta, którym chce cię wykorzystać!

— Nieprawda! — Ciemnowłosa gwałtownie wstaje z łóżka i bez strachu podchodzi do swojego brata, by wymierzyć mu siarczyste uderzenie w policzek. Jego głowa odskakuje w bok, a głośnie plaśnięcie dłoni o skórę odbija się od wszystkich ścian w pomieszczeniu. — Nigdy więcej nie próbuj sterować moimi decyzjami!

— Czy ty mnie właśnie uderzyłaś? — pyta z wrogością.

— Nie — prychna nastolatka. — Delikatnie i pieszczotliwie pogłaskałam cię po ryju.

— Moja mała, miła i grzeczna siostra właśnie zamienia się w damską wersję samego Blacka. Pięknie!

Ostatnie słowo wykrzykuje z gniewem. Jeszcze przez chwilę przygląda się swojej siostrze ze złością, a następnie postanawia wyjść. Nie chce być świadkiem jej przemiany z ułożonej dziewczyny w zniszczoną przez Blacka kobietę.



## Wyjazd z Alaski

Gabriel z każdym dniem odzyskuje siły. Dziś wygląda już znacznie lepiej niż dwa dni temu, kiedy wybudził się ze śpiączki. Był w stanie o własnych siłach wyjść ze szpitala. Kiedy pielęgniarka zaoferowała mu wózek inwalidzki, spojrzał na nią spod byka, a następnie zabrał swoją podręczną torbę, chwycił mnie za dłoń i razem wymaszerowaliśmy ze szpitala. Teraz jednak, siedząc na miejscu pasażera w jego sportowym fordzie mustangu, czuję mdłości. Nie powiedziałam mu o rozmowie z Dirkiem oraz wiadomości, w której mi grożono. Nie wspomniałam również o sygnecie należącym do Payette'a ani o balu, na który jutro muszę się udać. *No dalej, Mae. Zaburz jego spokój, zmaż z jego twarzy uśmiech i dował mu tymi wszystkimi rewelacjami. Z pewnością będzie zachwycony.* Wzdycham przeciągle. Jak zwykle wpakowałam się w niezłe bagno.

— Co jest?

— Nic, nic. — Odwracam głowę w stronę bocznej szyby, aby nic nie wyczytał z mojej twarzy. Jestem jak otwarta księga, kiedy wewnątrz mnie kotłuje się cała gama różnych emocji. Od tych pozytywnych do tych negatywnych. — Tak sobie wzdycham.

— Co zbroiłaś? — pyta arogancko, a w jego ton głosu wkrada się nutka wesołości.

— Dlaczego od razu zakładasz, że coś zbroiłam? — Spoglądam na niego z wyrzutem, choć w zasadzie ma rację.

— Zawsze milczysz, potem wzdychasz, a następnie udajesz, że jesteś niewiniątkiem, a potem zrzucasz na mnie bombę, w której katastrofa rodzi katastrofę. — *Mae, idź za ciosem! No dalej. Mów! Najlepiej na bezdechu. Będzie szybciej.*

— Aby uciec od Dirka, skorzystałam z pomocy Bailey Payette'a. Ten w zamian dał mi na przechowanie sygnet. Z jakiegoś powodu każdy chce go mieć. Dostałam wiadomość z pogrózkami, że zapłacę za niego życiem, więc skontaktowałam się z Payette'em. Powiedział, że mam mu zwrócić sygnet jutro na jakimś balu w Waszyngtonie. Poza tym Dirk mi groził, że mam wrócić do domu. A tak w ogóle to świecę przykładem nudnej, odpowiedzialnej i grzecznej obywatelki Alaski.

— Ja pierdolę — kwituje blondyn z głośnym jękiem niezadowolenia. — Dlaczego ty nie masz w sobie instynktu samozachowawczego?

— A bo ja wiem... — Wzruszam ramionami. — *Carpe diem* i te sprawy — droczę się z wesołością, choć wcale nie jest mi do śmiechu. Według Dirka powinnam być w Teksasie wczoraj. Z informacji od Payette'a wynika, że muszę dziś wylecieć do Waszyngtonu, aby zdążyć na bal mafiosów. Poza tym nie mam pojęcia, czy za moment nie zginę z rąk jakiegoś chętnego na zdobycie sygnetu.

— To nie jest zabawne — fuka Gabriel. Zaciska dłonie na kierownicy. Jego knykcie bieleją, a kości policzkowe uwydatniają się pod wpływem zaciskanej szczęki. Zdejmuje nogę z gazu, co jest wskazane, zważywszy na jego obecny stan. *Masz przejebane, kochaniutka.* — Wpakowałaś się w sporawe śmierdzące gówno.

— Wiem — przyznaję ze skruchą. — Skąd miałam wiedzieć, że przysługa Payette'a będzie dla mnie tak bardzo niekorzystna?

*Sam ci o tym wspominał, idiotko.* Doskonale zdawałam sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuję. Wtedy chciałam jedynie uciec od brata i jego klubu. Można powiedzieć, że sprzedawałam swoją duszę diabłu, którym okazał się Payette. Nie chcę jednak mówić Gabrielowi, że świadomie podjęłam ryzyko. Wtedy porządnie by się wkurzył, a nie chcę do tego dopuścić. Zwłaszcza że dopiero co wyszedł ze szpitala.

— Myślę, że wiedziałaś — stwierdza pewnie, jakby doskonale wiedział, że zgodziłabym się na wszystko, byleby znaleźć się jak najdalej od Dirka.

— Wiedziałam — przyznaję szczerze. — Payette szczegółowo przedstawił swoje warunki i teraz tylko on może mi pomóc.

— Masz jeszcze mnie. — Chwyta moją dłoń i delikatnie ją ściska. — Maeve, wiem, że nie lubisz polegać na innych ludziach, lecz pozwól, że się tobą zaopiekuję. Chcę cię chronić. Nie podoba mi się to, że pokładasz większą nadzieję w Payecie niż we mnie. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

— Wiem. — Wpatruję się w niego z czułością. — Zawsze mnie chroniłeś, lecz teraz nie mamy wyboru. Musimy lecieć do Waszyngtonu, by oddać sygnet Payette'a.

— Polecę sam. Tak będzie bezpieczniej.

— Nie ma mowy! To ja wpakowałam się w to bagno, więc osobiście stawię czoła konsekwencjom.

— Ludzie, którzy chcą zyskać sygnet dla siebie, będą na tym balu. Jestem tego pewny. Będą czekać, aż się pojawisz.

— Dlatego pojawimy się oboje.

— Pojawię się sam!

## Gabriel

Maeve przestała się do mnie odzywać w momencie, w którym zdecydowałem za nią, co jest dla niej najbezpieczniejsze. *Kit z tym*. Może się na mnie złościć, lecz robię to dla jej dobra. Nie mogę pozwolić na to, aby narażała własne życie z powodu jakiegoś sygnetu. Nie znam jego właściciela osobiście, lecz każdy o nim słyszał. Pieprznity świr z obsesją na punkcie samego siebie. Swoją drogą, to właśnie ten facet dobija się do mnie każdego dnia z propozycją zawarcia sojuszu międzyklubowego. Nie wiem, czego ode mnie chce ani czego oczekuje od mojej kobiety, lecz zamierzam się tego dowiedzieć dziś wieczorem. Oddam mu sygnet, a następnie przyprę do muru, aby wyśpiewał wszystko to, co knuje względem degeneratów.

Chwytam swoją torbę podróżną, a następnie idę w kierunku garażu. Samolot do Waszyngtonu wylatuje za niecałe trzy godziny, więc czas najwyższy wyruszyć w drogę. Z premedytacją pomijam wejście do sypialni, gdzie Maeve zamknęła się kilka godzin temu. Kiedy jest zła, zachowuje się jak rozkapryszona dziewczynka, która nie dostała cukierka. Zazwyczaj karze ludzi milczeniem i brakiem reakcji na słowa, jakie się wypowiada. Kiedy wrócę z Waszyngtonu, rozmówię się z nią, a na ten moment zostaje pod opieką chłopców. Mają warować przy niej jak psy obronne, na wypadek gdyby w mieście pojawił się Dirk bądź ktoś zgoła gorszy.

Wsiadam do swojego forda mustanga, zapalam silnik, a po chwili wyjeżdżam na opustoszałe ulice miasta. Kieruję się w stronę Anchorage, rozmyślając nad planem działania. Pójdę na bal, znajdę Payette'a, ale oddam mu jego sygnet tylko wtedy, kiedy wyjawi mi swoje intencje. Z reguły nie ufam nikomu, zwłaszcza szefom mafii. Każdy z nich ma ukryte motywy, a ich postępowanie względem innych kłóci się z



moimi zasadami. Odkąd mój ojciec zszedł z tego świata, zacząłem wypracowywać swój własny system działania i prowadzenia klubu motocyklowego. Przeniosłem się z Kanady na Alaskę, by tu kontynuować pracę mojego ojca, lecz na zupełnie nowych zasadach. Nie krzywdzimy niewinnych, nie sprzedajemy kobiet ani dzieci do burdeli, nie gwałcimy. Żyjemy ze sprzedaży nielegalnej broni oraz narkotyków. To bardzo dochodowy biznes, który nie krzywdzi tych, którzy na to nie zasługują.

Chciałbym, aby Maeve czuła dumę z moich wyborów. Nie stałem się wierną kopią własnego ojca, a tego bała się najbardziej. Nie chciała we mnie widzieć zimnego i okrutnego człowieka, zupełnie takiego samego, jakim był Javier Blacka. Przez ostatnie dziesięć lat starałem się być wiernym zasadom, jakie wpoila mi matka. Czasem wyobrażam sobie, że na moim ramieniu stoi mały anioł o imieniu Rose i szepcze: *Tak trzymaj, synku. Jestem z ciebie tak bardzo dumna. Kocham cię.*

— Jedziesz jak jakiś emeryt.

Podskakuję na siedzeniu. Z mocno bijącym sercem zerkam w lusterko wsteczne.

— Mae? Co ty tu, do kurwy nędzy, robisz? — pytam poirytowany. Zaciskam szczękę. Dlaczego ta kobieta nigdy nie robi tego, co powinna? Cholera jasna! Zejdę z nią na zawał jeszcze przed czterdziestką. — Miałaś siedzieć na dupie w klubie!

— Ewidentnie nie znasz mnie tak dobrze, jak sądziłam. To ja narobiłam problemów, więc ja je naprawię!

— Jesteś niepoważna!

— Możliwe — odpowiada lekceważąco. — Zwróć, proszę, uwagę na fakt, że to ja znam Payette'a. Ze mną przynajmniej będzie chciał rozmawiać.

— Tak się składa, że codziennie się do mnie dobija — burczę pod nosem. Mam ochotę zawrócić, by odstawić Maeve do domu, lecz jeśli to zrobię, nie zdążę na samolot. Ciemnowłosa postawiła mnie pod ścianą. Doskonale wyczekała moment, w którym mogła ujawnić swoją obecność w samochodzie. Wiedziała, że w połowie drogi do Anchorage nie zawrócę.

— To mnie dał sygnet.

— Tak. A ty głupio go przyjęłaś.

— A co miałam innego zrobić? — pyta opryskliwie. — Czekać, aż przybędziesz i mnie odbijesz z łap Dirka? — parska śmiechem. — Wtedy mogłam liczyć tylko na siebie, bo ty myślałeś, że jestem martwa! Przestań mi wypominać moje błędy, bo z naszej dwójki to ja przynajmniej dotrzymuję obietnic!

Czuję się tak, jakby wbiła mi ostry sztylet prosto w świeżą ranę po postrzale. Czuję uścisk w żołądku, a chwilę potem pojawiają się uciążliwe mdłości. *Maeve ma rację, Gabe. Nie wywiązałeś się ze swojej przysięgi...*



## **Prawie jak rodzina**

Czarna długa sukienka? JEST!

Szpilki? SA!

Cycki? NA SWOIM MIEJSCU!

Tyłek? NIGDZIE SIĘ NIE ZGUBIŁ!

Milczący Gabriel? ZA MNĄ!

Odwaga? POWIEDZIAŁA MI PA, PA!

Byłam tak pewna swego, lecz w tym momencie, widząc tych wszystkich ludzi zmierzających do namiotu służącego za balową salę, mam ochotę zwrócić swój ostatni posiłek. Ściska mnie w żołądku na samą myśl o spotkaniu z Payette'em. Co gorsza, obawiam się obecności Dirka. Nigdy dotąd nie uczęszczał na podobne bale, lecz nie mogę mieć pewności, że tym razem również odpuścił sobie zgrupowanie mafiosów. Cieszę się, że Gabriel jest tutaj ze mną, choć czuję potworne wyrzuty sumienia. W drodze na lotnisko powiedziałam za dużo. Od tamtego momentu Gabriel zaszczycą mnie jedynie lodowatym spojrzeniem. Nie dotyka mnie, nie okazuje czułości, nie odzywa się ani jednym słowem. Jest ze mną, ale mam wrażenie, jakbym była tutaj sama.

Biorę kilka uspokajających oddechów, nim podchodzę do mężczyzny stojącego przy wejściu. Facet ma co najmniej dwa metry wzrostu, a jego tors jest większy niż pieprzony czołg. Mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem zanim pyta:

— Nazwisko?

— Reed — wypowiadam bez zastanowienia. *Mae, dlaczego przedstawiłaś się nie swoim nazwiskiem? Wielkie faux pas.* Siłę się na uśmiech, choć czuję się skrępowana. Wyczuwam za swoimi plecami palące spojrzenie Gabriela.

— Zakładam, że Gabriel Reed to nie pani — stwierdza ochroniarz, zerkając na mężczyznę stojącego za mną. — Nie mogę pani wpuścić. Nie mam nikogo o takim nazwisku na liście.

— Może dlatego, że jestem świeżo upieczoną żoną — mówię najmilej, jak tylko potrafię. Uśmiecham się przy tym do giganta. Nie zamierzam jednak wyznać swojego prawdziwego nazwiska, ponieważ w tym świecie Maeve Whittaker jest uznana za martwą. — Jak mi wiadomo, partnerki również mają prawo do udziału w balu.

— To pańska małżonka? — Ochroniarz zadaje pytanie Gabrielowi. Ten chwyta mnie w biodrach i przyciąga do siebie. Od jego ciała emanuje ciepło.

— Oczywiście — odpowiada bez zająknięcia. Ochroniarz przez moment przypatruje się naszej dwójce z zainteresowaniem. Po kilku dłuższych chwilach odsuwa się od drzwi i je dla nas otwiera.

— Życzę państwu miłej zabawy.

Przechodzimy obok niego, a kiedy tylko znajdujemy się wewnątrz gigantycznego namiotu, uderza we mnie przepych tego miejsca. Przestrzeń wokół nas została bogato udekorowana. Kolorystyka jest ciemna, co pozwala do niej przypisać cechę tajemniczości. Krążący wokół ludzie są

elegancko ubrani. Przechadzają się powoli pomiędzy stolikami i powoli sączą szampana z czarnych kieliszków. Kelnerzy wirują pomiędzy gośćmi z gracją. Kilka par porusza się dookoła na parkiecie w takt muzyki. Delikatnie rozchyłam usta. *Pięknie tu.*

— Szampana dla państwa? — pyta jeden z kelnerów. Gabriel zabiera z jego złotej tacy dwa kieliszki. Jeden podaje mnie.

— Zdrowie mojej pięknej żony — mówi blondyn. Z wyrazu jego twarzy nic nie da się wyczytać. Jedyne z jego spojrzenia emanuje czułość.

— Zdrowie mojego przystojnego męża.

Stukamy się kieliszkami, wpatrując się w siebie jak w obrazek. Każdego dnia przypominam sobie na nowo, dlaczego kocham tego człowieka. Wystarczy, że zgubię się w jego oczach, a dociera do mnie, jak wielkie mam szczęście, że ten mężczyzna szaleje za mną tak samo, jak ja za nim. Powinnam podziękować wszechświatowi, że wybrał Gabriela na moją bratnią duszę. Upijamy łyk szampana. W tym samym momencie marszczymy nos.

— Ohyda — oceniam.

— Paskudztwo — kwituje w tym samym momencie. Uśmiechamy się do siebie, co pozwala nam oczyścić atmosferę. Nie widziałam go od dziesięciu lat, ale mam wrażenie, że znam go całe swoje życie. Wiem, co lubi, a czego nie. Znam jego sekrety i pragnienia. Byliśmy ze sobą bardzo blisko i mam nadzieję, że odbudujemy nasze relacje na nowo. Czuję, że damy radę stworzyć trwałą i wspianą relację. — *Pięknie wyglądasz.*

Dotyka mojego policzka wierzchem swojej dłoni. Delikatnie gładzi ten fragment mojego ciała.

— Ty też niczego sobie.

- Sugerujesz, że jestem piękny? — Unosi brew.
- Bardzo możliwe.
- Mae, mężczyźni nie są piękni. Co najwyżej przystojni.
- Mądrała.
- Z naszej dwójki ty zawsze bardziej się wymądrzasz.
- Bo jestem przepełniona inteligencją — stwierdzam kokieteryjnie. Delikatnie przygryzam dolną wargę, co od razu przykuwa uwagę Gabriela. Jego źrenice nieznacznie się rozszerzają, a dłonie dotykają moich bioder, emanując gorącem.
- Sądząc po sytuacji, w jakiej się znajdujemy, wątpię — odpowiada poważnie z nutką złości, lecz jego spojrzenie wyraża coś zupełnie innego: mieszaninę rozbawienia z czułością. Piorunuję go wzrokiem, choć nie potrafię zachować powagi. — Nie bocz się tak. — Nachyla się nad moim uchem. — Nawet nie masz pojęcia, jak to seksownie wygląda.
- To chyba dobrze — mamroczę pod nosem.
- Racja, ale to oznacza, że mam ochotę zedrzyć z ciebie wszystko, co masz na sobie, a przypominam, że znajdujemy się wśród groźnych ludzi.
- Zawsze mogą nas poobserwować — sugeruję tonem ociekającym flirtem. Przybliżam się do niego. Dzieli nas milimetry. Nasze oddechy łączą się ze sobą. Klatki piersiowe równomiernie się unoszą i opadają. Stajemy się jednością.
- Sprośnie, kochanie — uśmiecha się figlarnie. — Ale wolałbym się z nikim tobą nie dzielić.
- Między wami przepływają jakieś prądy elektryczne. — Męski głos tuż obok nas wyrywa nas z sensualnej chwili. —

Patrz, mordeczko! Jej włosy aż się unoszą. Jak kogoś dotknie, to zrobi niemałe wyładowanie elektryczne.

— Jak się masz, Payette? — Odwracam się w stronę ciemnowłosego mafiosa.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Niezmiernie mnie to interesuje — odpowiadam sarkastycznie.

— Cudnie! Kupiłem sobie nową limuzynę. Mam już trzy, ale myślę o zakupie czwartej. Tym razem złotej. Zainwestowałabym również w dedykowaną rejestrację. Co sądzisz o słowie „mordka?”

— Mordka? — pytam.

— No pocziwa mordka taka jak ja. — Szczerzy zęby w uśmiechu. — Poza tym są tu ludzie, którzy chcą nabić twoją główkę na pal. Mają już nawet dzidę.

— Szybka zmiana tematu — stwierdza Gabriel. — Gdzie są ci ludzie?

— Szukaj neandertalczyków z włóczyniami.

— A możesz mówić jaśniej? — dopytuje blondyn. Po tonie jego głosu sędzę, że powoli zaczyna tracić swoją cenną samokontrolę. Gabriel słynie z opanowania i niegwałtowności, lecz jeśli Bailey będzie wszystko przeciągał, zapewne zamieni się we wściekłego rottweilera.

— Ja pierdzielę! Ten twój chłop zapewne ma jakąś kolczastą łodygę w tyłku! — zwraca się do mnie Payette, ignorując blondyna.

— Może dlatego, że ktoś mi grozi, że mnie zabije? — sugeruję.

— Możliwe. — Drapie się po głowie. — No cóż, mordeczko. — Klepie Gabriela w ramię. — Nie pozwolę zginąć tak pięknej kobiecie.

— No ja myślę — mówię.

— Pod warunkiem, że staniemy się braćmi!

— Chodzi ci o sojusz? — upewnia się Gabe.

— Owszem. Gwarantuję, że na tym skorzystasz.

*Ciekawe, w jaki sposób. Trafi go szlag przez twoją ciągłą paplaninę czy oberwie ślepakiem za krzywe spojrzenie w twoim kierunku?*

— Ona ma być bezpieczna — mówi stanowczo Gabriel. Wyciąga dłoń w kierunku Payette'a.

— Jasna sprawa, ziomek. — Bailey ściska dłoń blondyna. — Umowa stoi.

— Jestem ciekawa, co ty na tym zyskasz — stwierdzam. Tak naprawdę nie potrafię znaleźć dobrego wytłumaczenia postępowania ciemnowłosego mafiosa. Nie chciał wchodzić w układy z moim bratem ani nikim innym, więc dlaczego teraz zależy mu na współpracy z Gabrielem?

— Lepiej mieć przy sobie godnych zaufania ludzi — odpowiada z powagą. — Czasy są niepewne. Brat zabija brata. Siostra wyrywa włosy siostrze. Teraz pieniądze i władza rządzą światem. Byłem świadkiem, jak kilkunastu bossów mafijnych, posiadających spore imperium, traci wszystko, łącznie z własnym życiem. Dlatego szuka się sojuszników, którym można zaufać. Tobie zaufałem, Mae, dlatego uważam, że współpraca z Reedem będzie owocna i każdy z nas dobrze na tym wyjdzie. On będzie mógł zawsze liczyć na mnie, a ja na niego.

— Prawie jak rodzina — stwierdzam.

— Lepiej niż rodzina. Na własną rodzinę zazwyczaj nie można liczyć.





## W rytmie kupidyna

Kiedy oddałam sygnet Payette'owi, zrobiło się niemałe poruszenie. Najpierw doskoczyło do nas trzech mężczyzn. Każdy z nich wyglądał, jakby miał co najmniej sześć stóp wzrostu. Nie wyglądali na przyjemnych. Nie byli skłonni do rozmowy. Chcieli jednego — sygnetu. Bailey ot tak im go oddał, jakby nic dla niego nie znaczył.

— Jaja sobie robisz? — pytam, kiedy zamieszanie wokół nas się zakończyło. Goście rozeszli się po całym namiocie, bawiąc się w najlepsze, a mężczyźni w czerni udali się do wyjścia ze swoją zdobyczą.

— Nie, czemu? Nie muszę sobie ich poprawiać. Są idealnie krągłe.

Wybałuszam oczy i rozdziawiam usta. Czy on właśnie stroi sobie żarty? W takiej sytuacji?

— To jej grożono śmiercią przez kawałek złota, a ty tak po prostu go oddałeś? Po co? — pyta Gabriel, a jego głos jest całkowicie przepelniony złością. Zaciska szczękę tak mocno, że widać jego wszystkie kości policzkowe. Usta sznurują w wąską kreskę.

— Robicie z igły widły — wzdycha Bailey. — Chcieli sygnet, to im go dałem. — Wzrusza ramionami, a po chwili sięga do

kieszoni w swoich spodniach od garnituru. Wyjmuje z niego małą kartę pamięci. — Nie sprecyzowali, że chcą go z zawartością. Debile.

— Kiedy ty to wyciągnąłeś? — pytam sfrustrowana.

— Mam magiczne paluszki.

— Ja pierdołę, nie wierzę! — warczy Gabriel. — Zwariuję!

— Kochasz mnie, mordeczko. — Cmoka w jego kierunku Bailey.

— Na ten moment mam cię dość.

— No już nie obrażaj się tak na mordeczkę Bailey. — Gabriel piorunuje go wzrokiem.

— Mówisz o sobie w trzeciej osobie? — pytam z rozbawieniem.

— By zaakcentować swoją wspaniałą osobę. — Kłania się. — A teraz spadam! Gdzieś widziałem tutaj seksowną kelnerkę! Bajlando!

Zostawia nas samych, zgrabnie lawirując pomiędzy innymi ludźmi. Szybko znika nam z zasięgu wzroku.

— Ciekawy człowiek — stwierdzam.

— Dość wkurzający.

— Przyzwyczaisz się.

— Oby nie. — Zerka na mnie spod byka. — Mam nadzieję, że znudzi mu się nasz sojusz.

— Dlaczego jesteś tak sceptycznie nastawiony?

— Bo coś kręci.

— Bywa szczery. Pomógł mi zwać od Dirka.

— Dając ci sygnet, który potem wręczył tym facetom.

— Ale bez zawartości — mówię z przekonaniem. — Bailey jest w porządku. Trzeba dać mu szansę. Poza tym przyda ci się wsparcie w razie niespodziewanych kłopotów.

— W które ty mnie wpędzisz? — pyta z wesołością.

— Być może — przyznaję zgodnie z własnym przekonaniem. Jestem pewna, że prędzej czy później wpędzę się w jakieś nowe tarapaty, z których trzeba będzie mnie wyciągać. Ja to ja. Nie zmienię się już. Nie da się nauczyć ostrożności. *Wcale nie chcesz zdobyć tej umiejętności. Podnieca cię fakt, że masz rycerza, który wyciąga cię z opresji.*

— Osiwieję z tobą.

— W takim razie będziesz seksownym dziadkiem.

— Pochlebstwa i komplementy z twoich ust? — droczy się zalotnie. — Jestem zaszczycony. — Spogląda na mnie, a jego twarz nabrała już łagodnego wyrazu. Jego sceptycyzm co do Baileya zniknął. Chyba nawet zapomniał, że po powrocie do domu musimy zmierzyć się z Dirkiem. Wątpię, aby mój brat odpuścił sobie sprowadzenie mnie z powrotem do Austin. — Zatańczymy?

## **Gabriel**

Wraz z pierwszymi taktami tanga chwytam Maeve mocno za biodra. Przysuwam ją do siebie, by dobrze czuć jej miękkie i ciepłe ciało. Ta kobieta to moja zguba. Jej oczy są odzwierciedleniem jej duszy, która jest szczerą w swoich uczuciach. Wystarczy, że w nie spojrzę, i już wiem, że jestem przez nią kochany. *Pierwszorządne uczucie.*

Ciemnowłosa piękność jedną dłonią chwytam mnie za szyję, a drugą układa na moim ramieniu. Tańczymy ze sobą — ciało przy ciele. Dusza z duszą. Jej dotyk jest palący. Czuję każdy skrawek jej skóry. Pragnę jej skosztować. Chcę mieć ją dla siebie na zawsze. W tym momencie nie chcę zachodzić w głowę na temat motywów Payette'a ani

zastanawiać się nad działaniami Dirka. Ze wszystkim sobie poradzę, byle Mae była przy mnie bezpieczna. Spędziliśmy oddzielnie aż dziesięć długich lat. Następne dziesięć spędzimy, nadrabiając stracony czas, a przez następne długie lata wciąż będziemy w sobie szaleńczo zakochani. Tego uczucia nie zgasiła długa rozłąka, więc nic nigdy nie będzie w stanie ugasić tego płomienia. Ja dla niej płonę. Czuję się tak samo jak nastoletni Gabriel, który nie potrafił pohamować swoich buchających hormonów.

Ten taniec to erotyczna gra toczona pomiędzy naszą dwójką. Nasze ruchy są przepełnione pożądaniem. Widzę w jej spojrzeniu pasję, która podnieca mnie do granic możliwości. Wybrzuszenie w moich spodniach jest przez nią wyczuwalne. Ociera się o moją męskość. Wiem, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Jej kokieteryjny uśmiech zdradza jej zamiary. *Ta mała kusicielka chce, bym wzniósł nas na wyżyny rozkoszy.* Zrobię to. Niech mnie piorun trzaśnie. Zrobię to!

Obracam ją o trzysta sześćdziesiąt stopni, a następnie mocno przyciągam ją do swojej klatki piersiowej. Sunę dłonią po jej plecach aż do łuku pośladków. Głowę układam przy jej włosach, by wyszeptać jej do ucha pewną obietnicę.

— Kiedy wrócimy do hotelu, sprawię, że będziesz wykrzykiwać moje imię przez całą noc.

— W takim razie co my tu jeszcze robimy?

— Doskonałe pytanie — uśmiecham się figlarnie. — Chodźmy.



## Pod gwiazdami

Chichoczę podczas biegu. Gabriel ciągnie mnie za sobą, co z punktu widzenia osoby trzeciej musi wyglądać dość zabawnie. Barczysty, wysoki mężczyzna truchtem przemierza chodnik, mocno ściskając dłoń kobiety, która ledwie za nim nadąża. Już jakiś czas temu zgubiłam swoje buty, ale kto by teraz o nich myślał? Moje bose stopy uderzają o kostkę chodnikową z cichymi plaśnięciami. Moja długa sukienka jest rozwiewana przez poddmuchy wiatru. Gabriel również głośno się śmieje, co jest zaraźliwe. *Jesteście świrnięci, Mae. Biegniecie nocą po opustoszałych ulicach Waszyngtonu, zamiast wrócić do hotelu taksówką jak normalni, cywilizowani ludzie. Choć tak jest zapewne romantyczniej.*

— Dlaczego biegniemy? — pytam, ciężko oddychając. Cóż, moja kondycja jest zerowa, więc taki trucht to dość spory wysiłek dla mojego leniwego tyłka.

— A bo ja wiem? — parska śmiechem Gabriel.

Zatrzymuje się, abyśmy mogli złapać oddech. Odwraca się w moją stronę, a na jego twarzy widnieje najszczęśliwszy uśmiech, jaki kiedykolwiek u niego widziałam. Kiedy ujrzałam go pierwszy raz po dziesięciu latach rozłąki, w jego oczach ujrzałam szok, niedowierzanie oraz nadzieję. Dziś

dostrzegam w nich euforię. Wygląda jak nastoletni Gabe, z którym spędzałam każdy dzień. Ten sam uśmiech pełen radości. To samo spojrzenie napełnione promykami nadziei. Głębokie dołeczki w policzkach świadczące o szczerości jego uśmiechu. On niczego nie udaje. Widzę w nim to samo, co dostrzegam u siebie, patrząc w lustro — rozradowanie, zachwyty, wewnętrzną harmonię i pogodę ducha. Wpatrujemy się w siebie jak w obrazek. Dla mnie Gabriel to idealne odwzorowanie męskiej rzeźby. Proporcje jego ciała są dobrze wyważone. Nigdzie nie jest go za dużo ani w żadnym miejscu nie jest go za mało. *Powiedz sobie szczerze, Mae. Jesteś szczęściarą. To ciacho pełne dobrego wnętrza jest twoje!* Racja. Mężczyzna, który stoi tak blisko mnie, a zapach jego perfum jest mocno wyczuwalny, należy do mnie.

Z figlarnym uśmieszkiem popycham blondyna na ścianę kamienicy. Gabe krzywi się nieznacznie, lecz szybko ukrywa ten grymas poprzez prychnięcie.

— Skąd w tobie tyle siły, mała?

— Mała? — Unoszę brew.

— Zdecydowanie jesteś mniejsza ode mnie — odpowiada z szelmowskim uśmiechem.

— Za to cycki mam większe — mówię z rozbawieniem. Gabriel momentalnie zerka na mój dekolt. Przyciąga mnie za biodra do siebie. Na brzuchu wyczuwam jego nabrzmiąłą męskość. *Nie powiem, Mae. Podniecająca sytuacja. Wy. Sami. W nocy. Na ulicy. Korzystaj...*

— Trudno się nie zgodzić — mamrocze pod nosem.

Unoszę jego głowę, dotykając jego ogolonej brody, a następnie wpijam się w jego wargi. Gabe od razu reaguje. Jego język wdiera się do środka, rozpoczynając pełen erotyzmu taniec z moim językiem. Chłoniemy siebie z każdą chwilą. Mój umysł się wyłącza. Ciało samo reaguje,

ukazując, czego tak naprawdę chce. Ocieram się o niego każdym centymetrem swojej sylwetki. Dłońmi badam każdy skrawek jego skóry. Silne ramiona blondyna unoszą mnie. Ledwie rejestruję, że jestem niesiona. Nie wiem, dokąd, lecz marsz Gabriela nie trwa długo. Kiedy mnie puszcza, a moje stopy znów dotykają chłodnego chodnika, jego dłoń wsuwa się pod materiał mojej sukienki, a kiedy dotyka najwrażliwszego miejsca kobiety, jęczę prosto w jego usta.

— Rób tak dalej, a wezmę cię w tym ciemnym zaułku — kwili tuż przy moim uchu.

— Na co czekasz? — dyszę, ocierając się swoją kobiecością o jego dłoń. — Chcę ciebie. Teraz!

— Tutaj?

— Teraz!

Jego usta ponownie dopadają moje. Pocałunek jest na tyle silny, bym zapamiętała go na długo. Jego wargi miażdżą moje. Wbijam paznokcie w skórę na jego szyi. Jęczę, kiedy jego zgrabne palce pieścą moją łechtaczkę. Idealnie trafia w najczulszy punkt. Przez moje ciało przechodzą impulsy. Pragnę go poczuć. Chcę go całego. Wyginam plecy w łuk, dając blondynowi dostęp do mojej szyi. Kiedy tylko jego usta dotykają tam skóry, rozpadam się w jego ramionach. Drgam, odczuwając rozkosz, której nie da się opisać słowami.

Po chwili Gabriel odsuwa się, lecz wciąż podtrzymuje moje zwiotczone ciało.

— Nigdy nie znudzi mi się widok twojej twarzy, kiedy dochodzisz — stwierdza dumnie. Nie od dziś wiadomo, że każdy mężczyzna podbija swoje ego, kiedy doprowadza swoją partnerkę do niebiańskiego orgazmu.

— A jak wygląda ten wyraz twarzy? — pytam kokieteryjnie.

— Erotycznie, pięknie i podniecająco — odpowiada z powagą. — Nie jestem jednak pewien, czy chcę teraz o tym rozmawiać. Wolałbym mieć cię w łóżku, by raz po raz dostrzegać tę rozkosz, która ogarnia twoje rozgrzane ciało.

— Daleko mamy do hotelu?

— Całe, kurwa, szczęście, nie!





## Futrzak na wycieraczce

Te dwa dni, które spędziłam razem z Gabrielem w Waszyngtonie, pozwoliły mi odetchnąć. Potrzebowałam takiego czasu, by odpocząć i oczyścić umysł, dlatego powrót do Wasilli wcale mnie nie cieszył. Mimo że to w tym małym, górskim miasteczku odnalazłam swoją bratnią duszę, nie potrafię nazwać tego miejsca domem. Może dlatego, że społeczeństwo jest tutaj dość zawistne. Nie powinnam się tymi ludźmi przejmować i zapewne całkowicie zignorowałabym ich obecność, gdyby ktoś nie podrzucił mi pod drzwi mojego mieszkania zdechłego królika. Ten ktoś pozostawił również wiadomość skierowaną do mnie: *Następne ciało, jakie będzie spoczywać na tej wycieraczce, będzie twoje.* To wystarczyło, abym podjęła decyzję o przeprowadzce do siedziby klubu. Nie mogłabym spokojnie spać ze świadomością tych gróźb pod moim adresem. Martwego ciała futrzanego zwierzaka nie da się zignorować. To jasny znak, że ktoś bardzo mnie tutaj nie lubi. Nie da się ukryć, że określając głośno swój stosunek do Gabriela, narobiłam sobie wrogów. W całym mieście jedynymi osobami, do których mogę się odezwać, są degeneracji oraz Ruth. Boję się jednak, że utrzymywanie kontaktu z rudowłosą sprowadzi na nią kłopoty i ona również dostanie wiadomość

z pogroźkami, którą odnajdzie przy ciele martwego, zakrwawionego królika. W dodatku najnowszy wpis Jeffersona wywołał wśród mieszkańców niezadowolenie.

## **RÓWIEŚNICZKA DIABŁA**

Kilka dni temu odwiedziła mnie Maeve Whittaker. Tak, to ta sama dziewczyna, która według Kaydena Wilsona została uprowadzona przez klub degeneratów. Jak się okazało, historia opowiedziana przez pana Wilsona nie ma nic wspólnego z prawdą. Pragnę zaznaczyć, że celem mojego bloga nie jest rozsiewanie plotek, dlatego chciałbym sprostować nieścisłości.

Moim zdaniem Kaydenem Wilsonem kieruje machiawelizm. Tym, którzy nie znają tego pojęcia, wyjaśnię. Machiawelizm oznacza manipulację innymi, by osiągnąć znane tylko sobie zyski. Niestety nie mam pojęcia, dlaczego pan Wilson postanowił przedstawić siebie jako bohatera w oczach nas wszystkich. Jak się okazuje (sądzę, że te informacje są rzetelne), bohaterem Maeve Whittaker okazał się sam Gabriel Reed.

Tak, moi drodzy. Mowa tutaj o szefie klubu degeneratów, który w oczach nas wszystkich kreuje się na bezwzględny su\*\*\*\*\*a.

Nie da się ukryć, że ja, tak samo jak wy, obawiam się o swoje życie. Nie znamy tego klubu ani jego członków. Słyszemy za to o nich bardzo nieprzychylnie historie i komentarze, lecz byłbym niesprawiedliwy, mówiąc, iż Gabriel Reed nie wykazał się sercem. Uratował kobietę, która nie zasłużyła na to, by zginąć. Faktem jest to, że ataku dokonał jeden z członków klubu — Wielki Mo (jego prawdziwej tożsamości nie udało mi się ustalić), lecz to była indywidualna decyzja tego degenerata, by zaatakować.

Chcę zaznaczyć, że Gabriel Reed wydobrzeźał i wraca do zdrowia we własnym domu. Euforia, jaką wywołała jego „śmierć”, była przedwczesna i jeśli mam być szczerzy, niesmaczna. Mimo że ten

klub nam zagraża, radość z czyjejs śmierci to grzech, a z grzechu powinniśmy się wyświadczyć.

Pan Wilson wykazał się brakiem taktu, podając mi fałszywe informacje. Jaki był cel kreowania się na bohatera? Zawieść? Chęć zwrócenia na siebie uwagi? Nie mam pojęcia. To zostanie tajemnicą Kaydena, a tym czasem chcę zaznaczyć, że człowiek, który uznany jest za truciznę tego miasta, poświęcił się, by ratować niewinną kobietę.

Frederick Jefferson

Pod tym wpisem pojawiła się setka rozgniewanych komentarzy:

Skończyłeś się, Jefferson! Nastraszyli cię, abyś przestał pisać o nich prawdę! Jesteś zakłamanym cwelem!

Niewinną kobietę? Co ty pieprzysz! Ta baba to jego prywatna dziwka! Jebie ją, jak chce i kiedy chce! Nie chciał tracić całkiem ładnej dupy, dlatego przyjął na siebie ten zasrany pocisk!

Ta mała suka niby jest niewinna? Ile ci zapłaciła, abyś pisał o niej i jej klubiku w samych superlatywach?

To ma być rzetelna wiedza? To kłamstwa! Który z tych sukinsynów trzymał ci spluwę nad głową, kiedy to pisałeś?

O jakim grzechu ty pieprzysz? Nie będę się spowiadał z nienawiści do tego klubu! Panoszą się, gdzie chcą, i myślą, że to miejsce należy do nich! Niech zdechną!

Reed ma serce? Najlepszy żart, jaki czytałam! Ha! Ha! Ha!  
Uśmiełam się do łez. Skończyłeś się, Jefferson.

Trzymasz z klubem? Jesteś śmieciem!

Pośród wielu negatywnych komentarzy, jeden zwrócił moją szczególną uwagę. Nie dlatego, że miał zły wydźwięk.

Wręcz przeciwnie — był miły. Osoba, która go napisała, ma również dość interesujący nick.

**AAamber:** Dlaczego wszyscy są tacy niemili? Frederick napisał przychylny wpis na temat degeneratów nie dlatego, aby się przypodobać klubowi, lecz dlatego, że wcześniejszy wpis był fikcyjną historyjką Wilsona. Przecież sam zaznaczył, że nie chce, aby jego blog opierał się na kłamstwach. Tylko dobry dziennikarz przyzna się do pomyłki. Zgodzę się, że wielu z nas boi się tych ludzi, ale według mnie nie są wcale tacy groźni. Odpowiadają „dzień dobry”, kiedy ich mijam, zazwyczaj są uśmiechnięci, nie wtrącają się do życia lokalnego. Są, ale nie robią nikomu krzywdy.

To jest jedyny przychylny komentarz. Oczywiście nie został on miło przyjęty. W ciągu kilku minut doczekał się dość niefajnych odpowiedzi:

W jakim wyimaginowanym świecie żyjesz? „Dzień dobry” możesz powiedzieć swojej sąsiadce!

Zakochałaś się w którymś z tych czubków? A może słońce cię za bardzo przygrzało?

Jesteś żalną dziewczuchą! Bronisz ludzi, których nie znasz? A może podajesz się za całą rówieśniczkę naszego diabła, co? Tylko ona przedstawia ich w dobrym świetle!

Nie robią krzywdy??? A co z porwaniami? Morderstwami? Zaginionymi dziećmi? Kradzieżami? Gwałtami?

Odpowiedz Amber zaskoczyła mnie na tyle, że chciałabym ją poznać osobiście. Poza tym to imię... Gabriel ją zna. Dba o nią. Pilnuje i zapewnia bezpieczeństwo. Kim ona dla niego jest? *O ile autorką tego komentarza jest ta sama Amber, o której wspominał Kirk, Mae. Nie masz pewności, że AAamber to ta sama Amber.*

**AAamber:** Chciałabym zaznaczyć, że mój komentarz to subiektywna opinia. Nikt nie musi się z nią zgadzać. Z tego, co mi wiadomo,

każdy z nas ma prawo do wypowiedzania swojego zdania. Osobiście jestem kulturalną osobą, a to oznacza, że nie przepadam za używaniem przekleństw i wyzwisk, lecz państwa bojowe nastawienie wręcz nasuwa pewne słowa na myśl: „Kurwa, co za ciemnogród”. Wypowiedziałam swoją opinię, sugerując się własnymi obserwacjami, a państwo powtarzają po sobie bezsensowne frazesy. Zaznaczę, że nie wszystko, co podaje nam lokalna gazeta, wydawana przez samego burmistrza, jest prawdą. Urząd tego miasta od lat buduje nienawiść do ludzi, którzy nie chcą się podporządkować zasadom tego miejsca. Oni mają własny kodeks postępowania i nie mnie to oceniać. Chcą żyć poza prawem, proszę bardzo. Dopóki nikomu nie wyrządzają krzywdy, mogą nawet pić z nimi szampana i wymieniać się uściskiem dłoni.

Inteligentna odpowiedź ewidentnie zamknęła każdemu usta. Nikt więcej już nic nie napisał pod jej komentarzem. *Interesująca dziewczyna.*

— Co robisz?

Podskakuję.

— Rany! Gabe! Nie zakradaj się tak.

Spoglądam na niego i dotykam miejsca, w którym ulokowane jest serce. Mój plus zdecydowanie przyśpieszył. *Zupełnie jakbyś popełniała jakieś przestępstwo, kochaniutka.*

— Co za bojaźliwa baba mi się trafiła — stwierdza z wesołością.

— Nieprawda! Po prostu chodzisz po tym domu jak ninja!

— Chyba naoglądałem się za dużo *Wojowniczych żółwi ninja*. Samo weszło w nawyk.

— No tak. Zapomniałam, że jesteś fanem kreskówek — drocę się.

— To nie jest kreskówka!

— Bajka animowana?

— Lepiej już nic nie mów — sugeruje, po czym sięga do szafki po opakowanie z kawą. — Chcesz? — Wskazuje pudełko.

— Nie, dzięki.

— Na pewno? — Unosi brew.

— Tak.

— Ale tak na sto procent?

— Rany! Tak! Nie chcę kawy.

— Dobra. — Wzrusza ramionami. — Ale potem nie stękać, że ci nie zrobiłem.

— Przecież nigdy tego nie robię! — Gabe spogląda na mnie pobłaźliwie. *Robisz to, Mae. Zawsze!* Racja. Zazwyczaj nabieram ochoty na coś do picia bądź jedzenia dopiero wtedy, gdy ktoś coś dla siebie przygotowuje. Staję się wtedy przylepą, która podjada z jego talerza, czego Gabe nie znosi. To duży mężczyzna, który potrzebuje przyjąć sporo kalorii, a kiedy mu podkradam posiłki, traci co najmniej połowę zawartości talerza. — No dobra. Zrób.

— Tak też myślałem. — Odwraca się w stronę kuchenki gazowej, dzięki czemu mam doskonały widok na jego wyrzeźbione plecy. — Więc co przeglądałaś?

— Kim jest dla ciebie Amber?



## Wrażliwe serce

Przez chwilę jedynym dźwiękiem słyszonym w kuchni jest woda, która nalewa się do czajnika. Dopiero po kilku sekundach Gabe zakręca kran, odstawia naczynie na gaz i z powrotem odwraca się w moją stronę.

— Masz jakieś przypuszczenia?

Opiera się o drewnianą szafkę. Krzyżuje ręce na piersi i przygląda się mojej twarzy z ciekawością. Jego mina nie wyraża złości, dezorientacji czy paniki. Blondyn stoi spokojnie, jakby pytanie o Amber wcale go nie zaskoczyło ani nie przestraszyło. *Czyli nie boi się twojej reakcji, Mae. Możesz odhaczyć z listy podejrzeń kochankę.*

— Zakładam, że to ktoś bliski — sugeruję niepewnie.

— Dlaczego?

— Dbasz o nią. Zdenerwowałaś się, kiedy Kirk wspomniał, że stała jej się krzywda.

— To jedyna rodzina, jaką mam. A raczej miałem. — Jego spojrzenie mięknie. — Teraz mam jeszcze ciebie.

Serce w mojej piersi podskakuje. Jestem jego rodziną... Nic lepszego nie mógł mi wyznać.

— To jakaś twoja kuzynka?

— Nie, siostra.

— Ty masz siostrę? — pytam, a moje zdziwienie jest autentyczne. Nie miałam pojęcia, że Gabriel ma rodzeństwo. Nigdy nawet nie pisał o tym słowem. Spędzaliśmy ze sobą czas od dnia, w którym się poznaliśmy, do dnia jego wyjazdu i ani razu nie wspomniał o żadnej Amber. Dlaczego?

— Zaskakujące, co? — Z kieszeni spodni wyjmuję portfel, a z niego pomiętą fotografię. Podaje mi ją, a moim oczom ukazuje się mała, blondwłosa dziewczynka, której oczy są dokładnie takie same, jak u Javiera Blacka. Pamiętam je doskonale. Czarne, duże z grubymi rzęsami. — Na tym zdjęciu ma niecałe sześć lat. Przypomina mi mojego ojca, choć ona nigdy nie była okrutna. Wręcz przeciwnie, to dobra, miła i poukładana dziewczyna. Pojawiła się w naszym domu, gdy miała dwa latka. Dokładnie rok po tym, jak złożyłem ci obietnicę, że cię odnajdę. Jej matka była dłużniczką mojego ojca. Wisiała mu fortunę, więc aby spłacić swoją pożyczkę, zaczęła z nim sypiać. Wtedy uznała, że jeśli zajdzie w ciążę, mój ojciec potraktuje ją jak kogoś ważnego i odpuści jej dług. Stało się inaczej. Wyrzucił ją z naszego domu, kiedy okazało się, że spodziewa się dziecka. Po dwóch latach w moim ojcu zaszła dziwna zmiana. Jakby ruszyło go sumienie. Wiedział, że jego córka żyje ze swoją matką na ulicy, więc zrobił dwie rzeczy. Zabił Emmę za niespłacone długi, a Amber przyprowadził do domu.

— Paradoks Javiera Blacka — stwierdzam. — Rusza go sumienie i ratuje własną córkę, lecz nie żałuje zamordowania jej matki?

— Z moją zrobił to samo — odpowiada ze smutkiem. — Amber przynajmniej tego nie widziała.

Mam ochotę wstać i go objąć. Nie robię tego jednak, ponieważ wiem, że mnie odepchnie. Nie chce, aby ludzie



widzieli w nim kogoś słabego. Nieliczni wiedzą, że śmierć matki go złamała. Z tego, co twierdził dekadę temu, to jedyne wspomnienie, które wciąż jest żywe, a kiedy powraca, zawsze boli tak samo. Po wyrazie jego twarzy stwierdzam, że nic do tej pory się nie zmieniło. Przede mną jest mężczyzna, który ma złamane serce, a jego umysł zatruwa obraz morderstwa jego ukochanej mamy — kobiety, która pokazała mu, jak powinno się kochać.

— Przynajmniej jej nie zniszczył dzieciństwa.

— Na swój sposób ją kochał. W niej widział siebie, a we mnie moją matkę. Miał nadzieję, że Amber stanie się taka jak on. Mnie uważał za mięczaka — wzdycha. — Tak też się czuję. Stoję na czele klubu, dbam o interesy i o swoich ludzi, lecz nie czerpię z tego radości. Kiedy trzeba, staję się chujem, a w innych przypadkach miękką fają.

— Nie każdy przedstawiciel klubu musi kierować się okrucieństwem — zapewniam go. — Klub motocyklowy nie musi kojarzyć się z czymś groźnym. Łączy was pasja do motocykli i motoryzacji. Łączą was więzi rodzinne i braterskie. To jest klub, w którym siebie widzę. To miejsce, które sam stworzyłeś, dlatego jest wyjątkowe.

— Mae, mamy krew na rękach. Nasze interesy są nielegalne. To wcale nie jest dobre miejsce.

— Jest.

— Nie jest! — Uderza dłonią w blat stołu. — Nie próbuj mi wmówić, że to, co robimy, jest dobre. Sprzedajemy broń i narkotyki. Pożyczamy pieniądze, a potem odzyskujemy je ze sporą prowizją. Czasem za pomocą drastycznych środków. Nie wszystko to, co o nas mówią, jest kłamstwem.

— Prowadzicie też bar i warsztat samochodowy. Nie krzywdzicie nikogo, kto nie pożyczył od was pieniędzy. Z tego, co mi wiadomo, nikt nikogo nie porywa ani nie gwałci.

— Są pewne zasady, lecz to nie oznacza, że możesz mi przykleić łatkę tego dobrego.

— Dla mnie jesteś dobry.

— Staram się być, lecz nie czuję się wystarczająco dobry.

— Dbasz o Amber. Dbasz o mnie. Dbasz o swoich ludzi. Nic więcej nie trzeba, abym tak uważała. Masz dobre serce — mówię niemal płaczliwie. Jest mi przykro z racji tego, że Gabriel postrzega siebie w negatywnym świetle. — Zawsze miałeś je wielkie, czułe i otwarte. Budzisz uczucia, o których ci się nie śniło. Każdy, o kogo dbasz, cię ceni. Zapewniam.

— Mae, nawaliłem z Amber — wyznaje cicho.

— To znaczy?

— Nie zaopiekowałem się nią. Miałem zaledwie dziewiętnaście lat, gdy mój stary kopnął w kalendarz. Amber miała sześć lat, gdy straciła swojego ukochanego tatusia, a ja nie nadawałem się na rodzica, dlatego trafiła do rodziny zastępczej. Gdy ja zająłem się klubem ojca, Amber została adoptowana przez bezdzietną parę, a wtedy dotarło do mnie, że właśnie straciłem siostrę. Pomimo to wiedziałem, że Sheltonowie zajmą się nią lepiej, niż zrobiłbym to ja, dlatego postanowiłem się o nią nie starać. Nie walczyłem, by została ze mną. Gdy tylko uporałem się z przekrętami ojca, odszukałem ją, ale nie chciałem mieszać jej w życiu, dlatego staram się dbać o jej bezpieczeństwo z daleka.

— Mieszka tutaj, w Wasilli, prawda?

Przytakuje.

— To stąd pochodzą Sheltonowie. Przeniosłem tutaj klub pięć lat temu i zmieniłem nazwisko, ponieważ Amber to wciąż Amber Black. Wiedziałem, że bardzo łatwo powiążą mnie z nią. A nawet jeśli nie, ktoś w końcu zacząłby węszyć.

Nie chciałem, aby ktokolwiek wiedział, że łączą nas więzy krwi, bo to oznaczałoby dla niej problemy. Jestem szefem klubu motocyklowego, a nazwisko mojego ojca jest splamione krwią niewinnych osób, o czym nikt się nie dowie, bo nikt nie wie, że to jest również moje nazwisko. Nikt nie będzie przecież jej sprawdzał, prawda? Nie ma do tego żadnych podstaw.

— Amber miała sześć lat, gdy was rozdzielili, ale pewnie pamięta, że ma brata — sugeruję.

— Może. — Spogląda na zdjęcie siostry. — Ale wolę, żeby nie wiedziała, że jej brat był przy niej cały czas i nie obronił jej. — Pierwszy raz widzę, jak ten względnie silny mężczyzna się rozkleja. — Trzy miesiące temu, zanim tu przyjechałaś, Amber została zgwałcona. Nie było mnie wtedy w mieście, dowiedziałem się tego od pieprzonego Jeffersona z jego bloga. Oczywiście mnie o to oskarżono — parska śmiechem. — Uznano, że wszystko, co złe, to wina Reeda. Mae... — Głos mu się łamie. — Gwarantuję, że zabiję skurwiela, który jej to zrobił.

— Wiesz, kto to?

— Nie, ale pracuję nad tym.

— Znajdziesz go — stwierdzam z pewnością. — I wymierzysz mu należytą karę.

— Wiele razy chciałem zapukać do drzwi Sheltonów i ją przytulić, ale przecież jestem tylko zwykłym chujem, który terroryzuje miasto. Ona zapewne też tak myśli, dlatego lepiej, aby nie wiedziała, kim stał się jej brat. Tak jest bezpieczniej dla niej. Mam sporo wrogów, nie chcę, aby ona ponownie ucierpiała przez moją reputację i nieuwagę.

— Wcale cię nie nienawidzi. — *Oby to była ta Amber...*

— Nie możesz tego wiedzieć.

— Mogę — uśmiecham się, a następnie wstaję z krzesła i zabieram ze sobą tablet. — Spójrz. — Wskazuję mu komentarz. — Nie jestem pewna, lecz wydaje mi się, że dziewczyna, która to napisała, to właśnie twoja młodsza siostra.



## Mur z kolczatki

— Nie sądzisz, że wyglądam w tym grubo? — pyta Ruth podczas przymierzania sukienki w groszki. Opieram się o drzwi przymierzalni i przyglądam się koleżance. Rudowłosa ma doskonałą figurę w kształcie idealnie proporcjonalnej klepsydry. Obcisła sukienka wygląda na niej obłądnie, dlatego nie rozumiem, dlaczego uważa, że ją pogrubia.

— Nie, jest świetna.

— Hm, no nie wiem... — Przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. — Wydaje mi się, że nie pasuje mi ten krój.

— Mówisz tak przy każdej sukience.

— Może dlatego, że preferuję noszenie spodni.

— To dlaczego teraz próbujesz przekonać się do sukienek?

— pytam z zainteresowaniem, które wzrasta, kiedy na policzkach Ruth pojawia się krwisty rumieniec. Unoszę brew, co dziewczyna zauważa w lustrzanym odbiciu. Spuszcza spojrzenie na swoje dłonie. — No? — ponaglę ją.

— Umówiłam się na randkę. — Przygryza wargę ze zdenerwowania.

— To cudnie! Z kim? — mówię podekscytowana.

— Z takim jednym Louisem. — Spogląda na mnie. — Denerwuję się, że mi się nie spodoba, bo wiesz... — przerywa na dłuższą chwilę. Cierpliwie czekam, aż coś dopowie. Mija kilka sekund, zanim rudowłosa decyduje się kontynuować. — Podoba mi się ktoś inny, lecz on chyba nawet nie wie o moim istnieniu, więc postanowiłam dać szansę mojemu sąsiadowi. Louis jest miły, naprawdę, ale...

— Pociąga cię pewien brodaty facet z skórzanej kurtce? — wtrącam, uśmiechając się szeroko. Pamiętam, jak pierwszego dnia mojego pobytu w tym mieście Kirk zawitał do *Aroma Amore*. *Ruth wtedy była zachwycona, że ją dostrzegł.*

— Hm, może?

— Tak przypadkiem wiem, gdzie pracuje — stwierdzam z udawanym lekceważeniem. — Myślę nawet, że jest samotnym mężczyzną, któremu brakuje wyjątkowej kobiety przy boku.

— Przestań! Nie jestem nikim wyjątkowym!

— Uratowałaś Gabriela — mówię z powagą. W moim głosie słychać szczerą połączoną z wdzięcznością. Gdyby nie fakt, że to właśnie ona operowała Gabe'a, zapewne bym go straciła. Wątpię, aby jakikolwiek inny lekarz chciał walczyć o jego życie. Będę jej za to wdzięczna już zawsze. — Utrzymujesz ze mną kontakt, mimo że jestem tutaj nielubiana. Przyklejono mi łatkę wroga mieszczańskiego — parskam śmiechem.

— Jesteś o stokroć lepszą osobą niż cała reszta tych zasranych ludzi.

— Jeszcze Louis jest miły — sugeruję.

— Niby tak, ale gdyby się dowiedział, że ciągnie mnie do Kirka...

— Ach! Czyli dobrze myślałam — śmieję się. — Ruth i Kirk. Ładnie brzmi.

— Wcale nie — spiera się, choć jej twarz rozjaśnia promienny uśmiech. — No, może trochę tak.

— Dlatego na twoim miejscu zrezygnowałabym z randki z sąsiadem.

— On mnie przynajmniej dostrzega.

— Kirk również.

— Nie możesz tego wiedzieć.

— Rany! Dlaczego każdy mi to mówi? — *Bo się wymądrzasz, Mae. Mało wiesz, a wiele mówisz.* Hm. Coś w tym jest. — Dobra, nieważne — dopowiadam, zanim rudowłosa odpowiada. — Chodźmy może na drinka, co? Kirk robi zajebiste alkoholowe bomby. — *Są paskudne.*

— Co to?

— Taki babski drink.

— Nazwa wskazuje na coś zupełnie innego.

— Dasz wiarę? — śmieję się. — Też się dałam na to nabrać — kwituję sarkastycznie. — To co? Drink?

— Będzie tam Kirk?

— Oczywiście, że tak. Pchnę cię w jego ramiona.

~\*\*\*~

Kiedy wychodzimy z miejscowego butik, stoję jak wryta na samym środku chodnika. Nie potrafię się ruszyć, jakby sparaliżowało całe moje ciało. *Nie, proszę. Nie dziś. Wpatrują się we mnie oczy, których nie chciałam widzieć.* W ciągu minionych tygodni zdołałam zapomnieć, jakie okrucieństwo od nich bije. Nikt nic nie mówi. W tej sytuacji nie trzeba nikomu tłumaczyć, że ponownie mam *kłopoty*.

— Maeve? — Ruth szturcha moje ramię. — Wszystko gra?

— Ru, proszę cię, odejź — szepczę, by te słowa dotarły tylko do jej uszu. Dirk stoi na tyle daleko, by nie mógł mnie usłyszeć. Opiera się o bok jeepa z nonszalancją. On wie, że zwyciężył. Nie ma przy mnie Gabriela ani nikogo, kto mógłby mnie przed nim obronić, a oboje zdajemy sobie sprawę, że nie jestem w stanie obronić się samodzielnie. Ciemnowłosa jest za silny, a kiedy w jego żyłach buzuje wściekłość, jest nie do opanowania. Zakładam, że pomimo jego nonszalanckiego sposobu bycia to właśnie gniew rozsądza go od środka.

— Dlaczego?

— To mój brat. Proszę, uciekaj. Schowaj się w sklepie. Gdziekolwiek.

— Chodź ze mną.

— Nie mogę.

— Niby czemu nie?

— Tak jest bezpieczniej dla ciebie. Proszę cię, schowaj się w tym pieprzonym sklepie.

— Ładną masz koleżankę, siostrzyczko — mówi Dirk z kpiną. Wzdycham i na ułamek sekundy zamykam oczy. *Dlaczego musiał się pojawić właśnie dziś?*

— Ruth, idź stąd! — warczę. Dziewczyna przygląda mi się z troską, a po chwili się wycofuje. Kiedy dociera do mnie dźwięk dzwonka sklepowego przy wejściu, wzdycham z ulgą. Mam nadzieję, że Dirk nie zechce jej skrzywdzić. Niech ze mną zrobi, co tylko chce, lecz ona nie jest niczemu winna.

— Już miałem nadzieję, że pozwolisz jej zostać.

— Po co? Abyś ją zamordował?



— Fakt. Byłaby niewygodnym świadkiem. — Powoli zmniejsza dzielącą nas odległość. Jego opanowanie jest przerażające. Znam go od strony rozwścieczonego bydlaka, agresywnego kata, nieczułego gnoja czy apodyktycznego drania, lecz jego spokój to coś zupełnie nowego. Gdyby był zły, mogłabym oszacować swoje szanse na przeżycie. Teraz sędzę, że są zerowe. — Tęskniłem za tobą. — Dotyka moich włosów, kiedy tylko staje krok przede mną. Wzdrygam się. — Szkoda tylko, że tak nieładnie się zachowałaś, uciekając.

— Byłam ciekawa, jak działają śleparze Payette'a — mówię arogancko, starając się ukryć swój strach. Przede mną stoi jedyny członek mojej rodziny, który zamiast mnie wspierać, pragnie mojego nieszczęścia. Żywi się moim cierpieniem. Żyje z kontrolowania mojej osoby. — Szkoda, że nie pomylili naboju. Może to tobie mieli roztrzaskać łeb, a na Loganie poeksperymentować.

Nozdrza mojego brata rozszerzają się jak u byka widzącego czerwony materiał. Popycha mnie na ścianę za moimi plecami. Swoim ciałem przyciska mnie do betonu. Kiedy robi to Gabriel, czuję się kochana i bezpieczna. Kiedy tkwię w takiej pozycji z Dirkiem, mam ochotę zwymiotować.

— Pyskata się zrobiłaś.

— Za to ty wciąż jesteś tym samym Dirkiem — odchrząkam.  
— Skurwielem Dirkiem.

Dłoń ciemnowłosego zaciska się wokół mojej szyi.

— Grzecznie cię poprosiłem, abyś wróciła do domu.

— Tu jest mój dom.

— Gównem prawda. Dom jest tam, gdzie jest rodzina.

— Ty nią dla mnie nie jesteś — cedzę przez zęby, aby każde słowo było głośne i wyraźne. Jego mimika zmienia się na ułamek sekundy. Znika maska bezdusznego kata, a zastępuje ją coś w rodzaju smutku. *Mae, tylko nie próbuj*

*mu teraz współczuć! Powiedziałaś dokładnie to, co myślisz! Milczę. Nie prostuję swoich słów. Dirk nie jest moim bratem. A przynajmniej nie takim, jakiego chciałabym mieć. Rodzeństwo powinno być sobie bliskie, wspierać się, dzielić swoje sekrety. Między nami stoi mur zbudowany z kolczatki.*

— To ja o ciebie dbam.

— Sama dbam o siebie!

— To ja zapewniłem ci bezpieczeństwo.

— Być może, lecz przed sobą samym mnie nie uchroniłeś — wypowiadam z bólem.

— Cóż, trudno — uśmiecha się. — Nie ma to żadnego znaczenia, bo właśnie wracasz ze mną do domu.



## Ryk silników

Dirk zaciska swoje dłonie na moich nadgarstkach. *Ty pieprzony, egoistyczny ignorancie!* Mój brat w biały dzień bez wysiłku ciągnie mnie za sobą do zaparkowanego nieopodal jeepa. Ignoruje przypadkowych gapiów, którzy i tak by mi nie pomogli. Mieszkam w mieście, w którym mogę liczyć tylko na siebie, degeneratów, w tym Gabriela, i Ruth.

— Puszczaj mnie, zapchlony dupku!

Próbuję zapierać się nogami, lecz nie mam w sobie tyle siły. Moje szanse w starciu z wysokim, dobrze zbudowanym i silnym samcem alfa są zerowe. Nie istnieją. Jeśli Dirkowi uda się mnie doprowadzić do Austin, ja również przestanę istnieć.

*Gabriel, gdzie jesteś?* Mam ochotę rozpłakać się z bezsilności, lecz uparcie hamuję łzy. Najgorsze, co mogę teraz zrobić, to okazać swoją słabość i strach. Dirk czerpie z tego satysfakcję. Jest zniszczonym psychicznie gnojem, który uważa, że cały świat leży u jego stóp. Mianuje siebie władcą życia i śmierci, wolności i niewoli.

— Wracasz ze mną do naszego domu.

— Prędzej wyskoczę z samolotu!

— Wolisz zginąć? — pyta arogancko. Bez zastanowienia odpowiadam:

— Tak. Śmierć wydaje się łaskawsza niż czas spędzony z tobą!

Dirk mocniej zaciska swoje pięści na moich nadgarstkach. Syczę z bólu. Z agresywnym warknięciem otwiera tylne drzwi pojazdu, a następnie wrzuca mnie do środka bez żadnego wysiłku, jakbym nic nie ważyła. Milcząc, siada obok mnie, a napięcie jego mięśni jest widoczne gołym okiem. Jego koszulka napręża się, jakby miała zaraz pęknąć.

— Jedź! — warczy do kogoś za kierownicą. Samochód rusza z piskiem opon, a pod wpływem gwałtownego skrętu moje ciało opada na uda Dirka. Pośpiesznie próbuję podnieść się do pozycji siedzącej, by odsunąć się od niego jak najdalej, lecz ciemnowłosa dotyka mojej głowy i przytrzymuje ją na swoich udach. — Zrobiłaś się wyszczekana, a wcale mi się to nie podoba.

— I co z tego? — parskam śmiechem.

— Widzę, że dwa tygodnie w towarzystwie Blacka całkowicie pomieszały ci w głowie.

— Zapewniam, że jedyną osobą, która pomieszała mi w głowie, jesteś ty! — Uderzam go pięścią w biodro, lecz moje uderzenie jest zbyt słabe, aby go ruszyło. — Nienawidzę cię! Nienawidzę! Jesteś okropnym człowiekiem bez jakichkolwiek wartości!

— Szefie, ta suka za dużo mówi!

Nagle wstępuje we mnie zastrzyk energii. Wyrywam się z uścisku Dirka i siadam prosto jak struna. *Co do chuja?* Wgapiam się w lusterko wsteczne, w którym widać oczy kierowcy. Znam je. Jego głos również jest mi znajomy.

— Mo? — wypowiadam z niedowierzaniem.

— Zamknij się! — warczy.

— Należałeś do degeneratów — stwierdzam oczywisty fakt.

— No i co z tego? — prycha. — U Whittakera mi lepiej.

— Fałszywa mordą śmierdzącego gówna — kwituję zjadliwie i zaciskam dłonie na obiciu materiałowego fotela.

— Liżesz dupę Dirkowi, by uniknąć konfrontacji z dawnymi braćmi? A może uważasz, że mój „dobroduszny” braciszek uratuje cię przed kulką? — Dirk pociąga mnie za włosy. — Puszczaj mnie!

Ciągnie mnie w swoją stronę i przyciska mi wolną dłoń do ust.

— Za dużo kłapiesz mordą — rzuca ze złością. — Stul dziób, zanim wyrwę ci ten zasrany język. Pogódź się z faktem, że należysz do mojej rodziny!

Wgryzam się w jego dłoń, a kiedy odsuwa ją z moich ust z głośnym sykiem, nie waha się uderzyć mnie w twarz. Głośne plaśnięcie i nagłe pieczenie policzka to oznaka, że właśnie wyprowadziłam go z równowagi. *O matulu, proszę, ratuj!* Jak za skinieniem magicznej różdżki, warkot silników motocyklowych rozbrzmiewa za nami. *Gabe. O mój Boże! On tu jest!*

— Szefie, mamy towarzystwo! — wtrąca Mo drżącym głosem. — Degeneraci. — Przełyka głośno ślinę.

— Czyżbyś się czegoś obawiał, malutki? — pytam przesłodzonym tonem. Najprawdopodobniej to jest mój błąd, lecz pokusa była silniejsza. Gabriel i jego świta drepczą nam po piętach. Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

— Z czego się tak śmiejesz?

— Naprawdę myślałeś, że uda ci się ot tak mnie stąd wywieźć?

Ciemnowłosa mierzy mnie ostrzegawczym spojrzeniem, lecz postanawia nie wdawać się ze mną w dyskusję. Zarówno on, jak i jego kierowca mają niemały problem.

— Zgub ich! — warczy Dirk i wyjmuję broń zza paska spodni. Przetykam głośno ślinę, a uśmiech momentalnie schodzi mi z twarzy. *Tylko nie to. Proszę, tylko nie ten rewolwer.* Tak bardzo nienawidzę tego gówna. Wystarczy jedna kulka, aby zakończyć czyjeś życie, a stawką jest los Gabriela, jego ludzi i mnie. Nie jestem w stanie przewidzieć planów Dirka. On jest jak zamknięta księga. Nie ukazuje swoich emocji i myśli.

— Są wszędzie — informuje nas Mo i ma cholerną rację. Degeneraci na motocyklach przed nami i samochód Gabriela i Jaspera za nami. Rozglądam się dookoła, a kiedy moje spanikowane spojrzenie dociera do szmaragdowych oczu pasażera w samochodzie jadącym tuż obok nas, w głowie rozbrzmiewa mi jedna myśl. *To jedyna rzecz, jaką chcę widzieć w chwili śmierci.*

Nasze spojrzenia łączą się ze sobą przez ułamek sekundy. Potem samochód Jaspera przyśpiesza i wyprzedza nas. Nie. Proszę, wróć!

Jeden strzał...

Drętwieję, a jeep zaczyna „tańczyć” na jezdni.

Drugi strzał...

Moje serce wskakuje do gardła.

Rozbija się przednia szyba, a odłamki szkła rozpryskują się dookoła. Instynktownie chowam twarz w swoich dłoniach, by ochronić swoje oczy przed ostrymi krawędziami rozbitego szkła.

— Kurwa! — wrzeszczy Dirk. Odślaniam oczy, by zorientować się w sytuacji. Ciemnowłosa w popłochu próbuje przedostać się na przednie siedzenie, przesuając

martwe ciało swojego kierowcy. Jeśli za moment nie zapanuje nad samochodem, rozbijemy się. Zamykam oczy, aby odgonić od siebie wizję nagłej śmierci, lecz kiedy w moich jeansach rozpoczyna się wibracja mojego telefonu, zamieram. Ja pieprzę, ja miałam ze sobą telefon!

— Halo? — odbieram połączenie.

— Wskocz — mówi władczo Gabriel. — Za minutę ma cię w tym samochodzie nie być.

Rozłącza się. Jak to mam wyskoczyć? Czy to jest w ogóle bezpieczne? Spoglądam na Dirka, który właśnie chwytą kierownicę i odpowiedź sama pojawia się w mojej głowie.

Na pewno bezpieczniejsze niż przebywanie w jednym samochodzie z Dirkiem.

Otwieram drzwi, zamykam oczy, biorę jeden głęboki oddech i chroniąc głowę własnymi rękoma, wyskakuję z samochodu prosto na jezdnię. Turlam się kilkakrotnie po twardej nawierzchni, jęcząc z bólu. Po chwili zatrzymuję się, a czarny jeep oddala się ode mnie dość szybko. Leżę na plecach na środku jezdni i wpatruję się w oddalający się samochód. Dopiero po chwili dociera do mnie, że tuż obok mnie zatrzymuje się motocykl. Kieruję swoje spojrzenie na kierowcę dwukołowca.

— Kirk!

— Wskakuj, mała! — Podaje mi swoją dużą dłoń. — Spierdalamy stąd.



## Oko w oko

### Gabriel

— Ja pierdolę! — Uderzam pięścią w karoserię czarnego jeepa z frustracji. — Znajdźcie go! — warczę. — Nie mógł daleko uciec!

Miałem okazję, żeby w końcu dorwać sukinsyna, który odebrał mi dziewczynę na dziesięć cholernych lat, lecz jakimś cudem udało mu się rozpląnąć w powietrzu. Zupełnie tak, jakby wyskoczył z jadącego pojazdu, zanim ten uderzył w drzewo. Tylko nie rozumiem, jakim cudem nikt tego nie zauważył. W samochodzie znajduje się jedynie ciało Wielkiego Mo, faceta, któremu niegdyś bezgranicznie ufałem. Kiedy zaatakował Maeve i sprzymierzył się z moim wrogiem, stał się zdrajcą, który zasłużył sobie na taki los. Mario Gutierrez zostaje wypisany z naszej rodziny i zostaje do niego przylepiona łatka renegata, a to z kolei oznacza, że nie pochowamy go z należytym szacunkiem.

— Ja się tylko zastanawiam, czy on ma jakieś supermoce — mamrocze Jasper. — Rozpląnął się w powietrzu.

— Pożyczył pelerynę niewidkę od Pottera — parska śmiechem Weston. Jako ostatni wstąpił w szeregi degeneratów. Jest młody, lecz silny i dobrze posługuje się



bronią. Poza tym nie ma żadnej rodziny, co sprawia, że przynależność do organizacji niecieszącej się dobrą sławą jest dla niego zdecydowanie łatwiejsza. Piorunuję go wzrokiem, ponieważ czas na żarty nie jest odpowiedni. Mamy w mieście Dirka Whittakera, który zaledwie pół godziny temu porwał moją kobietę spod sklepu.

— Zajmijcie się, kurwa, robotą! — Jasper unosi ręce w geście poddania.

— Dobra! Już — odpowiada poważnie. — Panowie, przeszukajcie miasto. Obstawcie lotnisko. Jeśli gdzieś zauważycie sukinsyna, łapcie go. Nikt się nie obrazi, jak trochę go poturbujecie.

— Jakby coś się działo, dzwońcie — mówię, a następnie wściekły wsiadam do swojego forda mustanga.

Prędko włączam silnik, po czym z piskiem opon wycofuję na drogę główną, by po chwili wcisnąć gaz do podłogi. Mam ochotę rozpierdolić każdego kierowcę, który znajdzie się na mojej drodze. Chcę wrócić do klubu, by na własne oczy zobaczyć, że Mae jest cała i nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. Nie chcę nawet myśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby Ruth Corbett do mnie nie zadzwoniła. Chwała niebiosom za książkę telefoniczną, do której musiałem wpisać swój numer, kiedy sprowadziłem swój klub. Wzbraniałem się przed tym, lecz burmistrz był nieugięty, a teraz powinienem mu za to całować wylakierowane buty.

— Jedź, pierdolony dziadku — fukam pod nosem na samochód przede mną. Nie mam możliwości go wyprzedzić ze względu na duży ruch panujący na drodze. Pierdolona godzina szczytu. Nawet na Alasce trzeba się zmagać z pieprzonymi korkami w południe. Zatrzymuję się na światłach. Stukam opuszkami palców w kierownicę i obserwuję okolicę. Jakaś starsza pani przechodzi przez pasy

z dwoma reklamówkami. Dzieciaki biegają po chodnikach, uciekając przed swoimi rodzicami. Pracownicy zatrudnieni do utrzymania porządku pielęgnują krzaki rosnące wzdłuż jezdni. Elegancko ubrana mężczyzna wychodzi z kubkiem parującej kawy z *Aroma Amore*.

*Gabriel, skurczybyku. Nawet o tym nie myśl! Ale pomyślałem. Czas najwyższy rozprawić się z kłamcą, który uważa się za rycerza w lśniącej zbroi. Jako że możliwość rozprawienia się z Whittakerem się rozwiała, swoją frustrację i złość przekieruję na kogoś zgoła innego. Gdy tylko światła zmieniają się na zielone, wrzucam kierunkowskaz i ignorując klaksony innych pojazdów, skręcam, by po chwili zaparkować na parkingu przez kawiarnię.*

Przedstawienie czas zacząć... Kiedy ostatni raz tu byłem, o mało nie straciłem życia, a ten chuj miał czelność zrobić z tego wydarzenia reklamę i nazwać siebie bohaterem. Zobaczymy, czy dziś będzie tak odważny i poleci do Jeffersona, by opowiedzieć mu bajeczkę *o jednym takim, co obalił degenerata*. Wchodzę do środka, a dzwonek przy drzwiach informuje pracowników o przybyciu nowego klienta. Rozglądam się po lokalu. Jest pusto jak na tę godzinę. *Wspaniale. Im mniej świadków, tym lepiej.*

— Dzień doo... — Kayden milknie, kiedy zauważa, kto zawitał w jego skromne progi. Uśmiecham się przebiegle. I gdzie ta twoja odwaga? Nagle wyparowała? Cóż, chyba pojawia się tylko w momentach tworzenia tekstów o fantastycznym, mitycznym gladiatorze o imieniu *Kaydenus*. — O nie...

— O tak! — parszam śmiechem. — Sądziłeś, że się nie pojawię? — Unoszę brew, a chuderlawy chłopak schyla się, chowając się za kontuarem baru. Och, co za rycerska postawa. — Srasz za tym barem? — pytam z kpiną, a kiedy nie otrzymuję odpowiedzi, postanawiam działać. Nie mam

zbyt wiele czasu, by marnować go na trzęsącego się szcztura. Obchodzę bar i bez większego wysiłku podnoszę go z klęczek za jego T-shirt, który nie wytrzymuje siły nacisku i rozrywa się na piersi. — Ta koszulka jest tak samo tandetna jak ty, Wilson — burczę.

Jego źrenice się rozszerzają, a ślina głośno przechodzi przez jego przełyk, co daje mi jasny znak, że jest obsrany ze strachu. Sam fakt, że trzęsie się jak galareta, jest oznaką przerażenia. Uśmiecham się z triumfem i przrzucam gnoja przez bar. Ląduje na podłodze z żalonym jękiem.

— Czego chcesz? — wydusza z siebie. Nieśpiesznie wychodzę z baru, a następnie klękam przed nim, by chwycić go za włosy. Ciągnę za nie i zmuszam go do spojrzenia mi prosto w oczy.

— Jeśli się kłamie i próbuje wywrzeć pozytywne wrażenie na mojej kobiecie, to zawsze dosięga kogoś karma. W tym przypadku sprowadziła mnie do ciebie. Poza tym zrobiłaś z mojej rzekomej śmierci sensację, a to bardzo mi się nie podoba.

— Powinieneś zdechnąć! — pluje, lecz jego flegma ląduje na jego brodzie, nie dosięgając mnie.

— O proszę. Ktoś tu nabrał odwagi. — Puszczam go i wstaję. Moja postać góruje nad jego żalonym sylwetką kulącą się na podłodze. — No słucham. Co masz mi jeszcze do powiedzenia?

— Maeve nie jest twoja, dziwkarzu!

Unoszę brwi. No proszę, robi się interesująco.

— Nie? Skąd ten wniosek?

— Wszyscy w tym miejscu wiedzą, że doprowadziłaś Peyton do obłądzenia. Rozkochałaś ją, a potem nagle zapomniałaś o jej istnieniu.

Zaciskam szczękę. Znowu Peyton. Czego ona ode mnie chce? Nie potrafię rozgryźć tej kobiety. Pojawiła się znikąd i w momencie jej przyjazdu do Wasilli postanowiła ogłosić siebie moją kobietą, a nigdy nawet nie mieliśmy okazji ze sobą rozmawiać. Co jest, do kurwy nędzy?!

— Rozpowiadasz kolejne plotki? — warczę.

— To nie są plotki! Takie są fakty! — Powoli unosi się do pozycji stojącej. — Jesteś trucizną tego miasta!

— No tak, wiem. — Robię krok w jego stronę, więc Kayden się cofa, byle zachować między nami jak największą odległość. — I wiesz co? Gównu mnie to obchodzi! Przyszedłem wyjaśnić ci pewną kwestię. — Prędko skracam dzielącą nas odległość i popycham jasnowłosego na betonowy filar. Swoją dłoń zaciskam na jego szyi na tyle mocno, by poczuł dyskomfort. Wolałbym go nie doprowadzać do omdlenia. — Maeve to moja kobieta, moja dama, moja diablica i mój najcenniejszy skarb. Nie pozwolę, aby ktokolwiek ją skrzywdził ani ktokolwiek mówił o niej źle! Nie jest niczemu winna, więc przestań nakręcać ludzi wokół, aby jej nienawidzili.

— Przestaną, jak się opamięta.

— W jakiej kwestii ma się opamiętać?

— Życia z tobą! Krzywdzisz ją! Zmusiłeś ją do bycia z tobą!

— Och, Kayden. W jakim ty świecie żyjesz? Czy piękna, dobra kobieta nie może zakochać się w kimś takim jak ja?

— Nie! Wykluczone.

— Dlaczego?

— Bo to stereotypowy obraz, wykreowany w książkach! Niegrzeczny chłopiec i miła dziewczyna? To się wyklucza w rzeczywistości!

— Kto powiedział, że Mae jest miła?

— Ja!

— Twoje zdanie jest najmniej ważne. Nie znasz jej. Nie wiesz, kim jest.

— Wiem, że jest ładna.

— To widać — odpowiadam pobłaźliwie. — Ale wiesz jeszcze jedno. Jest moja.

— Zniszczysz ją! Zabijesz!

— Co zrobię? — unoszę się. — Kto ją uratował, co?

— Ja!

— W swoich snach, gnoju.

— Ona nie zasługuje na taki los. Ten piękny kwiat szybko przy tobie zwiędnie. Nie zaopiekujesz się nią odpowiednio.

— Zaciskam szczękę. — Proszę, daj jej spokój, a zapewniam cię, że należycie się nią zaopiekuję.

Nie pozostaje mi nic innego, jak po prostu złamać mu nos. Uderzam go prosto w środek twarzy, a odgłos łamanej kości jest melodią dla moich uszu. *Zajebisty masz gusty muzyczny, Gabe. Taki brutalny o dźwięcznej tonacji.* — Aua!

— mamrocze łamliwym głosem.

— Następnym razem połamię ci wszystkie kości. — Odpycham go z dala od siebie, przez co traci równowagę i pada z powrotem na ziemię. Krew płynąca z jego nosa plami jego dłonie, ubranie i deski podłogowe. By podkreślić wagę swoich słów, zadaję mu jeden cios w żebra. — Niech choć raz zobaczą cię w pobliżu Maeve, zrobię z twojego kręgosłupa miazgę! — Poprawiam swoją kurtkę, spluwam na jego skuloną postać, a następnie zostawiam go samego.

Kiedy wchodzę z kawiarni, dostrzegam kilka ciekawskich osób obserwujących mój samochód stojący na parkingu.

— Kawiarnia wolna. Zapraszam na kawę — mówię zjadliwie, a potem prędko zasiadam za kierownicą i

odjeżdżam z głośnym warkotem silnika. Kieruję się prosto do siedziby klubu, gdzie Mae jest pod opieką Kirka. W międzyczasie wybieram numer Jaspera.

— Od razu mówię, że nie złapaliśmy sukinsyna! — rzuca od razu, kiedy tylko odbiera ode mnie połączenie. — Nie mam pojęcia, gdzie się schował, ale na pewno gdzieś czeka, aż przestaniemy go szukać. Sprytna gnida.

— Obstawiliście drogi wylotowe z miasta i lotnisko?

— Yeap. Na razie chłopcy mówią, że nie zauważyli nikogo, kto wyglądałby jak Whittaker.

— Ja pierdołę! Po takim czasie szanse na schwytanie go są marne.

— Nie ma żadnego pojazdu. Jego jeep wylądował na drzewie. Chyba że razem z nim był ktoś jeszcze i pomógł mu wydostać się z miasta.

— Sugerujesz, że któryś z chłopaków z nim współpracuje?

— Nie. Tego nie powiedziałem. Sądzę, że Dirk, zanim się tutaj pojawił, starannie obmyślił plan. Być może dogadał się z kimś, kto był mu chętny pomóc.

— Ciekawa teoria. Jeśli rzeczywiście jest prawdziwa, ten ktoś straci łeb.

— Zrozumiałem! Przeszukamy jeszcze wszystkie nieużytki. Może schował się gdzieś w tych pustostanach.

— Dobra, działajcie.

Rozłączam się. A jeśli Jasper ma rację i rzeczywiście Whittaker ma układy z kimś z miasta? Tę teorię potwierdzałoby jego rozplynięcie się w powietrzu. Aby szybko uciec z miejsca zdarzenia, musiał mieć transport. Szlag! — Kurwa! — rzucam sam do siebie. — To wszystko już jest pojebane!

Moja komórka rozdzwania się, więc odbieram za pomocą przycisku na kierownicy, po czym mówię:

— Czego?

— Siemka, Gabe! Tu Bailey Payette. Twój nowy sojusznik! Możemy się spotkać, aby omówić kilka kwestii? Swoją drogą, pozdrów swoją piękną żonkę. Podobno jesteście małżeństwem. Kiedy był ślub? Dlaczego nie otrzymałem zaproszenia? Chociaż nawet lepiej, że go nie dostałem, bo musiałbym wam jakiś prezent kupić. No ale na balu mówiono o was! Ależ z was seksowna para. Idealne małżeństwo. Państwo Reed, brzmi tak oficjalnie. Pewnie zaraz mi przerwiesz, więc przechodzę do rzeczy, mordeczko. W przyszłym tygodniu zawitam w tej twojej epoce lodowcowej. Macie już śnieg? Mogę już wziąć śniegowce i narty? W ogóle macie łącze internetowe?

— Bailey! Kurwa! Przystopuj. Za dużo gadasz!

— Och, sorki. Już się przemykam. Nawijaj.

— Tak, możemy spotkać się w przyszłym tygodniu. Nie mamy jeszcze śniegu, a internet działa bez zarzutu.

— Ale żeś nawinął — kwituje ze śmiechem — Nie jesteś wygadany, co?

— Czy to pytanie naprawdę jest ważne?

— Ani trochę. Pozdrów żonkę! Bajo! — rozłącza się.

*No spoko, Payette. Nie mam żony, ale gdybym ją rzeczywiście miał, pozdrowiłbym.*



## Kawaler do wzięcia

Boli mnie każda część ciała. Jestem poobijana z każdej strony. Udaję dzielną, kiedy Kirk dezynfekuje moją ranę na łuku brwiowym, lecz woda utleniona to największe cholerstwo, jakie istnieje. Piecze niemiłosiernie. Zaciskam zęby i dłonie na blacie stołu. Syczę, kiedy wacik dotyka mojej otwartej rany.

— Wybacz. Musi boleć.

— Co ty nie powiesz? — kwituję sarkastycznie. Tak naprawdę kilka siniaków i zadrapań to nic w porównaniu z tym, co mogłoby mi się stać, gdyby degeneraci nie zareagowali na czas. Swoją drogą, powinnam za to podziękować Ruth. Zachowała zimną krew i wiedziała, do kogo powinna zwrócić się o pomoc. Ta kobieta jest fenomenalna. Nie dość, że uratowała życie Gabrielowi, to zdołała pomóc mnie, kiedy tego potrzebowałam. Będę jej dłużniczką do końca. — Nie musisz tak koło mnie skakać. Poradzę sobie z kilkoma zdrapaniami.

— Rozkaz Gabriela brzmiał: „Zajmij się nią do momentu mojego powrotu. Coś spierdolisz, obedrę cię ze skóry”. Jak sama się domyślasz, cenię swoje tatuaże i nie chciałbym ich tracić. W samych krwistych mięśniach wyglądałbym niekorzystnie.



Mimowolnie się uśmiecham. Dobrze jest wiedzieć, że mam przy sobie kogoś, kto o mnie dba. Poza tym jestem chyba jedyną osobą, która widzi w nim dobrego człowieka. Dla wielu jest kimś, kogo za wszelką cenę trzeba się pozbyć. Dla mnie jest jednak wrażliwym mężczyzną o wspaniałym sercu.

— Już i tak sporo dla mnie zrobiłeś — przyznaję szczerze.

— Drobiazg. — Pstryka mnie w nos, a następnie przykleja plaster na moją ranę. — Gotowe. — Klaszcze w dłonie. — To co? Masz może ochotę na alkoholową bombę? Napiłbym się, ale nie mam z kim. — Robi minę szczeniaczka, która jest słodka jak diabli. W sumie Gabe zapewne prędko nie wróci, jeśli wciąż ściga Dirka, a towarzystwo Kirka jest o wiele ciekawsze niż samotność w sypialni Gabriela. — Proszę, Mae! Dotrzymaj mi towarzystwa. Jestem taki samotny!

— Jeśli specjalnie dla mnie zrobisz damską wersję, to z chęcią.

— Ech, baby. Wy i te mdląco słodkie drinki. — Marszczy nos. — Ale ponieważ jesteś poszkodowana, to ten jeden jedyny raz przystanę na twoją prośbę. — Wskazuje na mnie palcem. — Powtarzam! Jeden jedyny raz!

— Dobra! Dobra! — Unoszę ręce w geście poddania. Na mojej twarzy widnieje szeroki uśmiech. Uwielbiam tego człowieka za jego poczucie humoru, charyzmę i troskę. Dla niego klub znaczy to samo, co dla Gabriela. Rodzinę i braci. — Ten jeden raz.

— W takim razie zapraszam do kuchni moją piękną podopieczną.

Wstaję z krzesła i razem przemierzamy odległość z salonu do kuchni. Przystaję jak wryta na widok bałaganu, jaki tu panuje. Dosłownie wszędzie wala się jedzenie, a zlew jest pełen nieumytych naczyń. Jeszcze rano było tutaj czysto.

Sama sprzątałam po śniadaniu. *Musisz nauczyć facetów sprzątać, Mae. Co za chlew!*

— O ja pierdzielę. Przeszło tutaj jakieś tornado?

— Jedliśmy obiad — tłumaczy Kirk, odsuwając z blatu opakowanie po pizzy.

— I nie mogliście po sobie posprzątać?

— Przecież tu jest czysto! — oburza się Kirk.

— Czysto? Gdzie?

Rozglądam się dookoła. Na stole widnieje ogromna plama, zapewne po coli. Na podłodze walają się pudełka po pizzy wraz z pustymi butelkami po napojach. Na parapecie ktoś zrobił sobie ołtarzyk z puszek po energetykach. Blaty są zawalone brudnymi talerzami, na niektórych są jeszcze resztki jedzenia.

— Wszędzie! Ty jeszcze bałaganu tutaj nie widziałaś — nabija się. — Zresztą, mała. Zapewne sypialnia Gabriela nie wygląda lepiej. Tego palanta nigdy z odkurzaczem nie widziałem!

— Jest w niej w miarę czysto, mądralo.

— Bo pewnie sama mu posprzątałaś. Mieszkasz tu od kilku dni i powinnaś już się przyzwyczaić do nieporządku. Tu mieszkają faceci!

— Rób lepiej te drinki, mądralo. — Pokazuję mu język i siadam na krześle przy wyspie kuchennej, której również przydałoby się porządne czyszczenie.

— To się nazywa alkoholowa bomba! Ranisz ją, gdy mówisz o niej jak o zwykłym drinku!

— Przecież chciałam zwykłego drinka.

— No tak, zapomniałem — mamrocze.

Odwraca się do mnie plecami, by wyjąć z jednej z szafek alkohole wraz z sokami do drinków. Przez chwilę przyglądam się mężczyźnie z zainteresowaniem. Mam przed sobą faceta, który swoim poczuciem humoru rozjaśnia każdy dzień. Jest przystojny, wysportowany i męski. To taki typ faceta, który jest w stanie naprawić wszystko. Ma w sobie charyzmę i dobroć. Cechuje go szczerłość, więc jestem ciekawa, dlaczego taki mężczyzna jest samotnym kawalerem.

— Kirk? — poważnieję. — Dlaczego ty jesteś sam? — pytam, nie ukrywając swojej ciekawości. Przerywa mieszanie składników i odwraca się twarzą do mnie.

— To miasto jest jak wirus — odpowiada. — Gdy krąży o kimsz zła opinia, ludzie zaczynają go unikać. Mijasz na ulicach setki ludzi dziennie, ale nikt nie odważy się spojrzeć ci prosto w oczy. Wchodzisz do sklepu, nikt nie odpowiada ci „dzień dobry”, tylko czeka, aż wyjdiesz. Jeśli nosisz przy sobie broń, to jesteś zabójcą. Jeździsz na motocyklu, to jesteś złodziejem. Uśmiechasz się, to jesteś psychopatą, który planuje kogoś zgwałcić. Należysz do klubu degeneratów, powinieneś być martwy. To miasto tak działa, a pomówienia na nasz temat sprawiają, że ludzie się nas boją. Więc jak mam kogoś znaleźć, jeśli każdy ode mnie ucieka? Żadna kobieta nie zechce takiego faceta. Każdy skurwiel z klubu zazdrości Gabrielowi, że ma ciebie! Ty nie uciekasz, lecz walczysz, a takich kobiet w tym mieście nie ma. Równie dobrze mógłbym stąd wyjechać, aby szukać tej jedynej, ale to miasto to mój dom, tu się urodziłem i tu umrę, dlatego jestem sam. A teraz! — rozchmurza się. — Napijmy się, bo od tych smętów rzygać mi się chce!

*Och, Kirk. Jest taka jedna kobieta, która za tobą szaleje.* Uśmiecham się przebiegle i postanawiam milczeć. Kiedy Kirk energicznie pracuje nad drinkami, wstaję z krzesła i

udaję się do salonu po swoją komórkę. Wybieram odpowiedni numer i piszę wiadomość:

**Od: Maeve**

**Do: Ruth**

**Treść wiadomości: Kirk właśnie przygotowuje drinki. Wpadnij.**



*Dziesięć lat wcześniej*

— Lecisz na moją siostrę, Black?

Krzyk Dirka Whittakera rozbrzmiewa w całym domu. Mimo że Maeve zaszyła się w swoim pokoju, doskonale słyszy kłótnię dwóch chłopców.

— Ona nie jest dla ciebie! Tknij ją jeszcze raz, a połamię ci żebra, skurwielu!

— Mae nie jest twoją własnością!

— I tu się, kurwa, mylisz, gnoju! Mae należy do tego miasta, do tego domu, do mnie!

Szatynka krzywi się na ostre słowa własnego brata. Nienawidzi, gdy zachowuje się względem niej tak zaborczo. Nie ma jednak na niego żadnego wpływu. Dirk Whittaker jest osobą zaborczą, lubiącą kontrolę, dlatego nie jest zadowolony z faktu, że Gabriel Black odciąga Mae od rodziny. Poza tym ma dobry powód, aby ich związek dobiegł końca.

— Niech sama zadecyduje, gdzie chce zostać! — Gabriel wbija ostre spojrzenie w Dirka. Nie może pozwolić, aby młody Whittaker rozdzielił jego i Maeve. Został nauczony walki, a kapitulacja jest dla słabeuszy.

— Ona nie ma prawa głosu! Moja siostra należy do mnie! Nie połóżysz na niej swoich łap, draniu!

W nastolatce wrze krew. Słowa jej brata to zapalniczka, która właśnie podpaliła w niej lont. Z furją krążącą w jej żyłach zbiega do kuchni, gdzie dochodzi do ostrej wymiany zdań między dwoma młodymi mężczyznami. Obaj nastawieni są na walkę. Dirk ma ochotę skoczyć Gabrielowi do gardła. Nienawiść, jaka od niego bije, jest wyczuwalna.

— Nie masz prawa za mnie decydować! — oburza się ciemnowłosa. Dirk bezmyślnie reaguje. Jego ciężka dłoń z głośnym plaśnięciem zderza się z jej policzkiem. Mae odrzuca głowę w prawo, a do jej oczu napływają łzy.

— Już nie żyjesz, popierdoleńcu! — Gabriel rzuca się na młodszego z Whittakerów z pięściami. Uderza go raz za razem. Dirk oddaje ciosy. Mae obserwuje ich przepychanki spod ściany. Dotyka swojego obolałego policzka i płacze. Jest bezradna.

— Gabe! Dirk! Przestańcie! — krzyczy, lecz odnosi wrażenie, że nikt jej nie słyszy. Obaj wpadli w amok, okładają się pięściami i nikt nie może ich zatrzymać.



## Kółko terapeutyczne degeneratów

— Mae... — cichy głos szepczący mi prosto do ucha wybudza mnie ze snu. *No nie, a był taki przyjemny!* Niechętnie otwieram oczy. W ustach czuję niemiłosierną suchość, jakby ktoś przejechał mi papierem ściernym po języku.

— Wody! — mamroczę. — Proszę, daj mi wody!

— Kirk cię upił?

Zerkam zaspana na postać obok mnie.

— O, hej. Gabby — uśmiecham się do niego. Blondyn dotyka mojego policzka z czułością.

— Hej, Mae.

— Hej, Gabe.

— Hej, Maeve. — Odgarnia mi włosy w twarzy. — Wstajemy.

— Już rano?

— Powiedzmy. Jest przed drugą.

— Po południu? — dziwię się i zerkam na okno, lecz na zewnątrz jest ciemno. — W nocy! Jest druga w nocy! Lepiej,

abyś miał dobry powód, by mnie budzić!

— Spodoba ci się.

— Zapewne spodoba mi się tak samo kilka godzin później.

— To nie może czekać.

— Normalni ludzie o tej godzinie śpią.

Z powrotem układam głowę na miękkich poduszkach. Gabe może mnie cmoknąć w tyłek. Nigdzie się nie wybieram o tej godzinie. Jest ciemno, zimno, a w łóżku zdecydowanie jest mi wygodnie i ciepło. Opatulam się kocem i odwracam plecami do blondyna. *No dalej. Cmoknij mnie, panie ładny.*

— Przypominam, że my nie jesteśmy normalni. — Nachyliła się nade mną. Delikatnie przygryza płatek mojego ucha. — Ubierz się ciepło. Idziemy na randkę.

— Nie no! To zdecydowanie może poczekać! Spadaj! Ja wracam do krainy, w której latam na jednorożcach.

— Kręci cię pojedynczy róg i tęcza?

— Owszem.

— Cóż, posiadam jeden magiczny róg. Z chęcią pozwolę ci się nim zająć.

— Rano!

— Jakby nie patrzeć, jest druga nad ranem.

— No właśnie. NAD RANEM! To spora różnica. Dobranoc.

— Nagle moje ciało przeszywa przeraźliwe zimno. Znika koc, przez co na całym ciele pojawia się gęsia skórka. Po chwili spod mojej głowy wysuwa się poduszka. — Ej! To gruba przesada!

— Wiem, że uwielbiasz spać, niedźwiadku.

— I nic sobie z tego nie robisz!

— Dziś mam dla ciebie niespodziankę.

— Będę wdzięczna za sen.

— Bez dyskusji, Mae. Masz dziesięć minut. Czekam na ciebie pod domem.

Zostawia mnie samą w sypialni, zabierając ze sobą kołdrę i poduszkę. *Co za kawał gnojka!* Z niezadowolaniem zwlekam się z łóżka i kieruję się prosto do łazienki. Obmywam twarz, pozbywam się suchości w ustach i szczotkuję zęby, a następnie związuję swoje grube włosy w koński ogon. Kiedy wracam do sypialni, wkładam spodnie dresowe i bluzę do kompletu. Nie mam ochoty stroić się o tej godzinie. Dziś preferuję wygodę, by łatwiej zasadzić Gabrielowi kopniaka w sam środek jego upartego dupska. Zakładam jeszcze kurtkę i opatulam szyję puchatym szalikiem, a uszy chronię przez zimnem za pomocą nauszników.

Na podjeździe pojawiaam się punktualnie, co zdecydowanie jest moim osiągnięciem. Już dawno nie wstawałam o tej godzinie, by wyjść z domu. Randka w środku nocy to zdecydowanie szaleństwo. Gabriel opiera się nonszalancko o maskę swojego forda mustanga i ocenia każdy mój krok z niemym zadowoleniem.

— Nie wiem, skąd u ciebie tak dobry humor — stwierdzam.

— Sama za moment zobaczysz.

— Dokąd mnie zabierasz? — pytam, by zmienić temat. Nie chcę wyjść na marudę. Bardzo możliwe, że Gabriel napracował się, by zorganizować nam randkę, dlatego powinnam to docenić. Odeśpię ten czas w dzień. Blondyn wzrusza ramionami, a następnie otwiera przede mną drzwi samochodu. Mrużę oczy, ponieważ jest zbyt kulturalny, a dla niego zachowanie kultury jest trudnym zadaniem. Jednakże nie wnikam w jego nagły przyływ dobrych manier i po prostu delektuję się chwilą.



— Dzwonił do mnie Bailey Payette — zagaja, gdy tylko wyjeżdża z garażu. — Chce się ze mną spotkać w przyszłym tygodniu.

— O! Cudnie. Miło będzie go ponownie zobaczyć.

— I kazał mi pozdrowić moją piękną żonę.

Spogląda na mnie ze swoim figlarnym uśmieszkiem. Co to ma znaczyć? Marszczę brwi.

— Co ty kombinujesz?

— Nic.

— Gadaj!

— Chciałbym pozdrowić swoją żonę, lecz jej nie posiadam — mówi z powagą.

— Na balu nią byłam — wyjaśniam dumnie. — Więc pewnie uznał, że nasza drobna zabawa w małżeństwo to prawda.

— Cóż, więc gramy dalej — odpowiada tajemniczo, a następnie milknie.

Ciekawość zżera mnie od środka, więc niespokojnie wiercę się na siedzeniu. Gabriel jest człowiekiem impulsywnym, tajemniczym i bardzo pewnym siebie, dlatego mogło mu przyjść do głowy dosłownie wszystko. Uparcie milczy, prowadząc samochód. Mija minuta za minutą. Co on kombinuje? W co chce ze mną grać? Nie rozumiem.

— Gdzie jesteśmy? — pytam dwadzieścia minut później, kiedy Gabriel zatrzymuje się na parkingu przed parkiem. — Zrobimy piknik? — kontynuuję, sceptycznie nastawiona. Niezbyt dobry pomysł jak na listopad. Wasilla jest położona w górach, więc temperatura potrafi tu sięgać poniżej zera.

— Nie.

— Będziemy spacerować?

— Tylko przez chwilę.

— Masz ochotę na amory w miejscu publicznym?

— Nie — parska śmiechem. — Ale to kusząca wizja. Wysiadamy.

— Ale po co?

— Trochę cierpliwości.

— Wcale mi się to nie podoba — burczę pod nosem, po czym posłusznie wysiadam z samochodu, a mroźne powietrze od razu uderza mi prosto w twarz. — W parku jest jezioro! Chcesz morsować? Jeśli tak, to mogę jedynie potrzymać ci ręcznik, masochisto.

— Nikt nie będzie morsował — śmieje się. — Chodźmy.

Wyciąga w moim kierunku dłoń. Ochoczo ją chwytam, a następnie daję się poprowadzić. Ścieżka w parku jest dobrze oświetlona, więc prędko dostrzegam grupę degeneratów tłoczących się wokół jednej z altanek.

— To jakieś tajne kółko terapeutyczne degeneratów? — naigrywam się.

— Maeve, doskonale wiesz, że nigdy nie marnuję szans, jakie są mi dane, prawda? — pyta poważnie.

— Wiem — odpowiadam również z powagą.

— Dlatego, poznaj, proszę, Gerarda. To on udzieli nam ślubu.

Oszalał... Totalnie oszalał... Cholera...



## Druga w nocy

W popłochu rozglądam się dookoła, nie do końca wiedząc, jak powinnam się zachować. Uciekać? Zostać? Śmiać się? Płakać? Wszystko wokół wygląda realistycznie. Drewniana altanka przyozdobiona jest lampkami oraz niechlujnie poukładanymi sztucznymi kwiatami. Wygląda to na rękę nieprofesjonalisty bądź bałaganiarskich degeneratów. Stawiam na tę drugą opcję ze względu na fakt, że zapewne pomysł o ślubie musiał się narodzić w głowie Gabriela stosunkowo niedawno. Mimo to nie zmieniałabym nic. Nawet późna pora w świetle tych wydarzeń wydaje się magiczna. *Och, Mae. To takie romantyczne! Wychodź za mąż!* Nie. Nie mogę. Czy mogę? Zdecydowanie powinnam odmówić. Tak podpowiada mi rozsądek. Przecież to dzieje się tak szybko. Ledwie odnaleźliśmy siebie, a dziś mamy składać przysięgę małżeńską? *Kochasz go, kretynko!* — krzyczy moja podświadomość, która doskonale zna moje najskrytsze marzenia i pragnienia. Niczego bardziej nie pragnę, niż stać się panią Reed, żoną mężczyzny, który jest mi pisany na zawsze, lecz boję się, ponieważ wszystko to, co się dzieje pomiędzy naszą dwójką, jest *intensywne i zachodzi w ekspresowym tempie.*

— Gabe?

Spoglądam na blondyna i chwytam go za dłoń. Delikatnie ją ściskam. Odmawiając, prawdopodobnie go zranię, ale muszę to zrobić. Tak nakazuje zdrowy rozsądek. *Nagle go masz, kretynko? Kiedy zrobił puk, puk do twojego umysłu?* Milknę. Gubię się w jego szmaragdowych oczach, z których bije nadzieja. Jak mogłabym mu ją odebrać? Odmawiając, skrzywdzę nie tylko jego. Skrzywdzę również samą siebie.

— Mae? Powiesz coś w końcu? — pyta.

Delikatnie się uśmiecha, przypominając mi tym samym o naszych wszystkich wspólnie spędzonych chwilach. Pamiętam każdy dzień, każdą naszą rozmowę i każdy dotyk jego ust na moim ciele. Tylko ten mężczyzna sprawiał i nadal sprawia, że czuję się w pełni sobą. Przy nim nie muszę ukrywać emocji, mogę swobodnie wyrazić swoją opinię bez strachu, że zostanę za to brutalnie pobita. To właśnie ten mężczyzna tak na mnie działa, że unoszę się w powietrzu. Tańczę z lekkością w podmuchach wiatru. Skaczę po kłębiastych chmurach. To właśnie miłość sprawia, że chcę żyć, bawić się i korzystać z każdego dnia, jaki jest nam dany na tej ziemi. Moje serce bije dla tego mężczyzny, moje płuca nabierają tlenu dla tego mężczyzny, moje oczy podziwiają tego mężczyznę, a moje sny i myśli krążą wokół tego mężczyzny.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że z każdego dnia należy czerpać jak najwięcej się da, by na starość nie żałować ani jednej rzeczy, dlatego...

ROZSADEK pieprzyć...

SŁUCHAĆ serca...

UFAĆ samej sobie...

ŻYĆ tak, by być szczęśliwą...

POŚLUBIĆ Gabriela...

— Zadasz mi pytanie? — pytam z promiennym uśmiechem, lecz Gabe kręci przecząco głową i odwraca nas w stronę urzędnika stanu cywilnego.

— Gerard, zacznaj — rozkazuje. — Byle szybko — dodaje z powagą i z powrotem kieruje swoje spojrzenie wprost na mnie.

— Małżeństwo trzeba pielęgnować i dbać o nie każdego dnia. Zdecydowaliście się zawrzeć związek małżeński...

— Mówiłem, że masz odjechać tę ceremonię szybko — wtrąca Gabe, co oczywiście rozśmiesza kilku członków klubu. Wywracam oczami, ale nie neguję jego metody działania. To w końcu mój Gabriel w całej swojej okazałości.

— Czy ty, Maeve April Whittaker, chcesz poślubić Gabriela Olivera Reeda?

— Tak — odpowiadam bez wahania.

— Czy ty, Gabrielu Oli...

— Tak, kurwa — wypowiada i jednocześnie zerka na mnie. Na jego twarzy maluje się zawadiacki uśmieszek, który pasuje do niego jak cholera! — Kirk, obrączki!

— Ach! Cholera! Dobrze, szefie, że przypominasz, bo już miałem je sprzedać Jasperowi, który z chęcią poślubiłby na wieki swoją własną dłoń.

— Spierdalaj, frajerze. — Jasper uderza Kirka w tył głowy z wyzywającym uśmieszkiem.

— Panowie! — wtrąca Gabe. — Ja tu biorę ślub! — Wskazuje na mnie, potem na siebie, a na końcu na urzędnika stanu cywilnego. — Dawaj te obrączki!

Brunet podaje pudełko Gerardowi, a następnie odsuwa się z zasięgu pięści Gabriela, zapewne z ostrożności. Wątpię, by mój mąż zrobił mu dzisiaj krzywdę, lecz ostrożności nigdy za wiele.

— Te obrączki są symbolem waszej miłości — mówi Gerard.  
— Maeve, powtarzaj za mną słowa przysięgi.

— Nie — przerywa Gabe. — Chcę, aby te przysięgi były nasze. Wtedy będą wyjątkowe, dlatego pozwólcie, że rozpocznę. Ja, Gabriel skurwiel Reed, przysięgam tobie, Mae, że do końca życia będziesz moja.

Szczerzy zęby w uśmiechu, a następnie nakłada złotą obrączkę na mój serdeczny palec u lewej ręki.

— To już? — śmieję się.

— A co więcej trzeba? — unosi brew.

— Cały ty!

Boli mnie szczęka od ciągłego uśmiechania się. Mimo że ten ślub jest dość kontrowersyjny i niejedna osoba zhejtowałaaby Gabriela za każde wypowiedziane słowo, to nie zmieniałabym niczego. To jesteśmy my i nie zamierzam podporządkowywać się innym, dlatego również wypowiadam tylko jedno zdanie przysięgi.

— Ja, Mae Whittaker, przysięgam, że będziesz mój do końca życia.

Gdy tylko obrączka ląduje na palcu blondyna, dociera do mnie, że właśnie spełniło się moje największe marzenie. Od dziesięciu lat chciałam jedynie, żeby Gabriel był tylko MÓJ. Nim urzędnik ogłasza nas mężem i żoną, usta blondyna są już na moich. Bez zastanowienia oddaję pocałunek, nasze języki tańczą ze sobą, a moje serce przepelnia cudowne uczucie szczęścia.

— ALKOHOLOWA BOMBA DLA WSZYSTKICH! — krzyczy Kirk. — W tym wyjątkowym dniu... — Milknie na moment.  
— A raczej jeszcze nocy wyjątkowa oferta. Każda alkoholowa bomba pięćdziesiąt procent taniej! Jedyna taka okazja! Korzystajcie!

— Kirk! Nie reklamuj się na moim ślubie! — drwi Gabriel.

— Każda okazja jest dobra na rozkręcenie dobrego biznesu.

Brunet ze śmiechem zaciera ręce, a kilka chwil później członkowie klubu odjeżdżają, pozostawiając mnie i mojego męża sam na sam w altance.

— Nie mogę w to uwierzyć. — Przyglądam się z fascynacją swojej lewej dłoni, a blondyn składa czuły pocałunek na moim policzku. — Nie sądziłam, że jesteś tak napalony na ślub.

— Bardziej jestem napalony na naszą noc poślubną. — Porusza znacząco brwiami i bez skrępowania skanuje moje ciało. — Żono.

— Głowa mnie boli — kłamię, ale zachowuję poważny wyraz twarzy.

— Sprawię, że przestaniesz — szepcze mi do ucha. — Ale zanim wrócimy do domu, musimy jechać na skromne przyjęcie weselne.

Podaje mi dłoń. Chwytam ją bez wahania i razem schodzimy po drewnianych schodkach. Ta noc stała się oszałamiająca, wręcz baśniowa. Wzięłam ślub pośród setek gwiazd z mężczyzną, który stał się całym moim światem. Ani jedna chmurka nie przysłania nieba, dając nam piękny, naturalny pejzaż.

— Gabe, dlaczego wybrałeś tak nietypową godzinę na ślub?  
— pytam po cichu.

— Pewnej nocy, dziesięć lat temu, leżałem samotnie w łóżku i wpatrywałem się w zegarek. Dużo wtedy myślałem. O tobie. O nas. O wszystkim związanym z naszą relacją. Kiedy wybiła druga w nocy, zdałem sobie sprawę, że cię pokochałem, dlatego uznałem, że to dobra godzina na miłość.

## *Dziesięć lat wcześniej*

Nastolatek jest niespokojny. Kręci się z boku na bok. Chciałby zamknąć oczy i zasnąć, lecz nie potrafi. Jego umysł działa na najwyższych obrotach. Oczami wyobraźni widzi kontur kobiecej twarzy. Jej eteryczne rysy, mały, zgrabny nosek, pełne, lecz nie za duże usta, idealnie wypielęgnowane brwi i włosy koloru kasztanów. Dostrzega jej uśmiech, jeden dołeczek w policzku i rumieńce w odcieniu delikatnego różu, który kontrastuje z bladością jej skóry. Maeve Whittaker zawładnęła jego myślami. Każdego dnia toruje sobie drogę do jego serca. Jej dotyk jest gorący. Jej głos melodyjny. Kiedy wypowiada jakieś słowa, brzmi tak, jakby śpiewała kołysankę. Gabriel chce spędzać z nią każdą chwilę. Tęskni za nią, kiedy są oddzielnie. Chciałby ją teraz przytulić, zasnąć z jej głową na swojej piersi. Odlicza godziny do poranka. Wie, że jutro ją spotka.

Druga w nocy.

*Jeszcze tylko sześć godzin do ósmej, myśli.*

— Chyba ją kocham — mówi.





## Przyjęcie w stylu męskim

Ford mustang mknie przez opustoszałe ulice miasteczka, z radia cicho rozbrzmiewa głos Adama Levine'a, a moje myśli krążą wyłącznie wokół mężczyzny, który stał się moim mężem.

Jednocześnie odczuwam pełnię szczęścia i ból rozrywający włókna nerwowe. Nieprzyjemny ucisk w moim sercu to po prostu bezradność. Pragnę, aby w końcu mieszkańcy tego pięknego, górskiego miasta dostrzegli w członkach klubu chociaż jedną małą cząsteczkę dobroci. Fakt, że została im przypisana etykieta z napisem „trucizna i zło”, jest cholernie niesprawiedliwy. Nie można dzielić ludzi na tych dobrych i tych złych, ponieważ nie ma na świecie ludzi idealnych. Czym różni się ksiądz, lekarz, nauczyciel, pilot czy bankowiec od właściciela klubu motocyklowego, który żyje według własnych zasad?

Niczym...

Każdy ma swoje mroczne tajemnice i nikt nie ma prawa rozliczać nas z naszego życia! Nikt nie ma prawa zabronić nam żyć według własnego scenariusza, dlatego boli mnie ta wrogość mieszkańców Wasilli w stosunku do ludzi Gabriela i jego samego.

— Ziemia do Mae! — Gabriel pstryka palcami tuż przed moją twarzą. — Jesteśmy na miejscu.

— O! Szybko — stwierdzam z zaskoczeniem, a następnie wysiadam z samochodu.

Blondyn prędko staje przy mnie, składa buziaka na moim czole, a następnie przepuszcza mnie w drzwiach wejściowych do przydrożnego baru należącego do klubu. Ewidentnie czeka nas przyjęcie weselne w stylu motocyklistów. Pierwsze, co rzuca mi się w oczy po przekroczeniu progów, to sztuczne kwiaty poprzybijane na gwoździe do drewnianych elementów wystroju oraz bibuła, która zwisa z żyrandoli. Parskam śmiechem, ponieważ wygląda to komicznie. Nie mam zamiaru jednak tego oceniać, ponieważ zrobili to dla mnie mężczyźni, którzy są dla mnie rodziną. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszej aranżacji ślubu i przyjęcia.

— I jest nasza para młoda! — wita nas Kirk zza baru. — Krótka ta wasza noc poślubna — drwi. — Współczuję ci, mała. Trafiłaś na faceta, który wytrzyma maksymalnie osiem sekund? Szefie, to żenujące!

Gabriel jedynie prychnął pod nosem i ciągnie mnie za sobą do baru.

— Zrób nam lepiej swoją alkoholową bombę, śmieszku.

— Jasna sprawa, mordeczko. Dziś promocja, więc wisisz mi dziesięć dolców.

— Jakim, kurwa, cudem?

— Dziś promocja. Każdy drink o pięćdziesiąt procent drożej. Żal nie korzystać! — Szczerzy zęby i przybliżyła swoją twarz do mojej. — A kuku, mała.

Całuje mnie w nos, a następnie spogląda zadowolony na mojego męża, który wygląda na rozluźnionego, a zarazem złego na poczynania swojego przyjaciela. Uwielbiam tych

ludzi. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszego towarzystwa w dniu ślubu, o którym nie miałam pojęcia aż do drugiej w nocy.

— Chcesz w łeb? — pyta Gabe z uniesioną jedną brwią.

— Aua, mała! — Kirk łapie się za serce. — Trafiałś na zazdrośnika. Najgorszy typ. Ja wiedziałem, że popełniasz błąd, mówiąc mu sakramentalne „TAK”. Utknęłaś w małżeństwie z gnojkiem, który dłużej układa swoje włosy, niż zaspokaja cię seksualnie.

— Dzięki, Kirk — odpowiadam radośnie. — Takich życzeń się właśnie od ciebie spodziewałam — drwię.

— Zdrowie naszej młodej pary! — wznosi toast. — Niech im się wiedzie!

Unosimy kieliszki do góry, a kiedy moje usta dotykają szkła, przeraźliwy huk rozbrzmiewa na zewnątrz. Podskakuję, upuszczając kieliszek, który rozbija się na drewnianej podłodze. Degeneraci w popłochu dobiegają do okien.

— Co to, do chuja, było? — pyta Kirk, przeskakując przez bar.

— Coś poszło z dymem — stwierdza Jasper. Spoglądam na Gabriela, który nie wygląda na zadowolonego. Obserwuje coś za oknem, czego ja nie dostrzegam, ponieważ cała banda degeneratów przysłania mi widok. Ciężko jest być niską kobietą w stadzie wysokich samców alfa. Ciało Gabe'a napina się, kiedy mówi:

— Mamy przejebane.

— Dlaczego? Przecież nic nie zrobiliście — stwierdzam, po czym przeciskam się pomiędzy motocyklistami.

Kiedy docieram naprzód, od razu w oczy rzuca mi się czarny, gęsty dym unoszący się w powietrzu. W oddali słychać sygnał syren wozów strażackich oraz karettek

pogotowia. Buchające płomienie ognia są widoczne, mimo że do wybuchu doszło w centrum miasta.

— Ale uznają, że to nasza sprawka — odpowiada Kirk za Gabriela.

— Szefie, mamy to sprawdzić? — pyta facet, którego cała głowa jest wytatuowana. Wygląda trochę jak Chato Santana z *Legionu Samobójców*, z tą różnicą, że postanowił nie zakrywać tuszem swojego nosa.

— Nie — odpowiada stanowczo blondyn. — Żaden z was ma się tam, kurwa, nie pokazywać!

— To w takim razie proponuję drinka — mówi Kirk, co od razu sprawia, że degeneraci rozchodzą się i z powrotem zajmują swoje miejsca przy stoliku. *A, czyli jeden wybuch w tę czy w tę nie powinien przerywać przyjęcia weselnego.* Spoglądam na Gabriela, który wciąż obserwuje dym unoszący się w powietrzu. Opiera dłoń o ramę okna i ciężko oddycha. Podchodzę do niego i układam dłoń na jego ramieniu.

— Gabe?

— Daj mi chwilkę — szepcze. — Muszę pomyśleć.

Najchętniej wtuliłabym się w jego plecy, lecz najlepiej jest uszanować jego prośbę. Nie chcę, aby się niepotrzebnie irytował, dlatego zostawiam go samego przy oknie i siadam na stołku barowym.

— Słodki drink dla żony mojego szefa.

Kirk stawia przede mną trójwarstwowy, kolorowy napój z palemką. Unoszę brew.

— Palemka?

— Specjalnie dla ciebie. — Puszczam w moją stronę oczko. — Prezent ślubny.

— Mam nadzieję, że będę taką dostawać każdego dnia.

— Masz zamiar rozwieść się z tym ponurakiem?

— Nie, czemu?

— Szlag! Będę musiał zamówić kontener takich palemek! — Uderza się dłonią w czoło. — Zbankrutuję!

— Co za maruda — kwituje Gabriel, który właśnie obejmuje mnie swoimi silnymi ramionami. — Przecież tak czy siak ja za to płacę.

— Z tego, co mi wiadomo, temat pieniędzy na ślubach to kiepska sprawa.

— Tak samo jak reklama i podwyżka cen. — Gabe wylicza na palcach.

— A tam, wymyślasz. — Zbывa nas machnięciem ręki. — Nic takiego nie miało miejsca!

— Szefie, podobno jara się kawiarnia Wilsona — wtrąca wytatuowana głowa. Nie jestem pewna, ale chyba ma na imię Darren. Gabriel od razu się spina i odwraca w stronę faceta. O mały włos, a oberwałabym jego ramionami w głowę. — Mój informator powiedział, że policja już bada sprawę, ale najprawdopodobniej ktoś wysadził budynek.

— Darren, czy twoim informatorem przypadkiem nie jest cycata córka szeryfa? — pyta Kirk, który trzyma w dłoniach butelki z wódką.

— Jego informatorką może być nawet śmierząca hipiska, do kurwy nędzy — warczy Gabriel. — A mnie i tak bardziej interesuje, kto stoi za tym wybuchem.

— Już widzę jutrzejsze nagłówki w gazetach — prycha Jasper. — „Klub degeneratów znów atakuje”.

— „Gabriel Reed mści się na Kaydenie Wilsonie” — dodaje Kirk z rezygnacją, a do mnie właśnie dociera, czym spowodowana jest złość mojego męża. Jak mogłam od razu

nie połączyć faktów? Tu nie chodzi o sam pożar, lecz o fakt, że to on i jego ludzie zostaną oskarżeni o sabotaż.

— Chcecie mi powiedzieć, że ktoś was ciągle wrabia, żeby wyrobić wam złą opinię? — pytam, co jest oczywistą oczywistością.

— Nigdy nie porwaliśmy dziecka — mówi z determinacją. — Nigdy nikt nikogo nie zgwałcił, nigdy nie handlowaliśmy żywym towarem, choć plotki same się nie pojawiły. Ktoś chce nas stąd wykurzyć...



## Alibi

Czyste szaleństwo ogarnia mój umysł i rozpala do czerwoności moje ciało spragnione dotyku. Pocałunek z Gabrielem to nie tylko walka o dominację, lecz zaspokojenie ogromnego pragnienia i głodu. Nie ma takiej siły, która kazałaby mi oderwać się od jego zachłannych ust.

Całujemy się szybko i dziko, nasze języki splatają się w gorączkowym tańcu, a moje ciało roztapia się przy jego twardej piersi. Dopiero po kilku chwilach dociera do mnie, że Gabe rzuca mnie na materac niczym jaskiniowiec chcący dobrać się do swojej żony w jak najszybszym tempie.

— Jaki pan niecierpliwy, panie Reed — chichoczę tuż przy jego szyi, lecz blondyn w odpowiedzi jedynie zdziera ze mnie sweter, a następnie dobiera się do moich spodni. Nim zdążę dwa razy mrugnąć, Gabriel klęka pomiędzy moimi nogami w samych bokserkach, a jego ubrania lądują na podłodze. Wydaje z siebie stłumiony dźwięk, kiedy moja dłoń dotyka jego męskości. Wsuwam ją w miękki materiał bokserek, a kiedy ściskam jego nagi członek, blondyn wydaje z siebie jęk rozkoszy. Uśmiecham się kokieteryjnie. Przesuwam dłoń powoli w górę i w dół, nie odrywając spojrzenia od szmaragdowych oczu przepęlnionych żądzą posiadania i pożądania.

Gabe obejmuje mnie za plecy, po czym przyciąga mnie do swojej piersi. Wolną dłonią ściska moje włosy, a kiedy za nie ciągnie, ma idealny dostęp do moich spragnionych ust. Wpija się w nie zgłodniały. Nasze języki rozpoczynają wspólny, szaleńczy taniec. Dłonie chaotycznie błakają się po rozgrzanych ciałach. Męskość Gabriela, idealnie sztywna, wbija mi się w brzuch. Poruszam biodrami, by choć trochę wyżyć się odczucia palącego podniecenia. *Pragnę go.*

Popycham blondyna, a kiedy jego ogromna sylwetka pada na materac, prędko rozprawiam się z niepotrzebnym materiałem bokserek. Kiedy lądują na podłodze, nachylam się i biorę w posiadanie twarde jak stal członek. Zsuwam się powoli, językiem zataczając kółeczka. Ciało Gabriela się spina. Zerkam na niego spod półprzymkniętych powiek. Ma zaciśnięte powieki, ręce zarzucone na oparcie łóżka, a cała sylwetka pręży się z otrzymywanej przyjemności. Zgrabnie lawiruję językiem po jego męskości, pomagając sobie dłonią.

— Mae... — kwili. — Chodź tu.

Wyciąga w moim kierunku dłoń. Chwytam ją, a potem powoli wspinam się na jego brzuch. Dłonie układam na jego klatce piersiowej, a następnie z jękiem ulgi zsuwam się na członek. Łączymy się w jedność jak mąż i żona. Ta chwila należy tylko do nas. Za każdym razem odnoszę wrażenie, że nasze dusze podczas tego aktu łączą się na dobre. Gabriel unosi swoje biodra. Szybko i gwałtownie wbija się w moją kobiecość. Unosi się do pozycji siedzącej, chwyta mnie jedną dłonią za pierś. Ściska ją, kciukiem zahaczając o mój nabrzmiały sutek. Odchylam głowę w tył, unosząc się i opadając. Nasze oddechy łączą się ze sobą. W tym momencie nic innego się dla mnie nie liczy. Gabriel doprowadza mnie do utraty zmysłów. Jestem w rajku. Czuję, jak w moim podbrzuszu narasta gorączkowe spełnienie.



Przyśpieszam. Ujeżdżam własnego męża jak prawdziwa kowbojka.

Blondyn zasysa swoje usta na moim wrażliwym sutku, a drugą dłoń ściska pośladek. Stymuluje moje piersi. Nagle głośno wykrzykuję jego imię i osiągam orgazm, który rozsadza mnie od środka. Gabriel prędko idzie moim śladem. Dochodzi z jękiem przyjemności. Całym jego ciałem targają konwulsje. Wpija się w moje usta, jakby były jego kołem ratunkowym. W tym momencie zyskuję pewność, że jestem jego sercem, duszą i ciałem. *Na zawsze.*

## **Gabriel**

O poranku schodzę na parter, by przygotować śniadanie. Maeve smacznie śpi, dlatego z chęcią przyniosę jej śniadanie do łóżka. Jest moją żoną od niespełna ośmiu godzin, a ja mam wrażenie, że znacznie dłużej. Chcę każdego dnia budzić się przy niej. Kiedy ją widzę, wiem, że dzień będzie udany. Wchodzę do kuchni, w której już szwenda się Kirk w samej bieliźnie.

— Serduszka? — Wskazuję na jego pstrokate bokserki w serca. — Ale z ciebie romantyk.

Parska śmiechem i wskazuje na mnie widelcem.

— Najwidoczniej obaj mieliśmy udaną noc — stwierdza.

— Ta? Ty ze swoją ręką? — naigrywam się. — Jest kawa?

— Z kobietą! — naciska na słowo „kobieta”, a następnie podsuwa w moją stronę dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

— O proszę. — Sięgam po czysty kubek do zmywarki. — Jak się nazywa?

— Ruth.

Zerkam na niego z ukosa.

— Ta lekarka?

— Tak!

— I przyjaciółka Maeve?

— Owszem. — Szczerzy zęby w uśmiechu. — Cudowna kobieta. Mądra, mająca swoje pasje i oczywiście wygłodniała lwica.

— Już się zakochałeś? — pytam, podtrzymując wesoły ton, lecz w głębi serca mam nadzieję, że Ruth da mu szansę. Co prawda nie powinienem o tym myśleć po ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy, lecz naprawdę lubię tego skurczybyka i chcę dla niego jak najlepiej. Wierzę, że każdy zasługuje na miłość, nawet tacy ludzie jak my, podobno pozbawieni skrupułów, sumienia i uczuć.

— Nie, lecz jestem nią zainteresowany.

— To już coś. Trzymam kciuki.

— Dzięki, stary!

— Siemka, frajerzy. — Do pomieszczenia wchodzi Jasper. Wygląda, jakby właśnie przebiegł maraton, lecz zapewne naprawdę to zrobił. To joggingowy świr. — Miły poranek, nieprawdaż?

— Chcesz go zniszczyć? — pytam podejrzliwie.

— A cholera wie. Na podjeździe stoi radiowóz szeryfa.

— Można było się tego spodziewać. — wzdycham przeciągle.

Odstawiam kubek na wyspę kuchenną, a następnie idę skonfrontować się z szeryfem tego jakże zepsutego miasta. Wiedziałem, że ta wizyta mnie nie ominie. W końcu niedawno straż pożarna skończyła gasić kawiarnię, która w niewyjaśnionych okolicznościach wyleciała w powietrze. Degeneraci nie mieli z tym nic wspólnego, lecz zapewne zostaną obarczeni całą winą. *Co złego, to my. Do usług.*

— Czego? — pytam z wrogością. Nie pałam sympatią do służb mundurowych. Co prawda tylko do organizacji szczepionych przed wścieklizną psów, a szeryf zdecydowanie do takowej należy.

— Dzień dobry. — Mężczyzna sili się na uprzejmość. — Zapewne pan wie, w jakiej sprawie się tu pojawiaam.

— Pewnie próbujesz oskarżyć moich chłopców o wybuch *Aroma Amore* — stwierdzam i krzyżuję ręce na piersi. — Ale nie mamy z tym nic wspólnego.

— Może mi pan to udowodnić?

— Zapewne tak.

— W takim razie, co pan robił pomiędzy godziną drugą a trzecią nad ranem?

— Brałem ślub, piłem w barze, a następnie bzykałem się ze swoją żoną. — Szeryf wybuchają śmiechem, lecz widząc moje poważne spojrzenie, szybko poważnieje. Co za niedowiarek.

— Poprzez to pan dowodami? — pyta arogancko.

— Proszę zapytać burmistrza. — *O ile ten powie prawdę, Gabe. Może skłamać.* — I sprawdzić kamery w moim barze — dopowiadam prędko. — Na nagraniach widać każdego z moich ludzi.

— Bombę mógł ktoś podłożyć wcześniej.

— A po jaką cholere?

— Całe miasto wie, że nie przepada pan za panem Wilsonem.

— Sukinsyn może i nie jest moim przyjacielem, ale co dałby mi wybuch jego dobytku?

— Może chciał go pan zabić?

— Niezły z siebie bajkopisarz.

— Podobno pan mu groził.

— Ja? — pryham. — Tylko delikatnie zaznaczyłem, żeby nie srał wyżej, niż sięga jego dupa. Coś jeszcze?

— Proszę nie wyjeżdżać z miasta do momentu wyjaśnienia okoliczności zdarzenia.

— Znając twoje tempo, zestarzeję się, zanim rozwiążesz jakąkolwiek sprawę — śmieję się dobitnie, po czym wracam do domu.

W dwóch słowach — mamy przejebane. Jeśli nie znajdzie się osoba odpowiedzialna za ten wybuch, beknie któryś z naszych, nawet jeśli nie jest winny. Co prawda równie dobrze do wybuchu mogło dojść poprzez wyciek gazu, lecz wątpię, aby ktoś brał to pod uwagę. Zdecydowanie łatwiej obarczyć winą degeneratów.



## Zdjęcie żołnierza

Gabriel wraz z kilkoma swoimi ludźmi pojechał załatwiać interesy, o których wolę nie wiedzieć. Na wypadek powrotu Dirka, którego nikomu nie udało się namierzyć, zostałam przydzielona pod opiekę Kirkowi, dlatego już drugą godzinę siedzę w przydrożnym barze, sącze bezalkoholowego drinka i przeglądam bloga Jeffersona. Zainteresowały mnie szczególnie dwa wpisy. Jeden sprzed dwóch dni, drugi z wczoraj.

### **W POGODNI ZA DIABŁEM**

Ten wpis będzie krótki. W zasadzie to tylko relacja z dzisiejszego dnia.

Dziś w godzinach popołudniowych spod butiku *Moda Donna* uprowadzono Maeve Whittaker. Porywacz zaciągnął kobietę do swojego samochodu i wszczął ucieczkę, którą udaremnił Gabriel Reed i jego ludzie.

Jak się okazało, jednym z porywaczy okazał się mężczyzna, który dwa tygodnie temu postrzelił własnego szefa. Zginął na miejscu, gdy samochód uderzył w drzewo. Drugi porywacz zbiegł z miejsca wypadku, co powinno wzbudzić w nas obawy.

Proszę was o zostanie w domach, jeśli jest to możliwe. Ulice tego miasta nie są na razie bezpieczne.

Frederick Jefferson

Komentarzy pod tym postem jest tylko kilka.

Zajebrście. Mamy kolejnego zjeba w mieście!

Mógł ją porwać! Nie jest tutaj mile widziana!

Zabili jednego ze swoich? Ja gdzieś słyszałem, że postrzelili go w łeb!

W ogóle co to za laska? Dopiero co się pojawiła i już sprowadza na nas wszystkich niebezpieczeństwo? A tfu!

Ale jeden ucina pełne jadu wpisy:

**AAamber:** Wszyscy skupiają się na porywaczach i śmierci człowieka, lecz nikt nie zauważa, że wspomniana kobieta została uprowadzona. Czy każdy z was popiera takie działania? Jak wynika z postu, Maeve Whittaker została uratowana przez degeneratów — podkreślę, że to już drugi raz. Każdy z was świadomie ignoruje te informacje, które tych nieokrzesanych motocyklistów czynią ludźmi.

W moim odczuciu ta dziewczyna jest bardzo inteligentna. Potrafi w dobitny i mądry sposób zamknąć dyskusję pod każdym z postów Jeffersona. Moja intuicja podpowiada mi, że to właśnie siostra mojego męża, lecz na ten moment mogę tylko kurczowo trzymać się nadziei, że to jest ona. Gabriel za nią cholernie tęskni, lecz boi się do niej zbliżyć. Cierpi, ponieważ nie uchronił jej przed gwałcicielem, który zaatakował ją w biały dzień. W jego głowie są demony, które wstrzymują go przed pojawieniem się przed drzwiami jej domu. Tak bardzo chciałabym zobaczyć go z siostrą w ramionach. Wierzę, że nie będzie na niego zła za jego nieobecność. Uśmiecham się sama do siebie, a następnie zerkam na następny wpis.

## **POSZŁO Z DYMEM!**

Co za tragedia! Dzisiejszej nocy doszło do wybuchu jednej z lepszych kawiarni *Aroma Amore*, której właścicielem był Baldwin Wilson. Jak dotąd policji nie udało się ustalić okoliczności zdarzenia. Jedni twierdzą, że klub degeneratów mści się za działania Kaydena Wilsona (dla tych, którzy nie wiedzą — jest on synem Baldwina) wobec Maeve Whittaker (od kilku godzin Reed — wczoraj Gabriel Reed stracił status kawalera). Istnieje również teoria, że to działania zupełnie innej grupy spiskowej, która chce z tego miasta wykurzyć motocyklistów.

A wiecie, co ja sądzę?

Prawda leży gdzieś pomiędzy dwoma teoriami.

Frederick Jefferson

Jak zwykle, pod postem widnieją komentarze:

Według mnie klub chce pokazać, że mają tutaj władzę, dlatego zniszczyli miejsce, do którego każdy z nas chętnie przychodził.

Zaraz! Ta kretyńka hajtnęła się z Reedem? Świat, jaki znamy, zwariował!

Jak nic! Pan młody chciał pokazać małżonce prawdziwe fajerwerki, ale przypadkiem wysadził kawiarnię!

**JAK TO MAEVE REED?! TO JA MIAŁAM ZOSTAĆ JEGO ŻONĄ!  
NIE! TO KŁAMSTWA WYSSANE Z PALCA!**

**AAamber:** Myślę, że degeneraci nie mieli powodu, aby wysadzać w powietrze cały budynek. Zauważcie, że robią wszystko, aby ich interesy pozostały owiane tajemnicą. Nie chcą się rzucać w oczy, więc po co mieliby teraz to zmieniać? Bomby, pożary, kłęby dymu — to nie jest ich styl działania, a przynajmniej tak wynika z mojej wnikliwej obserwacji ich środowiska. Poza tym życzę szczęścia

młodej parze. Pewnie będę jedyna wśród tysięcy komentarzy, która uzna, że to piękne widzieć, jak ta dwójka jest w sobie zakochana.

Głośne trzaśnięcie drzwiami odrywa mnie od wgapienia się w ekran tabletu. Co do cholery?

— Jak on mógł!?! — krzyczy Peyton, która wpada do baru jak rozpędzone biegacze<sup>1</sup> po pustyni. Gniewnym, wręcz agresywnym krokiem zmniejsza odległość dzielącą ją od Kirka, który przestaje polerować kufle. Wymieniam z nim porozumiewawcze spojrzenia, a potem wychodzę jej naprzeciw. Jej obłęd i obsesja na punkcie mojego męża powinna się zakończyć. Chciałabym ją rozumieć. Dowiedzieć się, dlaczego tak bardzo pragnie stać się jego partnerką. *Pewnie widzi w nim to samo, co ty, Mae.*

— Jak on mógł mnie poślubić? — pytam. Rudowłosa raptownie zatrzymuje się w miejscu. Powoli odwraca się twarzą w moją stronę. Z jej spojrzenia bije rozpacz. Jej policzki są brudne od tuszu do rzęs, a cała twarz kolorystyką upodobniła się do maków.

— Odebrałaś mi go — mówi cicho, ledwie słyszalnie. — Wiedziałaś, że jest mój, a mimo to postanowiłaś pozbawić mnie szczęścia.

— Nikogo ci nie odebrałam — tłumaczę spokojnie.

— Poślubiłaś go! — piszczy płaczliwie, po czym rzuca we mnie czarną różą, która upada przed moimi stopami z głośnym trzaskiem. *Ten kwiat jest metalowy, Mae. Dlatego nigdy nie więdnie.* — Miał zostać moim mężem! Oświadczył się! — Unosi prawą dłoń i wskazuje na sporych rozmiarów pierścionek z czerwonym oczkiem. — Dał mi go dwa lata temu! — łka, a następnie osuwa się na ziemię.

Chowa twarz pomiędzy swoimi udami, a jej ciałem targają konwulsje. Spoglądam na Kirka z pytaniem wymalowanym na twarzy: *Co powinnam zrobić?*, lecz ciemnowłosa wzrusza



ramionami, jakby jedna rozhisteryzowana kobieta go przerosła.

Klękam przed nią i sięgam po czarną różę, z którą się nie rozstaje. Przez moment przyglądam się jej. Na pierwszy rzut oka wygląda zwyczajnie, lecz dopiero po chwili zauważam oczko, świadczące o tym, że można ją otworzyć. Prawdopodobnie naruszam prywatność Peyton, lecz ciekawość przewycięża. Bez wysiłku otwieram metalowy kwiat, a moim oczom ukazuje się fotografia mężczyzny przyodzianego w mundur marynarki wojennej, który jest ładząco podobny do Gabriela, lecz to zupełnie obcy facet.

— Peyton? — szepczę.

— Odebrałaś mi go!

— Peyton...

Przysuwam się do dziewczyny. Dotykam jej kolana i cierpliwie czekam, aż popatrzy na mnie. Mija kilka długich minut, zanim to się dzieje.

— Odebrałaś mi go! — powtarza jak mantrę.

— Kto to jest? — Unoszę fotografię nad jej twarzą. Momentalnie jej oczy napęlniają się nowymi łzami. — Proszę, odpowiedz — mówię spokojnie, jakbym rozmawiała z bojaźliwym dzieckiem. Nie chcę jej przestraszyć. Ona potrzebuje pomocy specjalisty, lecz na ten moment przy niej jestem tylko ja.

— To... — łka. — To mój narzeczony. Odebrałaś mi go!

— Nikogo ci nie odebrałam. Skarbie, mężczyzna ze zdjęcia nie jest Gabrielem Reedem.

— Odebrałaś mi go!

*Jasna cholera! Maeve, zachowaj spokój. Nerwy w niczym ci tu nie pomogą. One pogorszą sytuację.*

— Peyton, twój narzeczony wygląda inaczej niż Gabriel.

— Nieprawda!

— Spójrz. — Wyjmuję z kieszeni spodni komórkę. W multimediami wyszukuję zdjęcie Gabriela, a następnie podaję telefon dziewczynie. — Oni się od siebie różnią. — Wskazuję na obie fotografie. Obaj są przystojni, mają ten zawadiacki uśmiech i to dobre spojrzenie, lecz Gabriel Reed nie ma z twoim narzeczonym nic wspólnego.

Peyton wybucha głośnym szlochem. Odrzuca od siebie moją komórkę i przyciąga do siebie czarną różę.

— On nie żyje. Tak bardzo go kocham, ale nie mogę już go mieć. Zginął — wyznaje ze smutkiem, który dociera w głąb mojego serca. W moich oczach wzbierają się łzy. Siadam tuż obok niej i obejmuję ją. — Przyjechałam tutaj i wtedy zobaczyłam go, ale to nie on. Myśl o tym, że nigdy więcej nie zobaczę mojego Harry’ego, zabija mnie od środka. — Opiera głowę na moim ramieniu i nie dopowiada nic więcej.

— Wezwać pomoc? — pyta Kirk.

— Zadzwoń po Ruth.

— Chirurg raczej jej nie pomoże.

— Nie, ale pewnie zna kogoś, kto da radę.

Kołyszę ją w swoich ramionach do momentu pojawienia się Ruth. Po usłyszeniu całej historii podczas rozmowy telefonicznej z Kirkiem przyprowadziła ze sobą znajomego psychologa. Kiedy obserwuję Peyton ze złamanym sercem, zastanawiam się, czy wyglądałabym tak samo, gdybym na zawsze utraciła Gabriela. *Nie łudź się, Mae. Skończyłabyś w piachu. Nie przetrwałabyś ani jednego dnia bez niego.*

- 
1. Biegacze — rośliny, których pędy nadziemne lub ich części (kwiatostany, dęte owoce) stanowią diaspory przemieszczające się po powierzchni ziemi pod wpływem działania wiatru (za: Wikipedia).↵





## Czerwone dachówki

Od dwóch dni nie mogę przestać myśleć o spotkaniu z Peyton. Czuję się przytłoczona gamą jej uczuć. Ona cierpiała. Żyła złudzeniami, iż jej narzeczony wciąż żyje i wcielił się w szefa klubu degeneratów. To nawet nie była obsesja. Wołała o pomoc. Nie potrafiła sobie poradzić ze śmiercią miłości swojego życia, dlatego żyła wyimaginowaną rzeczywistością. Dzięki Ruth wiem, że trafiła na oddział psychiatryczny, gdzie badają jej obecny stan, aby dobrać odpowiednie lekarstwa i sposób prowadzenia terapii.

— Uśmiechnij się trochę. — Gabriel szturcha mnie w ramię.  
— Będzie dobrze.

— To takie oklepane słowa.

— Nie jestem dobry w pocieszaniu.

— Ale mnie nie trzeba pocieszać. Po prostu martwię się o nią.

— Jak każdy z nas.

— Tak? — Zerkam na niego spod byka. — Nienawidziłeś jej!

— Być może, lecz wtedy nie znałem przyczyn jej zachowania.

— Dlaczego nie próbowałaś się dowiedzieć?

— A ty próbowałaś? — Odbija piłeczkę w moją stronę. Ma rację. Nie próbowałam. Uznałam ją za kogoś, kto nie jest istotny. Myślałam, że jest wariatką, która uwielbia wymyślać historie. Teraz jednak dręczy mnie poczucie winy. Powinnam była się dowiedzieć, w czym tkwi problem.

— Nie — mamroczę.

— No właśnie. — Wzdycha. — Maeve, oboje nie mieliśmy pojęcia o jej zaburzeniach. Nie obwiniaj się za to.

— Masz rację. — Wymuszam uśmiech. — Pójdę się położyć. Potem Ruth zabiera mnie do kina.

— Babska randka?

— Coś w ten deseń.

Wstaję z krzesła. Składam pocałunek na jego ustach, po czym zostawiam go w kuchni, a sama udaję się na piętro, by się zdrzemnąć. Gabriel ma rację. Nie powinnam siebie obwiniać. Nie miałam przecież wiedzy na temat jej stanu psychicznego. Najważniejsze jest to, aby teraz pomóc jej wydobrzeć. Wydaje mi się, że nie ma nikogo, kto mógłby przy niej być.

## **Gabriel**

Od dwóch godzin siedzę przed swoim biurkiem i układam kostkę Rubika. To zajęcie zawsze pozwala mi myśleć, a ostatnio w mojej głowie coraz więcej wątków galopuje jak antylopy przez sawannę. Martwię się o Maeve i jej poczucie winy dotyczące Peyton. Rozumiem ją, lecz nie widzę powodów do tego, aby obarczać się winą. Z mojej strony otrzyma pełne wsparcie, jeśli zapragnie pomóc tej zagubionej dziewczynie. Poza tym nie mam pojęcia, gdzie znajduje się Dirk. Rozmył się, a sądzę, że tak łatwo nie odpuści. W dodatku przeraża mnie myśl, że moja siostra mogłaby po raz kolejny ucierpieć z rąk gwałciciela, którego

tożsamości nie znam do tej pory, lecz zapewniam, że facet będzie połykał swoje jaja przed śmiercią, gdy tylko go dorwę.

— Reed! — Drzwi mojego gabinetu otwierają się z hukiem, a następnie Bailey Payette nonszalancko wchodzi do środka z cygarem w ustach. — Siema, mordo!

Marszczę brwi. Nie mieliśmy się widzieć jutro?

— Bailey — Wstaję z fotela i wymieniam z nim uścisk dłoni.  
— Chcesz może whisky? — pytam z grzeczności.

— Spasuję, mordo. Załatwmy sprawy migiem, bo gorąca panienka czeka na mnie w hotelu. Więc w skrócie możesz na mnie liczyć. Moje ludziska są twoimi ludziskami i ten... No... Kropnę każdego, kogo mam kropnąć. Pozdrów żonkę. Równa babeczka, mordeczko. Jutro się widzimy, prawda? Przybyłem, aby się upewnić, ale przecież byś mnie nie wystawił. Więc ja spadam, masz numer mojej komóreczki, jakby co, to dzwoń. Bajo! — Nim zdążę odpowiedzieć, Payette wybiega z gabinetu, pozostawiając mnie w lekkiej dezorientacji. Co to miało być?

Parskam śmiechem. Bailey może się wydawać niegroźnym idiotą, lecz każdy wie, że nie należy go lekceważyć. Podobno ten, kto w założeniu jest świrem, sieje największe niebezpieczeństwo.

— Ten typ biegł, jakby go przycisnęło na porcelanę — śmieje się Kirk, stając w wejściu do mojego gabinetu.

— Może tak właśnie było — kwituję z wesołością. — Dobrze, że jesteś. Mam do ciebie małą sprawę.

— Dobra, ale...

— Świetnie! Załatwisz dla Mae samochód? Najlepiej biały i cabrio.

— Jaka marka?

— Hm, może mercedes? — Kirk przytakuje.

— Załatwione, a teraz wyszedłbyś przed dom, co?

— Po jaką pierdołę?

— Szeryf czeka. — *Jasny gwint! Znowu?* Z niezadowoleniem przemierzam odległość dzielącą mnie od policjanta, który chce zapuszkować wszystkich moich ludzi, ze mną na czele. Kiedy wychodzę na zewnątrz, zauważam, jak szeryf zagląda przez okna do mojego domu.

— Czego pan tu szuka? — pytam groźnie. — Bardzo nie lubię, jak ktoś węszy tam, gdzie nie powinien.

— Jestem policjantem!

— I co z tego? Bez nakazu nie może pan nawet wejść na mój trawnik — kwituję zjadliwie. Nienawidzę, kiedy ktoś zaczyna szpiegować. Taki człowiek nie ma w sobie za grosz godności. Jak można zaglądać komuś przez okna? Gdzie jest prywatność?

— Nakaz zawsze można załatwić — odpowiada.

— Ciekawe, na jakiej podstawie — kpię. — Mam nierówno wykoszony trawnik czy kolor dachówek razi pana w oczy?

— Reed, skończ sobie żartować. Doskonale wiem, że nienawidzisz Kaydena Wilsona i wysadziłeś jego kawiarnię w powietrze.

— A jakieś dowody? — pytam, lecz szeryf ignoruje moje słowa.

— Nie odpuszczę ci, Reed!

— I to są te twoje niezbite dowody? — Unoszę brew.

— Zdobę je. — Hm, skoro jeszcze ich nie ma, to znaczy, że burmistrz musiał potwierdzić moje alibi. Zresztą na kamerach z monitoringu kochany szeryf doskonale widział, co robiliśmy tej nocy.

— Powodzenia — mówię arogancko. — Właśnie sam siebie pogrążyłeś i podważyłeś swoje kompetencje.





## W świecie garniaków

Sądziłam, że nic już mnie nie zaskoczy, lecz się myliłam.

Po pierwsze — nie spodziewałam się, że w butelkowej zieleni wyglądam tak dobrze. Koktajlowa, dobrze skrojona sukienka przylega do mojego ciała, a jej głęboki kolor podkreśla bladość mojej skóry i niebieskie tęczęwki. *No, no. Seksownie, zgrabnie i z klasą.*

Po drugie — zobaczyć Gabriela Olivera Reeda, niebezpiecznego szefa klubu motocyklowego w garniturze, to tak, jakby umrzeć i obudzić się w innej rzeczywistości, gdzie Gabe wcieliłby się w rolę pastora. Jestem pewna, że wygrałam życie. Mam męża, który na co dzień wygląda jak grecki bóg, lecz przyodziany w dobrze wyprofilowany garnitur wygląda gorąco jak diabli. Schrupałabym go. Kawałek po kawałku.

— Widzisz coś, co ci się podoba? — pyta arogancko, a jeden kącik jego ust unosi się.

— Tak — stwierdzam. — Siebie. — Szczerzę zęby w uśmiechu i wracam spojrzeniem do swojego odbicia w lustrze. — Tak właśnie prezentuje się twoja żona, Maeve Reed.

Blondyn staje za mną, a jego sylwetka góruje nade mną. Razem tworzymy naprawdę dopasowaną parę, która dni spędza osobno, lecz nocami nie może się sobą nasycić.

— Piękna ta moja żona — wypowiada z czułością. Dłonie zakłada na moje biodra i delikatnie je ściska. — Ta sukienka powinna być zakazana. — Dostrzegam, jak jego spojrzenie ląduje na moich uwydatnionych piersiach.

— Widzę, gdzie patrzysz — informuję, a Gabe się uśmiecha, by po chwili zaatakować ustami moją szyję. Opieram głowę o jego klatkę piersiową. Wyginam swoje ciało w łuk, ponieważ jego pieśczoły docierają do najwrażliwszego miejsca, znajdującego się tuż obok mojego ucha. Przez moje plecy przechodzi dreszcz pełen rozkosznych impulsów. Od jego klatki piersiowej bije ciepło. Jego męskość wbija się w moje pośladki, a pocałunki bez opamiętania wpędzają mnie w ekstazę.

— Pragnę cię — szepcze. Wraz z jego słowami w moim podbrzuszu rozbudza się stado dzikich motyli. Odwracam się twarzą do niego, a Gabe od razu wpija się w moje usta z mocą młota pneumatycznego. Dłońmi próbuje rozpiąć suwak mojej sukienki. — Ja pieprzę! — warczy, a następnie przerywa pocałunek. Wyjmuje z marynarki komórkę, a następnie z grymasem niezadowolenia odbiera połączenie. — Bailey? Tak, jesteśmy w drodze. — Zerka na mnie znacząco. — Będziemy lada chwila. — Rozłącza się, posyłając mi zawiedzione spojrzenie. — Dokończymy później.

— Zawsze możemy ochrzcić twój samochód — proponuję i przygryzam dolną wargę.

— I to jest myśl! — Całuje mnie szybko w usta, a następnie pomaga mi poprawić sukienkę. Zapowiada się ciekawy wieczór i jeszcze ciekawsza noc.

~\*\*\*~

Bailey Payette czeka na nas w najdroższej restauracji w Wasilli w towarzystwie dwóch kobiet. Gdy tylko nas dostrzeżę, wstaje od stolika i nim zdążę chociażby powiedzieć „cześć”, jestem obracana w powietrzu.

— Witaj, piękna żono mojego przyjaciela — mówi i mnie puszcza.

— Cześć, Bailey — uśmiecham się do niego życzliwie, a następnie panowie wymieniają między sobą uprzejmości.

— To Ruth i Paige. — Wskazuje na swoje towarzyski. — Zabrałem je obie ze sobą, bo nie mogę się zdecydować, z którą później się bzykać. Siadajcie, mordki.

Współczuję Ruth i Paige, że trafiły na takiego playboya, lecz one wcale nie wyglądają na skrzywdzone. Wręcz przeciwnie. Na ich twarzach widnieje szeroki uśmiech, jakby Payette wcale ich nie zaszufładował na regale z napisem „kobiety, które tylko przeleczę”. Poza tym uwielbiam tego gościa za szczerłość, której zdecydowanie brakuje znacznej części społeczeństwa.

— A więc jak się poznaliście?

— Naprawdę chcesz rozmawiać o nas, Payette? — dopytuje Gabe, jednocześnie przeglądając menu.

— Nuda — podśpiewuje. — Dlatego porozmawiajmy o mnie.

— Szczerzy zęby w uśmiechu. — Kupiłem sobie psa. Takiego ładnego, kudłatego i w ogóle. Ale dopiero potem okazało się, że ten mały dziad sra, gdzie popadnie.

— Tak go przerażasz, że biedak dostał rozwolnienia — nabija się Gabriel.

— Mordeczko, on jak zobaczył jedną z moich pańienek bez makijażu, to ślad po nim zaginął. — Spogląda najpierw na Ruth, a następnie na Paige oraz na samym końcu na mnie. — Mordeczko, twoja babka jest tak śliczna, że każdy chciałby ją grzmocić.

Gabriel zakłada swoje ramię na moje krzesło, znacząc tym samym teren. Mimo że na jego twarzy widnieje uśmiech, po napięciu jego mięśni mogę spokojnie stwierdzić, że daleko mu w tej chwili do spokoju.

— Dla swojego dobra trzymaj swoje lepkie rączki z dala od mojej żony.

— Zaborczy skurwiel — fuka Bailey. — Szanuję, szanuję. — Podchodzi do nas kelnerka, ucinając tym samym naszą dziwną konwersację.

— Czy mogę przyjąć państwa zamówienia?

— O chuj — mówi Payette. — Jakie masz wielkie, zajebiste gały. — Kelnerka z zakłopotania spuszcza spojrzenie na swój notatnik, a ja mam ochotę strzelić temu kretynowi w łeb. Speszył biedną dziewczynę. — No weź. Nie chowaj ich, tylko pozwól mi je podziwiać.

— Bailey, zawstydzasz ją — tłumaczę.

— No i? — pyta. — Mam to gdzieś. — Ponownie przenosi spojrzenie na kelnerkę. — Moje łóżko na ciebie czeka, małpko. — Cmoka w jej kierunku, a następnie podajemy jej swoje zamówienia i kelnerka praktycznie biegnie w stronę kuchni.

— Jesteś niemożliwy — stwierdzam z przekąsem.

— Jestem egoistą — przyznaje szczerze. — Uczucia innych mnie nie obchodzą.

— Tak — śmieje się Gabe. — Doskonale o tym wiem, skurczybyku.

— Och, chwal mnie dalej — nabija się. — Nakarm moje zgłodniałe ego, mordeczko.

— Sądziłem, że chcesz rozmawiać o szczegółach naszego sojuszu.

— Przecież przedstawiłem ci swoje stanowisko wczoraj.

- To było raczej szybkie wypowiedzenie słów.
  - No, czyli przedstawiłem ci twoje korzyści.
  - A jakie są twoje?
  - Żądam tego samego.
  - I to wszystko?
  - Tak. Jeśli ty jesteś szczery w stosunku do mnie, ja odwdzięczam się tym samym. Chciałbym, abyśmy mogli na sobie polegać. Jak mówiłem, moi ludzie są do twojej dyspozycji.
  - No dobra. Powiedz mi jeszcze, co z ludźmi, którzy grozili mojej żonie?
  - Wyeliminowani.
  - To znaczy?
  - Ich ciała dryfują w ściekach.
- Zerkam w panice na jego towarzyszkę, lecz one wyglądają tak, jakby wcale nas nie słyszały. Ich mimika nie zmieniła się nawet o drobny grymas. Wyglądają jak zamrożone.
- Co było na tej karcie pamięci? — pytam z czystej ciekawości. Wątpię jednak, aby Bailey był chętny, by opowiadać o zawartości sygnetu.
  - Im mniej wiesz, tym krócej zeznajesz — kwituje jedynie.
  - To co? Wypijemy za nasze zdrowie?



## Troglodyta

### Gabriel

Śmiech Mae jest radosny. Zdecydowanie wypła za dużo czerwonego wina, lecz jestem szczęśliwy, kiedy widzę ją taką roześmianą, beztroską i pełną energii. Ostatnie wydarzenia nie były dla niej łatwe, więc potrzebowała takiego restartu.

— Lubię cię — mówi, chichocząc. — Bardzo cię lubię. — Zerka na mnie spod półprzymkniętych powiek, a swoją drobną dłoń kładzie na moim udzie. — Kocham cię. — Cmoka w powietrzu. — Tak sobie myślę, że jestem szczęściarą, bo mam ciebie. Co prawda za parę lat chciałabym też mieć małą kserokopię ciebie. Mam nadzieję, że nasze dziecko w przyszłości odziedziczy twoje oczy i moje usta. Zdajesz sobie sprawę, jakie będzie piękne? Jeśli będziemy mieli córkę, zapewne będziesz musiał zakupić wiatrówkę, bo pod nasz dom będzie podjeżdżać cała masa napalonych chłopców. Jeśli jednak urodzę syna, pełno rozneglizowanych kobiet będzie chodzić pod jego oknem. Będziemy mieć przesrane. Mówię ci. Ale to są nasze plany na przyszłość. Na razie nie chcę być seksowną mamuszką. W ogóle jestem seksowna, prawda? — Nachyla się w moją stronę. — Prawda?

Parskam śmiechem. Mae jest taka rozbrajająca, kiedy jest upojona alkoholem. Mówi od rzeczy, ukazuje wszystkie swoje emocje i nie boi się niczego.

— Jak diabli — odpowiadam dumnie.

— Też tak właśnie myślałam. — Przygryza dolną wargę, co dostrzegam kątem oka. *Oho, w jej głowie zaczyna rodzić się jakiś niecny plan.* — W skali od jeden do dziesięć, jak bardzo jestem urocza?

— Definitywnie dziewięć.

— Czemu dziewięć, a nie dziesięć?

— Bo twoje pakowanie się w kłopoty urocze nie jest.

— Aha, będzie mi wypominał to do końca życia. — Klepie mnie w udo. — Poza tym tobie też nie dałabym dziesiątki.

— Dlaczego?

— Bo ty mi dałeś dziewięć — mówi poważnie, co wydaje mi się bardzo zabawne. Śmieję się, obserwując, jak ta mała wiedźma z niezadowoleniem przebiera nogami w miejscu, jakby chciała uciec z jadącego samochodu. — Jestem zabawna?

— Mhm.

— Wiesz co?

— Nie, ale pewnie się dowiem.

— Zaraz sprawię, że nie będziesz się śmiał!

Unoszę arogancko brew.

— W jaki sposób?

Jej dłoń w mgnieniu oka dosięga do rozporzeka moich spodni od garnituru. Drugą ręką odpina pas, dlatego bez zastanowienia zdejmuję nogę z gazu. Uśmiecha się do mnie flirciarsko, co od razu pobudza moją męskość do działania.

Mae gładzi coraz to większe wybrzuszenie w moich spodniach.

— Widzisz? Już się nie śmiejesz — szepcze do mojego ucha, po czym mocno przygryza jego płatek.

*O ja pierdołę! Jakby przyjemny prąd elektryczny poraził moje ciało!* Jej usta składają delikatne jak piórko pocałunki na mojej szyi, a dłonie sprawnie odpinają skórzany pasek spodni i następnie rozporek. Bez przeszkód wydobywa moją męskość na zewnątrz, mocno ją trzymając. Wypuszczam głośno powietrze z płuc. Zatrzymuję samochód na poboczu, licząc, że nikt nie będzie wtedy przejeżdżał w środku nocy. Opieram głowę o zagłówek, zamykam oczy, a z moich ust wydobywa się niekontrolowane stęknienie, kiedy usta ciemnowłosej biorą w posiadanie mój członek. *O kurwa. Złoto w najczystszej postaci!* Zakładam dłonie za oparcie fotela. Czerpię przyjemność z każdego ruchu jej języka. Ciche stęknienia wypełniają przestrzeń samochodu.

Prędko w moim podbrzuszu narasta napięcie. Każda część mojego ciała odczuwa niebiańską przyjemność. Chwytam ją za włosy i zmuszam ją do uniesienia głowy. Nie muszę nic mówić, by Mae wiedziała, czego pragnę. Bez zastanowienia zasiada na moich kolanach, a mała przestrzeń pomiędzy nami wcale w niczym nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, buduje się większa intymność. Jednym zgrabnym ruchem rozrywam bieliznę mojej żony, przez co czuję się jak nieokrzesany, ale bardzo podniecony troglodyta. Uśmiecham się łobuzersko, kiedy drażnię się z nią, ocierając główką swojego penisa o jej rozgrzaną kobiecość. Mae przygryza wargę, a dłonie układa na mojej szyi.

— Na co czekasz? — dyszy.

Wbijam się w jej miękkie, ociekające podnieceniem wejście. Jęczę wprost do jej ust, kiedy nasze języki splatają się we wspólnym tańcu. Poruszamy się synchronicznie, dziko i



szybko. Nasze ciężkie oddechy mieszają się ze sobą. Serca biją z tą samą prędkością. W dole kręgosłupa czuję zbliżający się orgazm. Zaciskam szczękę i powieki. Przyspieszam swoje ruchy, a kiedy Maeve wykrzykuje moje imię, a jej ciałem targa rozkosz, daję upust swojemu spełnieniu. *Ja pierdolę. Kocham tę kobietę!*

*23 października 2011 r.*

Ciepły wiatr smaga ich twarze, kiedy oboje stoją przed garażem w rezydencji Whittakerów. Wpatrują się w siebie ze smutkiem, trzymając się za ręce. To ich pożegnanie. Ostatnie spotkanie.

Minione sześć miesięcy pozostawią po sobie dobre wspomnienia, chociaż muszą się rozstać, pomimo głębokiego uczucia, które zawładnęło ich ciałami i duszami.

— Mae. — Gabriel wypowiada jej imię tak, jakby było jego kołem ratunkowym. — Moja Mae. — Ich czoła się stykają, a szmaragdowe oczy blondyna bez przerwy wpatrują się w niebieskie tęczęwki dziewczyny. — To nie może się tak zakończyć.

— Wiem, Gabe. Wiem — odpowiada płaczliwie brązowowłosa. — Ale on cię zabije, jeśli tu zostaniesz.

— Nie obchodzi mnie to. Nie chcę uciekać, chcę walczyć. Jesteś jedyną osobą na tym parszywym świecie, która mnie rozumie, dlatego to nie może się tak zakończyć. Wrócę po ciebie. Gdy tylko przejmę władzę od ojca, wrócę.

— Jak możesz mi to obiecywać?

Blondyn chwyta Mae za brodę i szczerze odpowiada:

— Daj nam szansę. Uda nam się. Dajmy sobie dziesięć lat. Jeśli do tego czasu nie wrócę, każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— Dziesięć lat... — powtarza Mae, aby przetrwać sobie te słowa w swojej głowie.

Oboje wiedzą, że to bardzo poważna i wiążąca deklaracja, a dziesięć lat to aż trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa dni, podczas których ich umysłami będzie targać tęsknota. Są dla siebie stworzeni, ale ich związek w tej chwili przypomina historię Romea i Julii. Dwa znenawidzone przez siebie nawzajem kluby motocyklowe nie pozwalają ich uczuciu się rozwijać. Początkowo żywili nadzieję, że ich ojcowie dojdą do porozumienia, ale Dirk Whittaker, brat Mae, spektakularnie zniszczył ich nadzieję i skłócił te rodziny na dobre.

— Gabrielu. — Pan Black, ojciec blondyna, z gniewnym wyrazem twarzy odciąga swojego syna od Mae. — Musimy jechać.

— Dziesięć lat — powtarza Gabriel. — Obiecuję.



## Słowna manipulacja

### Dirk

— Dobra robota, łysy. — Klepię „brata” po plecach. — Możesz wyjść.

Czekam cierpliwie, aż członek mojego klubu wyjdzie z magazynu i zamknie za sobą masywne wrota. Biorę do ręki butelkę z wodą i powoli odkręcam zakrętkę, ciesząc się swoim zwycięstwem. Wylewam całą zawartość na śpiącą damę, która jest moją dzisiejszą kartą przetargową.

Kaszle...

Pluje...

I próbuje walczyć z węzłami przy jej nadgarstkach...

— Witaj, Amber. — Klękam przy niej z szerokim uśmiechem, lecz dziewczyna robi, coś czego się nie spodziewałem. Naznacza moją twarz swoją flegmą. Krzywię się z niesmakiem, po czym ścieram ją z twarzy rękawem swojej bluzy. — Odważna jesteś. Wdałaś się chyba w braciszka, co? — pytam z nonszalancją wyczuwalną w głosie. Jakie było moje zdziwienie, kiedy dowiedziałem się, że Gabriel ma młodszą siostrę. Jaka byłaby szkoda, gdybym ją skrzywdził, prawda? Zachodzę ją od tyłu, spoglądając na nią z góry.

— Nie mam rodzeństwa! Pomyliłeś mnie z kimś, zakuty łbie! — Próbuje wyrwać się z węzłów, lecz nie wygra z marynarską techniką wiązania lin. Chwytam ją za włosy i mocno odchylam jej głowę do tyłu. — Auć — mamrocze pod nosem, a w jej ciemnych oczach wzbierają się łzy.

— Doprawdy? Ja myślę, że mnie okłamujesz. — Sплюwam na jej ładną twarzyczkę, a następnie puszczam jej włosy. Z kieszeni bluzy wydaję komórkę, po czym nachylam się nad nią i ustawiam aparat na nasze twarze. — Uśmiechnij się, skarbie. — Składam pocałunek na jej policzku.

— Zabieraj te usta! Odsuń się! Czego ode mnie chcesz?

Nie odpowiadam, za to wysyłam wiadomość z naszym wspólnym zdjęciem prosto do mojej siostrzyczki z podpisem: „Znalazłem miłość swojego życia”. Jak zakładam, reakcja będzie natychmiastowa. Maeve rzadko kiedy rozstaje się z komórką.

— Twój braciszek za moment zobaczy, że jego młodsza siostrzyczka jest w moich rękach. — Zacieram dłonie. — Już nie mogę doczekać się jego wizyty, kochanie.

— Nie mam brata! — spiera się zaciekle. Ojej, chyba nie zna prawdy.

— I tu się mylisz. — Spoglądam na swoje paznokcie. — Kim w takim razie jest dla ciebie Gabriel Black?

Szok na twarzy blondynki jest moim największym triumfem. Ups? Przypomniałem jej, że jej kochany braciszek pozwolił, aby trafiła do rodziny zastępczej? Ojej, tak mi przykro.

— Bratem — odpowiada po dłuższej chwili. — Ale ostatni raz widziałam go osiem lat temu. Nie utrzymuje ze mną kontaktu!

— Oj, skarbie — drwię. — Ale twój brat mieszka w Wasilli. I ma cię ciągle pod obserwacją.

— Bzdura! Odezwałby się!

— Gabriel Reed to skurwiel. Myślisz, że chciałby się zająć swoją siostrą?

— Co ma Reed do mojego brata?

— Otóż sporo, dziecinko. To ten sam człowiek, tylko podpisuje się innym nazwiskiem. Twój braciszek to degenerat.

Z satysfakcją obserwuję, jak mina blondynki zmienia się wraz z przetrawionymi informacjami. Doskonale wiem, w którym momencie zdołała ułożyć wszystkie puzzle. Dokładnie wtedy, gdy do jej oczu napływają łzy, lecz kto by się tym przejmował, skoro właśnie na wyświetlaczu mojej komórki pojawia się połączenie od Mae.

— Witaj, siostrzyczko — kpię i ustawiam telefon na opcję głośnomówiącą.

— Zrób jej krzywdę, ty chory skurwielu, a nigdy więcej twoje popierdolone oczy nie ujrzą słońca!

Wrzask Gabriela to melodia dla moich uszu. Takiej właśnie reakcji oczekiwałem. Zwrócę mu jego siostrę, jeśli ten pozwoli powrócić Maeve na łono rodziny.

— Miło cię słyszeć, przyjacielu. A raczej szwagrze. Jak ci się puka moją siostrę? Może ja dla rewanżu powinienem przelecieć twoją?

Dostrzegam, jak ciało dziewczyny się spina. Zaciska uda, jakby nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mógłbym ją zgwałcić. *Spokojnie mała, nie gustuję w smarkulach.*

— Ona nie ma nic wspólnego z nami! Puść ją!

Podchodzę do blondynki i podsuwam jej telefon pod usta.

— Powiedz coś braciszкови.

Wbijają we mnie nienawistne spojrzenie.

— Jesteśmy w jakimś starym magazynie! — wypowiada słowa, których w ogóle się nie spodziewałem. Co jest, kurwa? Uderzam ją prosto w twarz za nietrzymanie języka za zębami. Życie jej niemiłe? — Pierdol się, skurwielu — krzyczy w moją stronę. — Myślałeś, że zacznę wydzierać się na Gabriela? Zapomnij, gnoju! Nie sprowokujesz mnie! — śmieje się. — Nie ze mną te numery.

Słucham jej słów z rosnącą furją, a dopiero po chwili orientuję się, że Gabriel zakończył połączenie. Co do chuja? Zignorował mnie? MNIE?

Kopię w pusty kosz na śmieci. Ja pierdołę! Po chwili jednak oddzwania.

— Tak? — odbieram.

— Dirk! — Głos mojej siostry brzmi ostro i stanowczo. — Dlaczego to robisz? Dlaczego nie możesz pozwolić mi odejść? Dlaczego tak nienawidzisz Gabriela? Jaką urazę nosisz w sobie?

Zadaje bardzo dobre pytania... Mae zawsze była bystra, dlatego to ataku z jej strony bałem się najbardziej. Ale chcę ją odzyskać. Należy do mnie! Nie do Gabriela!

— To nic osobistego, kochanie. Po prostu chcę przejąć jego klub, chcę znów mieć ciebie w moim domu, chcę pokazać, kto tu rządzi i kto ma władzę absolutną.

— Ohyda — mówi zza moich pleców Amber. — Jak możesz molestować własną siostrę?

Ignoruję jej pytanie, bo ta mała niewdzięczna suka zaczyna mnie mocno wkurwiać. Poza tym nikt nikogo nie molestuje, do jasnej cholery!

— Oduść — błaga. — Dirk, oduść. Wybaczam ci każdą bliznę na moim ciele, wybaczam ci każdego siniaka, wybaczam ci te wszystkie kłamstwa, wybaczam ci, że rozdzieliłeś mnie z Gabrielem, wybaczam ci to, że zabiłeś

naszego ojca i skrzywdziłeś mamę. Proszę, nie rób krzywdy Amber. Dirk, bądź moim bratem. Bratem, którego potrzebuje każda młodsza siostra. Co byś czuł, gdyby ktoś porwał mnie?

Słucham jej jak zahipnotyzowany. Nie potrafię wydusić z ciebie ani jednego słowa.

Co to znaczy, że mi wybaczają?

Wybaczają... Wybaczają... Wybaczają... Wybaczają... Wybaczają...

Te słowa rozbrzmiewają mi w głowie. Krążą nieustannie. *Ona mi wybaczają? Ale dlaczego? Po co? Nie chciałem tego!*

— Dirk, naprawdę cię błagam. Bądź moim bratem, wypuść siostrę Gabriela, przestań się mścić, daj mi żyć, uwolnij mnie z węzłów twojej dominacji. Chcę mieć brata, który cieszy się moim szczęściem. Ale nie chcę mieć brata, który karmi się moim cierpieniem.

— Mae... — Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Odwracam się, by spojrzeć na zrezygnowaną Amber. Od razu wyobrażam sobie, że to Maeve siedzi przywiązana do krzesła, a jakiś skurwieli się nad nią znęca.

— Tak?

— Masz rację. Karmię się cierpieniem ludzi, bo cierpienie jest jedynym uczuciem, jakie dobrze znam...

## **Gabriel**

— Mam go! — oznajmia Rudy i podaje mi lokalizację tego drania. Mae świetnie się spisała. Nakłoniła Dirka do rozmowy na wystarczająco długi czas, by zlokalizować jego komórkę. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, że brzmi tak przekonująco. Nawet ja nabrałabym się na takie słodkie słówka.

— Zbierz chłopaków i ruszamy za pięć minut! — wydaję rozkaz, a następnie sięgam po broń i chowam ją za pasek

spodni. Zamorduję sukinsyna na miejscu. Jak mógł porwać Amber? Skąd w ogóle wiedział o jej istnieniu? Pożałuje. Zapłaci mi za wszystko!

Za każdą bliznę na ciele Mae...

Za porwanie mojej siostry...

Za próbę porwania mojej żony...

Za rozdzielnie mnie z Maeve...

Za to, że oddycha tym samym powietrzem, co ludzie, których cholernie mocno skrzywdził.

— Gabe, co zamierzasz zrobić? — pyta poblądła szatynka i chwyta mnie swoją zimną dłonią za policzek.

— Zabić skurwiela.

Nie dbam o to, że to jej brat. Targają mną emocje, których nie jestem w stanie pohamować. Gniew, złość i agresja rozsadzają mi żyły. Kiedy ujrzałem Dirka całującego Amber, coś we mnie pękło. Już raz została skrzywdzona przez moje niedopilnowanie. Tym razem na to nie pozwolę. Ochronię ją!

— Nie rób tego... — Dotyka mojej klatki piersiowej, a jej spojrzenie jest błagalne.

— Nie masz pojęcia, o co mnie prosisz — warczę.

— Mam! Chcę z nim porozmawiać.

— Nie — mówię dobitnie. — Już dość namieszał w naszym życiu. Do chuja, porwał moją siostrę! Mam mu odpuścić? Nie ma szans! Za dużo osób przez niego cierpi!

Wymijam ją, lecz jej kolejne słowa zatrzymują mnie w miejscu.

— Kocham cię, dlatego proszę. Daj mi z nim porozmawiać. Przyrowadź go tutaj. Ja wiem, jak to dziwnie zabrzmiało, ale on chyba się podda.



— Dirk Whittaker nigdy się nie poddaje.

— Tym razem czuję, że to zrobi. Gabriel, proszę. Oszczędź go.

Zapada cisza. Wyczuwam na swoich plecach palące spojrzenie mojej żony. Tak naprawdę nie daje mi żadnego wyboru. Muszę przyprowadzić ze sobą jej brata żywego. To będzie cholernie trudne zadanie z racji tego, że mam na drania alergię i najchętniej zmiotłbym go z tej planety.

Ale dla Mae ukradłbym gwiazdkę z nieba. Wydaje się to niemożliwe, lecz znalazłbym sposób, dlatego teraz również znajdę jakiś, by zapanować nad swoimi nerwami.

Kiedy wychodzę na zewnątrz i wsiadam do pick-upa, jeszcze nie zdaję sobie sprawy, że Dirk to moje najmniejsze zmartwienie.



## Łowczyńie głów

### Gabriel

Stare, opuszczone magazyny znajdują się dwa kilometry za miastem, więc dotarcie na miejsce zajmuje nam niecałe osiem minut. Kirk zatrzymuje pick-upa z piskiem opon na zwirowej drodze, po czym pośpiesznie wyskakujemy z pojazdu. Przez całą drogę próbowałem się uspokoić, by nie rozszarpać drania na strzępy. Wolałbym rozczłonkować jego ciało i wyrzucić je do rzeki, lecz musi dotrzeć do miasta w jednym kawałku. Jestem słownym człowiekiem, dlatego dotrzymam obietnicy danej mojej żonie i przyprowadzę tego gnoja prosto pod jej kolana, a potem zapewne skręcę mu kark.

— Dziwne — stwierdza Jasper. — Nikt na nas nie czeka?

Rozglądamy się dookoła w poszukiwaniu czyhających na nas ludzi Dirka, lecz wszystko wygląda tak, jakby to miejsce było puste. Jedynie biały jeep zaparkowany obok największego magazynu świadczy o czyjeś obecności.

— Najwidoczniej — mamrocze Darren. — Chyba że to zasadzka.

— Zachowajcie czujność — mówię.

Robię krok w stronę magazynu, po czym ponownie się rozglądam. Czysto. Nikt na nas nie czeka. Znajdujemy się na wolnej przestrzeni, gdzie trudno się ukryć. Nawet komandosi mogliby mieć problem z kamuflażem, dlatego następne kroki stawiam już pewniej. Przemierzam odległość dzielącą mnie od magazynu szybkim tempem. Za mną podąża reszta moich braci.

— Osłaniajcie mnie — mówię, a następnie naciskam za kławkę.

Drzwi ustępują od razu. Wchodzimy do środka. Chłopcy rozbiegają się na różne strony, celując przed sobą bronią. Ja jako jedyny nie wyjąłem jeszcze swojego rewolweru zza paska spodni. W głowie wciąż krążą mi słowa Mae o tym, że Dirk się podda. Nie wierzę w to, lecz nie wykluczam tej opcji. Moja żona musi mieć podstawy do tego, by tak uważać. Intuicja zazwyczaj jej nie zawodzi.

Dostrzegam Dirka.

Nachyla się nad moją siostrą.

Coś do niej mówi.

— Odsuń się od niej! — krzyczę. Ciemnowłosa unosi spojrzenie, a po kilku dłużących się sekundach wstaje z klęczek z rękoma ułożonymi w geście poddania się. *Co jest, do cholery?* Marszczę czoło. Maeve to jakaś wróżbitka? — Jeśli masz przy sobie broń, wyrzuć ją!

— Nie mam — odpowiada.

Zerkam na Kirka i ruchem głowy pokazuję mu, aby zweryfikował jego słowa. Podchodzi do Dirka i rękoma zaczyna oklepywać jego ciało.

— Czysto.

— Zabierz stąd Amber — mówię spokojniej.

Co takiego powiedziała mu Mae? Jeszcze pół godziny temu był nastawiony na toczenie wojny. Chciał skrzywdzić swoją siostrę i odzyskać Mae. Teraz stoi przede mną z uniesionymi rękoma. Dezorientacja, jaka ogarnia mój umysł, jest uciążliwa. *A może to jakaś forma jego zabawy? Może za moment da znać swoim ludziom, żeby nas odstrzelili?*

— Czy to jakiś podstęp? — pyta Kirk, kiedy odwiązuje ręce mojej siostry.

Zerkam na dziewczynę i czuję się okropnie, widząc jej zranione spojrzenie. Właśnie dlatego nie chciałem się do niej zbliżyć. Wiedziałem, że będzie mną rozczarowana. Jej brat stał się tym, kim nigdy nie chciał być. Całe miasto trzęsie się na samą wzmiankę na mój temat, więc kto by chciał mieć takiego brata?

— Nie — odpowiada Dirk. — Możecie ją zabrać.

— Skąd to miłosierdzie? — pytam.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym cię w tej chwili zabić — odpowiada. — Lecz zamiast tego poddaję się. Unoszę białą flagę. Wiesz, dlaczego?

— Mae — wypowiadam, a on przytakuje.

— Mae — powtarza. — Zdałem sobie sprawę, że chronię ją zbyt długo. Zagrożenie zniknęło pięć lat temu, lecz mimo to stałem się jej prywatnym katem, by zachować ją przy sobie. To moja jedyna rodzina, ciężko jest myśleć, że jest tak daleko od domu.

— O czym ty pieprzysz? To się nie trzyma kupy! Nie wierzę w twoją nagłą przemianę! To zbyt nierealne!

— Pozwól mi porozmawiać z Mae.

— Pozwolę — zgadzam się. — Ale na moich zasadach.

— Jak one brzmią?

Zerkam na Jaspera, który stanął za Dirkiem. Kiwam głową, a po chwili ciemnowłosa pada nieprzytomny na brudną posadzkę.

— Dobrze uderzenie — mówię z uznaniem. — Zwiążcie go i zapakujcie do samochodu. Jak się wybudzi, będzie nam śpiewał jak słowik.

— A co ze mną? — pyta Amber. Dziewczyna kuli swoje ramiona i przestępuje z nogi na nogę, jakby była kłębkim nerwów.

— Odwieziemy cię do domu — odpowiadam.

— Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

— Zapewne masz rację. Zrobimy to — uśmiecham się do niej. — Ale na razie wracajmy. Robi się późno. Chodź.

Wyciągam w jej kierunku dłoń. Przez chwilę przygląda się jej z nieufnością, lecz po kilku sekundach nabiera odwagi i ujmuje ją. Prowadzę ją w stronę pick-upa, a kiedy pomagam jej zasiaść na tylnej kanapie samochodu, moja komórka rozdzwania się na całego. Pośpiesznie odbieram połączenie od Payette'a.

— Mordeczko! — Głos Bailey'a jest za poważny jak na niego.

— Gdzie jesteś? Mam dla ciebie prezent!

— Coś ty znowu wymyślił?

— Aby nam się dobrze współpracowało, postanowiłem trochę powęszyc. I wiesz co?

— No?

— Kiedy opowiedziałeś mi podczas kolacji o gwałcie na twojej siostrze, postanowiłem się rozejrzeć i popytać. Nie wiesz, kim jest jej oprawca, lecz to twój szczęśliwy dzień, bo ja wiem!

— Skąd?

Spoglądałam na siostrę przez szybę samochodu.

— Pamiętasz Ruth i Paige?

— Tak.

— To moje najlepsze łowczynie głów. Są skuteczne i nieomyłne. Dobrze hakują, więc bez problemu dostały się do prywatnych plików zapisanych na komputerach każdego mieszkańca tego miasta. Żmudna robota, lecz warta swej ceny. Na jednym z komputerów były ciekawe pliki kilkunastu nastolatków, w tym Amber. Dodam, że zdjęcia twojej siostry są sprzed i po ataku.

— Bailey! Do chuja! Kto to zrobił?

— Ten sam, który wysadził kawiarnię.

— Kto?!

— Nie kto inny, jak Kayden Wilson.



## Makaron z serem

### Gabriel

Co zrobić, żeby ktoś, kto panicznie boi się klubu degeneratów, wpuścił nas do swojego mieszkania?

Nic nadzwyczajnego...

Wystarczy się włamać...

— Mniam — zachwyca się Bailey z głową schowaną w lodówce. — Ten gnojek ma moją ulubioną maślankę. — Tak, włamaliśmy się do mieszkania Wilsona, a Payette z tego wysiłku zrobił się potwornie głodny. A jedynym jego zadaniem było NIC! — Mordeczki, chcecie trochę makaronu z serem? Ładnie pachnie!

— Co wy tu robicie? — pyta z przerażeniem Wilson. Trzyma w dłoniach kij baseballowy. Klasyka. Na świecie jest tyle przyrządów do walki, na przykład szufelka, miotła, miedziana rura, nóżka od stolika, ale nie... Oczywiście kij baseballowy uratuje twoje życie, Wilson. Z pewnością.

— Wyżeramy ci zawartość lodówki — odpowiada Payette. — Wiesz, żeby ci się jakiś grzyb nie zagościł, gdy będziesz już martwy, czy coś. Żarełka nie można marnować. Każdy szanujący się mafioso o tym wie. — Szczerzy swoje białe

zęby do jeszcze bardziej przerażonego Wilsona. *Zaraz będziesz pożerał swoje jaja, gnoju.* — Poza tym, jeśli zostawimy to biedne jedzenie bez odpowiedniej opieki, w tej lodówce naprawdę zagości się grzyb. I będzie cuchnąć, co sprowadzi szczury, a to przerazi twoich biednych sąsiadów, aż zaczną skakać z okien.

— Czego chcecie?

Pospiesznie podchodzę do niego i przyszpilam go do ściany. Zaciskam dłoń na jego szyi z siłą rozwścieczonego rottweilera.

— Skrzywdziłeś moją siostrę. I inne niewinne nastolatki — wyjaśniam powoli. — A całe miasto posądzało o to mnie i moich ludzi.

— Nic nie zrobiłem!

— Kawiarnia sama się wysadziła? — parskam śmiechem. — Wiesz, co z tobą zrobię?

— Pif paf i pikawa nie pika. He, he — mówi Bailey z gębą pełną makaronu z serem. — Ale sobie nagrabiłeś, kolego.

— Czy ja wiem, czy chcę sobie brudzić łapy jego krwią — stwierdzam poważnie. Wcześniej sądziłem, że rozszarpie go na strzępy. Myślałem, że żywcem pozbędę się jego jaj i potem będę obserwował, jak je zjada, lecz to nie oznaczałoby końca moich problemów w tym mieście. Ten człowiek, na pierwszy rzut oka niegroźny pracownik kawiarni, sterroryzował całe miasto, zrzucając winę na mnie. — Mamy niezbite dowody na jego działania. Podeślij je Jeffersonowi. Niech on rozpęta mu prywatne piekło, a ja będę obserwował z popcornem w dłoniach, jak go linczują.

— A co z Amber? — pyta Bailey.

— Wątpię, aby chciała, by jej brat decydował za nią. Jeśli uzna, że mam go zabić, zrobię to. Jeśli nie, inni zrobią to za mnie.



Wilson głośno przetyka ślinę. Puszczam go, a jego ciało osuwa się powoli po ścianie. Już po nim.

Maeve

*Dwie godziny później*

Wpatruję się w brata przywiązanego do krzesła elektrycznego. Czekam z niecierpliwością, aż oprzytomnieje, abym mogła w końcu poznać całą prawdę. Skrucha, jaką ukazał podczas rozmowy telefonicznej, pozwoliła mi mieć nadzieję na przeprowadzenie z nim szczerzej rozmowy, podczas której wyjaśni mi wszystko to, czego nie potrafię zrozumieć. Jeśli jednak postanowi ponownie żywić mnie kłamstwami, nie zawaham się popieścić go prądem. Mam już dość ciągłych kłamstw, gróźb i niestabilności emocjonalnej Dirka. Dziś nastąpi koniec naszej prywatnej wojny.

— Jak długo będzie jeszcze tak spał? — zwracam się do Jaspera, który stoi obok mojego brata.

Unosi brew, a następnie uderza Dirka kolbą swojego karabinu. Głowa ciemnowłosego odchyła się do tyłu, a głośny jęk z jego ust świadczy o jego pobudce.

— Dziękuję.

— Do usług. — Szczyrzy zęby w uśmiechu.

— Co jest? — warczy Dirk, szamocząc się na krześle. Próbuje wyswobodzić się z węzłów, lecz osobiście upewniłam się wcześniej, że nie zdoła tego zrobić.

— Nie radzę — mówię poważnie. Dopiero teraz spogląda na mnie, a jego oczy robią się wielkie jak spodki, kiedy orientuje się, co trzymam w dłoni. — Tak, braciszku. To pilot do krzesła, na którym spoczywa twoja dupa. Jeśli nie chcesz, aby wszystkie włosy stanęły ci dęba, radzę odpowiadać na pytania.

— Naprawdę, Mae? Zabawy z prądem? — naigrywa się, więc spełniam swoje ostrzeżenie i wciskam guzik, na co Dirk podskakuje. — Kurwa, dobra! — warczy. — Czego chcesz?

— Prawdy.

— OK. Jestem sukinsynem. Starczy?

— To każdy wie.

— Innej prawdy ci nie wyznam — odpowiada nonszalancko.

— Jak chcesz. — Wzruszam ramionami, a po chwili po ciebie Dirka ponownie rozchodzi się prąd elektryczny, tym razem o większej mocy.

— Ja pierdołę! Dobra, świrusko o zapędach psychopatki!

— Chcę wiedzieć wszystko.

— Czyli?

— Zamordowałeś naszego ojca?

— Bez zastanowienia. Odłamki jego mózgu rozprysły się po całym jego gabinecie — odpowiada bez zastanowienia.

W jego głosie nie ma nawet krzty poczucia winy. Dirk wygląda jak ktoś, kto jest bardzo dumny ze swoich poczynań. Podejrzewałam, że to on stoi za śmiercią naszego ojca, lecz nie sądziłam, że to właśnie on pociągnął za spust. Ta informacja jest trwożąca. Cofam się mimowolnie, choć doskonale wiem, że w tym momencie ciemnowłosa nie robi mi żadnej krzywdy. Lekko przerażona spoglądam na Gabriela, który siedzi nieopodal. Dodaje mi otuchy, uśmiechając się do mnie z miłością. Wiem, że wiele trudu sprawia mu przebywanie z dala ode mnie, lecz sama muszę przebrnąć przez rozmowę z Dirkiem.

— Sprawilo ci to przyjemność? — pytam z obrzydzeniem.

— Nie — odpowiada poważnie. — Myślisz, że zajebicie się żyje z myślą, że ma się na rękach krew własnego ojca?

— W takim razie dlaczego podjąłeś taką decyzję?

— Dla ciebie.

— Słucham? — oburzam się. — Nigdy nic podobnego nie kazałam ci zrobić!

— Nie musiałaś. Wystarczy, że ja wiedziałem coś, o czym nie miałaś pojęcia. Chroniłem cię.

— Chroniłeś? — parszam ironicznie śmiechem. — Zamknąłeś mnie w swoim domu. Uśmierciłeś. Odebrałeś mi Gabriela! Pozwoliłeś Loganowi znęcać się nade mną!

— Co do Logana, wiedziałem, że cię nie zgwałci, bo go poturbowałaś zbyt mocno.

— To jest twoje usprawiedliwienie? Widziałeś moje plecy?

— Kilka nacięć nożem się zagoi.

— Pozostały blizny!

— Każdy wojownik ma jakieś blizny.

— Nie jestem żadną wojowniczką!

— Nie? — uśmiecha się. — A to ciekawe. Uciekałaś ode mnie z pomocą Payette'a. Walczyłaś z Loganem i z nim zwyciężyłaś. Teraz razisz mnie prądem. Walczyłaś o swoje szczęście. Walczysz o Gabriela. W tym momencie toczysz wojnę ze mną, ponieważ chcesz poznać prawdę. I wiesz co? Otrzymasz ją. Nadszedł czas, abyś poznała wszystkie brudy naszej rodziny. Przez całe twoje życie chroniłem cię. Może dla ciebie byłem skurwielem wszech czasów, ale zawsze miałem dobre intencje.

Parskam śmiechem. Dirk i dobre intencje? Dobre!

— Myślisz, że rozdzieliłem cię z Gabrielem z egoistycznych pobudek? Sądzisz, że go nienawidziłem?

— Inaczej nie da się określić twojego zachowania.

— Javier Black miał romans z naszą matką. Jak wiadomo, uwodzenie żony swojego sojusznika to zbrodnia. Nasz ojciec musiał jakoś ich ukarać. Za cel wziął waszą dwójkę. Wiedział, że jesteś szaleńczo zakochana w Gabrielu. Zresztą z wzajemnością. — Bierze głęboki wdech. — Chciał zamordować Gabriela, aby złamać twoje serce. Jeśli cierpiałabyś, nasza matka wpadłaby w rozpacz, a Javier Black straciłby dziedzica swojego imperium. Wiedziałem, że śmierć Gabriela będzie dla ciebie ogromnym wstrząsem. Bałem się, że przyjdzie ci do głowy samobójstwo, dlatego postanowiłem złamać wasze serca, rozdzielając was. Ty i tak cierpiałaś, przez co nasza matka miała ogromne poczucie winy. Z jednej strony ojczulek wygrał, lecz był niepokieszony, że Javier Black nie stracił syna, choć zyskał na tym finansowo. Javier nie miał podstaw sądzić, że Robert wie o jego romansie z naszą matką, a co za tym idzie był nieświadomy tego, że jego sojusznik chciał zamordować jego syna, dlatego wciąż współpracowali, co przynosiło potężne zyski.

— Dlaczego chciał, aby nasza matka cierpiała, czerpiąc smutek z mojego bólu?

— Radzę ci usiąść. To, co powiem, może porządnie tobą wstrząsnąć.

Uparcie stoję w miejscu. Moje serce za moment wyskoczy mi z piersi. *Mae, oddychaj. To na pewno nic, czego się nie spodziewasz.*

— Jesteśmy rodzeństwem tylko z nazwy. Tak naprawdę nie łączą nas geny — wyrzuca z siebie Dirk.

A jednak... Tego się nie spodziewałaś.

— Co masz na myśli? — pytam z otępieniem.

— Byłaś kartą przetargową dla naszego ojca. — Słowa Dirka uderzają we mnie z siłą boksera naporzającego worek treningowy. Osuwam się na ziemię, lecz nie odrywam spojrzenia od twarzy ciemnowłosego. — Nasza matka po urodzeniu mnie nie mogła mieć więcej dzieci. Pragnęła córki, a Robert chciał mieć pełną kontrolę nad swoją żoną. Żądał jej uległości, na którą nasza matka nie chciała się zgodzić. Uważała to za poniżenie, lecz pragnienie posiadania córki było silniejsze. Miałaś cztery dni, kiedy pojawiłaś się w naszym domu. Porwano cię ze szpitala. Odebrano twoim biologicznym rodzicom. Byłaś cudem dla naszej matki. Nie obchodziło jej, skąd się wzięłaś. Stałaś się jej małą córeczką. Dla Roberta byłaś jedynie czymś w rodzaju udanej transakcji. Zrobił wszystko, abyś myślała, że jesteśmy rodziną, choć nigdy nie uznał ciebie jako córki. Dał ci swoje nazwisko, aby nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Wiedział, co robić, aby wpływać na swoją żonę. Twoja krzywda była dla niej największą karą, dlatego za zdradę zemścił się właśnie na tobie.

Pojedyncza łza spływa po moim policzku. Przez dwadzieścia sześć lat byłam okłamywana przez ludzi, którymi gardziłam, lecz mimo to uważałam za rodzinę. Teraz jednak wiem, że gardziłam ludźmi, z którymi nie łączyły mnie więzy krwi.

— Pięć lat temu ojciec dowiedział się, że matka spiskuje przeciwko niemu. Chciała go zniszczyć, by chronić mnie oraz ciebie. Oczywiście Robert chciał się zemścić najpierw na tobie. Nasza matka miała cierpieć z rozpacz, a potem zostać obdarta ze skóry za pomocą tępego, rozżarzonego noża. Musiałem go powstrzymać, dlatego władowałem mu dwa pociski prosto w czaszkę. Matce kazałem uciekać. Ona żyje, Mae. Z dala od nas, ale żyje. Śmierć ojca doprowadziła do wojny pomiędzy sojusznikami Roberta. Wtedy zginął Javier Black. Wiedziałem, co to oznacza. Gabriel przejmie władzę i zacznie cię szukać, dlatego postanowiłem sfingować twoją śmierć, aby zachować cię blisko siebie.

Zostałaś mi tylko ty. Nie mogłem pozwolić, aby mi ciebie odebrano. Zdaję sobie sprawę, że to było egoistyczne z mojej strony...

— Stop! — Unoszę dłoń, a Dirk milknie. Zerkam na Jaspera.

— Uwolnij go.

— Jesteś pewna? — dopytuje Gabe.

— Tak. Już wiem wszystko. — Ponownie spoglądam na brata. — Wróć do domu. Daj mi czas. Ja muszę to wszystko przetrwać w samotności.

Nie jesteś jego siostrą.

Nie masz w sobie krwi Roberta Whittakera.

Żyjesz tylko dzięki Dirkowi.



## Epilog

*Rok później*

Ta sama altanka w parku, lecz tym razem stoi przed nami pastor.

Gabriel ma na sobie garnitur, a ja jestem najprawdziwszą panną młodą.

Wokół nas są ludzie, którzy są naszą rodziną — degeneraci, Bailey, Ruth, Amber oraz Dirk.

Tym razem robimy to tak, jak należy. Ze świadkami. Z rodziną u boku. W południe i z przysięgą przed Bogiem.

Padające płatki śniegu idealnie wpasowują się w scenerię naszego drugiego ślubu.

— Tak — wypowiada Gabe z wielkim uśmiechem na ustach.

— Tak — powtarzam zaraz za nim, a następnie po raz drugi nakładam mu obrączkę.

— Ogłaszam was mężem i żoną — mówi pastor. — Może pan pocałować pannę młodą.

— Z przyjemnością.

Usta Gabriela delikatnie muskają moje wargi. Czule dotyka moich policzków. Roztapiam się w jego ramionach pomimo

śniegu dookoła nas. Ten mężczyzna to mój talizman. Jest całym moim światem. Kocham go, tak po prostu.

— Mae — wtrąca Bailey, przerywając naszą intymną chwilę.

— Śluby są takie wzruszające, ale ja się pytam, gdzie żarcie i alkohol? A, czy będą jakieś gorące striptizerki? Najlepiej przebrane za policjantki. Zawsze kręciły mnie te grzeczne dziewczynki z pałką i kajdankami.

— Żeby cię taka policjantka nie zaprowadziła do więziennej celi — drwi Kirk.

— Bzykać się można wszędzie. — Wzrusza ramionami Payette. — Z więzienia też nie jest trudno uciec. Wiem, bo to robiłem!

— Za co siedziałeś? — pytam zainteresowana.

— Miałem piętnaście lat i myślałem, że jestem na plaży nudystów — odpowiada lekceważąco. — Trafiłem na czterdzieści osiem godzin na dołek, a że miałem prawo do wykonania jednego telefonu, zadzwoniłem do ojczulka, a ten wysadził komisariat.

Och, Bailey i jego historie.

Kto wie, może jakaś policjantka ponownie zakuje go w kajdanki — tym razem z miłości?

**KONIEC**





# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# Spis treści

Prolog

Środki nasenne

Miasto grzechu, pokusy i błędu

Wybawiciel, mafijny anioł i sprzymierzeniec

Gest w stronę samego króla piekieł

Anioł, który może leczyć zepsute wnętrze

Jedno skinienie głowy, a wszystko się komplikuje

Nowy wynalazek świra

Krzyk, który słyszą góry

Wiatr we włosach i adrenalina we krwi

Naręczona z czarną różą w ręce

Dwudziesty pierwszy października

Brudna kałuża i tania wersja Brada Pitta

Komediodramat

Wystraszona dusza

Pasja może być niebezpieczna, jeśli emocje biorą górę

Gabriel

Co ma piernik do wiatraka?

Prawda jest wyzwalająca

Czerwone szramy na plecach

Odór zgniłego śledzia

Para z nosa i delikatny dotyk

Gabriel

Moment, w którym kobieta staje się inną wersją samej siebie

Czy te oczy mogą kłamać?

Rodzina

Pączki z nadzieniem waniliowym

Prywatny anioł

Złoto i literka „P”

Paradoks dziennikarza

Delikatnie i pieszczotliwe pogłaskanie

Wyjazd z Alaski

Gabriel

Prawie jak rodzina

W rytmie kupidyna

Gabriel

Pod gwiazdami

Futrzak na wycieracze

Wrażliwe serce

Mur z kolczatki

Ryk silników

Oko w oko

Gabriel

Kawaler do wzięcia

Kółko terapeutyczne degeneratów

Druga w nocy

Przyjęcie w stylu męskim

Alibi

Gabriel

Zdjęcie żołnierza

Czerwone dachówki

Gabriel

W świecie garniaków

Troglodyta

Gabriel

Słowna manipulacja

Dirk

Gabriel

Łowczynie głów

Gabriel

Makaron z serem

Gabriel

Epilog